



9 772084 962703

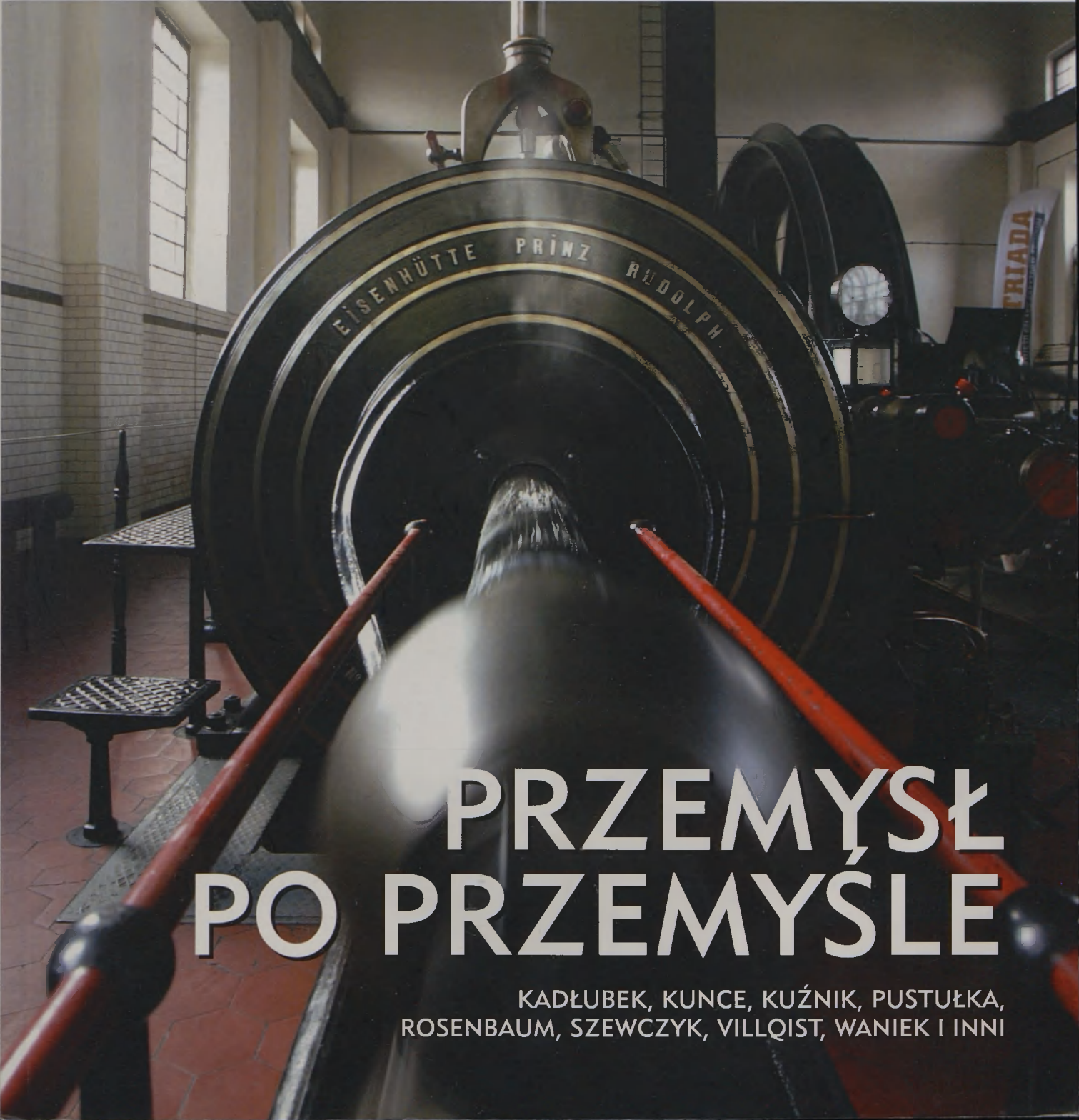
Nr 2 (16) 2017

Cena 10 PLN /w tym 5% VAT

ISSN 2084-9621 nr indeksu: 284017

Fabryka Silesia

KWARTALNIK



PRZEMYSŁ PO PRZEMYSŁE

KADŁUBEK, KUNCE, KUŹNIK, PUSTUŁKA,
ROSENBAUM, SZEWCZYK, VILLQIST, WANIEK I INNI



Max Steckel, hotel Admiralspalast
(Muzeum Miejskie w Zabrzu)



Nr 2 (16) 2017

Wydania internetowe: www.fabrykasilesia.pl
ISSN 2084-9621, nr indeksu: 284017

Wydawca:

Regionalny Instytut Kultury w Katowicach –
Instytucja Kultury Województwa Śląskiego
ul. PCK 19, 40-057 Katowice
www.rik.katowice.pl
p.o. dyrektora: Adam Pastuch, tel.: (32) 251-75-63

Adres redakcji:

40-057 Katowice, ul. PCK 19
Tel.: (32) 201-77-74
E-mail: redakcja@fabrykasilesia.pl
Facebook: www.facebook.com/fabryka.silesia

E-wydanie na: publio.pl i virtualo.pl

Redaktor naczelny:

Krzysztof Karwat (kkarwat@fabrykasilesia.pl)

Administracja, sekretariat, sprzedaż hurtowa:

Beata Przybylska (bprzybylska@fabrykasilesia.pl)

Rada Redakcyjna:

Zbigniew Kadłubek, Waldemar Szymczyk,
Ingmar Villquist

Realizacja poligraficzna:

LAVENDE Jolanta Budzyńska

Korekta: Grażyna Kwiek

Na okładkach:

1. Maszyna parowa z roku 1915. Szyb Carnall
zabrzańskej Sztolni Królowa Luiza.
Zdjęcie: Arkadiusz Gola/Dziennik Zachodni

2. Hotel Admiralspalast w Zabrzu.

Zdjęcie: Max Steckel (Muzeum Miejskie w Zabrzu)

4. Bronisław Linke, *Skarbnik* z cyklu *Śląsk*
(rekonstrukcja Zbigniewa Włodarskiego;
Muzeum Narodowe w Warszawie).

Sprzedaż: w siedzibie redakcji, sklepie internetowym
(www.fabrykasilesia.pl/sklep) oraz na terenie całego
kraju w punktach dystrybucyjnych: Kolportera,
RUCH-u oraz w sieci EMPIK-ów.

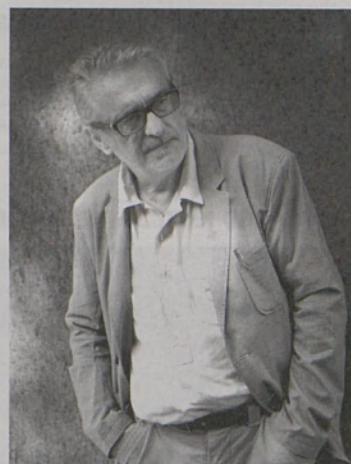
Reklamy i promocje: (cennik w sekretariacie)



Wydano z finansowym wsparciem
Urzędu Miejskiego w Zabrzu

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych.
W materiałach przyjętych do druku, także fotogra-
ficznych bądź graficznych, zastrzega sobie prawo
do zmian i skrótów. Rozpowszechnianie tekstów
zamieszczonych w kwartalniku, także z jego wydania
internetowego, bez zgody wydawcy jest zabronione.
Nakład: 1500 egz.

Po zamknięciu tylu
kopalń, hut, przestarzałych
elektrowni, koksowni,
zakładów chemicznych
i państwowych fabryk
Górny Śląsk nie zapadł
się pod ziemię. Ale
niepewność pozostała, bo
procesy restrukturyzacyjne
wcale się nie zakończyły.



Przekonują o tym głosy Aleksandry Kunce i Marka S. Szczepańskiego, otwierające ten numer naszego kwartalnika. Przypominają, jak wiele zależy od stanu świadomości, od umiejętności pogodzenia się z nieuchronnością zmian, które ciągle jeszcze przed nami. Okazuje się, że łatwiej przeobrazić otaczającą nas przestrzeń, niż się w niej zmieścić i niejako na nowo tu zamieszkać. Mentalnie nadal tkwimy w rzeczywistości, której relikty albo pobudzają nas do bezrefleksyjnej tęsknoty za „starymi dobrymi czasami”, albo zamykają w apatii i poczuciu niezasłużonej krzywdy.

Jak zwykle głęboko spoglądamy w przeszłość, chwalimy się dorobkiem cywilizacyjnym i społecznym, z dumą i satysfakcją wskazując te świadectwa wielkiej przemysłowej i społecznej, które udaje się ocalić. Przykład Zabrza i szans, jakie się otwierają przed turystyką (i kulturą) na obszarach poprzemysłowych, jest budujący i znajduje coraz więcej naśladowców. Lecz wcale nie chodzi tylko o biznes i pieniądze. Gra idzie o wyzwolenie energii społecznej, bo bez niej nie ruszymy w przyszłość. Liczy się impuls, który pchnie nas do przodu. Nie lamentujemy więc, ostrożnie wskazujemy perspektywy i szanse.

Wiodące eseje i artykuły publicystyczne napisały kobiety, na co dzień związane ze środowiskami naukowymi i medialnymi. Nie wiem, dlaczego tak się stało. Jakiś tajemny znak? Niechby tak było. Ewoluuja wzorce kulturowe, modele życia i gospodarowania. Bądźmy gotowi. Start!

Krzysztof Karwat
redaktor naczelny

4 | ALEKSANDRA KUNCE

Jak na nowo tu zamieszkać?

Dawne fabryki wabią i niepokoją. Uległy transformacji, stając się muzeum, galerią, kawiarnią, tąką, ścieżką na trasie turystycznej, polami golfowymi, loftami, terenem aktywności sportowej i kulturalnej, wreszcie opuszczoną i zagubioną w przestrzeni architekturą przemysłową.

10 |

Śląsk to jeszcze nie postindustria



Z socjologiem prof. MARKIEM S. SZCZEPAŃSKIM rozmawia
WALDEMAR SZYMOCZYK

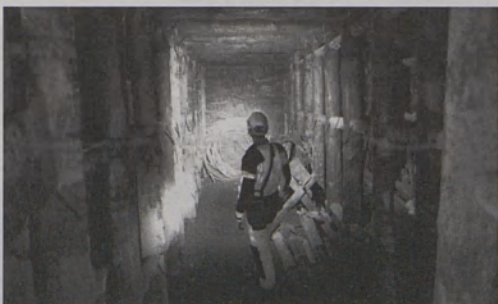
16 | HENRYK WANIEK

Tu stały huty

Prawdopodobnie była to parowozownia. Tyle że nie taka półokrągła, z karuzelą pośrodku, kierującą każdy parowóz do właściwej bramy. Ta była wielką halą z dużą ilością torów. Między szynami znajdowały się zagłębienia, gdzie wszedłszy można było podglądać, co lokomotywa ma pod sukienką.

20 | JÓZEF KRZYK

Przemysł po przemysły



Wydobycie skończyła ostatnia w Zabrzu państwowa kopalnia. Ale w ciągu roku pod ziemię zjeżdża tu więcej ludzi, niż zatrudnia dziś całe polskie górnictwo. Turystyka przemysłowa stała się nowym znakiem rozpoznawczym miasta. I szybko rozwinęła na skalę nowego przemysłu – największy kompleks tras podziemnych w Europie.

24 | MONIKA KASSNER

Ratujmy, co się da

Oglądając górnośląskie pocztówki z pierwszych dekad XX wieku, wzdychamy z nostalgią za tym, co odeszło. Przepiękne kamienice, uporządkowane parki i skwery, szerokie ulice i tętniące pracą zakłady przemysłowe. A wszystko skomponowane z pietyzmem i dbałością o szczegóły.

28 | ANNA MROWIEC

Tajemnice lasów karbońskich

Zabrzeńska wieża ciśnień przy ul. Zamojskiego ma szansę stać się unikatowym w skali kraju multimedialnym centrum edukacyjno-wystawienniczym. Piękny, zabytkowy budynek będzie miał bowiem nowego właściciela – Muzeum Górnictwa Węglowego.

32 | SEBASTIAN ROSENBAUM

Powidoki innego industrialu

Zanim stał się krainą węgla kamiennego, Górny Śląsk był ziemią cynku i ołowiu. Górnictwo okazało się przeznaczeniem wschodniej części regionu co najmniej od średniowiecza, ale kolebki górnośląskiego kopalnictwa – Bytom i Tarnowskie Góry – nie były związane z węglem.

38 | HANNA DOROZ-TOMASIK, GRZEGORZ JANKOWSKI

Koń a sprawa śląska

Współcześnie przestrzenie miejskie nie są kojarzone z powszechnym użytkowaniem koni. Jednak, jak dowodzi historia, one również były areną ich rozległego i wielokierunkowego wykorzystania. Śląsk nie jest w tym przypadku wyjątkiem.

42 | GRAŻYNA KUŹNIK

Synek z zielonych domków



Gdyby Paweł Pogodała z polskiego Chebzia spotkał rówieśnika Horsta Eckerta z ulicy Ciupkawe w niemieckim Zabrzu, to byliby chichry. Horst nosi białe podkolanówki, trzewiki, chustkę z pomponikami, przyłizane włosy w ząbek, tłuste od pomady. Matka zabiera go na lody w kawiarni hotelu Admiralspalast.

48 | GRAŻYNA KUROWSKA

Wizjonerzy z pól kukurydzy

Idę poboczem. Wszędzie przestrzeń, z daleka widać drzewa. Świeci słońce, rozpinam kurtkę i nabieram haust świeżego, marcowego powietrza. No, chyba się zagalopowałam. W Zabrzu świeże powietrze?

52 | AGATA PUSTUŁKA

W poszukiwaniu śląskiego Pittsburgha

Zabrze umożliwiła wycieczkę przez dwa światy. Kopalnię Guido zwiedza się jako pamiątkę po przeszłości. Przenosimy się w lata 70. XX wieku, w złote czasy górnictwa, choć niekoniecznie złote dla górników pracujących w kieracie czterozmianówki. Przekupywano ich jednak zarobkami i socjałem.

58 | EWA FURTAŁ

Miasto stu przemysłów

Bielsko i Biała to były dwa oddzielne miasta. Dzieliła je rzeka Biała, przez którą przebiegała granica państwowa, także granica Śląska i Małopolski. Starsze i znacznie bogatsze Bielsko miało wielkomiejskie ambicje, Biała, bardziej prowincjonalna, pozostawała w jego cieniu.

62 | KRYSZTOF WĘGRZYNEK

Silesia semper transformanda?

Kiedy przejeżdżam Chorzowską i mijam wieże osaczające coraz bardziej kościół w katowickim Dębie, narasta we mnie myśl: czy powstanie tu kolonia szklanych domów, czy wcześniej Załęże pójdzie na barykady?

68 | GRAŻYNA BARBARA SZEWCZYK

Baron, Tkaczyk, Heiduczek i inni

Wykreowany w mediach wizerunek Janoscha, autora powieści o Cholonku, promocja przekładów jego książek dla dzieci i dorosłych oraz towarzysząca im ogromna liczba imprez spowodowały, że – paradoksalnie – twórczość wielu innych utalentowanych niemieckich pisarzy z rodowodem zabrzańskim szybko została zapomniana.

74 | WILHELM TKACZYK

Wiersze

76 | ZBIGNIEW STRYJ

Wiersze

78 | PIOTR HNATYSZYN

„Idealizowana podróż przez kopalnie”. I okolice

Carl Louis Max Steckel urodził się 26 maja 1870 roku we Frankfurcie nad Odrą, w rodzinie ewangelickiej. Jego rodzicami byli mistrz krawiecki Carl August Steckel i Louise Wilhelmine Steckel z domu Schüler.

82 | INGMAR VILLQIST

Fascynacja i strach

Oglądam akwarele Bronisława Linkego (1906–1962) z cyklu *Śląsk*. Powstały w latach 1936–1938. To 30 prac, z których ocalało sześć, osiem znamy ze zdjęć wykonanych przez Linkego, inne z rekonstrukcji Zbigniewa Włodarskiego.

88 | MARCIN MOŃKA

Made in Silesia

Objechała chyba już wszystkie najważniejsze festiwale i targi designu. Zrobiono jej setki zdjęć. Stała się wręcz symbolem projektowania na Śląsku. O czym mowa? O biżuterii z węgla katowickiej Pracowni bro.Kat.

94 | ZBIGNIEW KADŁUBEK

Manifest antytechniczny

Nie jestem technosceptykiem od zawsze. Ale teraz, właśnie teraz marzę coraz częściej i coraz bardziej kolorowo o dalekich miejscach. Bo rzeczywistość najbliższa to nie tylko rozczarowanie, ale także źródło wielkich cierpień.

96 | INGMAR VILLQIST

Szyb

Kiedy w trzeciej klasie liceum wiedziałem już mniej więcej, czym chcę się zajmować w życiu, rozpocząłem wędrówki po moim mieście, poszukując miejsc, obiektów, które pozwoliłyby zobaczyć i dotknąć własną ręką historii wielkiej architektury poznawanej w albumach.

98 | KRZYSZTOF KARWAT

Ile żelaza w marchewce

Mam wiele takich miejsc, gdzie odczuwam trudny do zdefiniowania powab historii Górnego Śląska, znaczonej przede wszystkim ciężką pracą naszych przodków. Z żalem i odrobiną sentymentu konstatuję, że tych zakątków jest coraz mniej. Ale się bronią. Daj Boże, by skutecznie.

100 | KSIĄŻKI

Nadesłane i wypatrzone



Jak na nowo tu zamieszkać?

Dawne fabryki wabią i niepokoją. Uległy transformacji, stając się muzeum, galerią, kawiarnią, łką, ścieżką na trasie turystycznej, polami golfowymi, loftami, terenem aktywności sportowej i kulturalnej, wreszcie opuszczoną i zagubioną w przestrzeni architekturą przemysłową.

5

Imperia przemysłowe i wojskowe zasadzają się na poczuciu służby i oddania. Wypełnianie obowiązku było związane z poczuciem bycia we wspólnocie tych, którzy przybyli do cywilizacyjnych ośrodków w XVIII i XIX wieku, do hut i kopalń, by zaznać miejskiego życia, swobody i dobrobytu. Wypełnianie obowiązku w końcu stało się służbą miejscu, które się rozszerzało, było fabryką, domem, okolicą, krajobrazem, regionem. Obowiązek, przez politykę i kapitał, stawał się czasem służalczą pracą dla właściciela, rodu, państwa, narodu, ideologii.

Miejsca postindustrialne przez owo „post” są już wydobyte przez czas, po tym jak zapomniany został hałas i ruch fabryk. Zawsze to miejsca jakoś okaleczone i bezwładne, nawet wtedy, gdy zachwycają dizajnem i wydają się na nowo tętnić życiem zwiedzających, jak w Essen, w Ostrawie czy w Zabrze. Przechadzając się po błyszczących muzeach i tandetnych centrach handlowych, powstałych na terenach dawnych wielkich zakładów przemysłowych, wystarczy chwila refleksji, by przedostać się do drzemiącego pod nimi doświadczenia końca, również końca zadomowienia. Czy jesteśmy skazani już tylko na oglądanie spektaklu pośmiertnego, po końcu tego, co było niegdyś tak troskliwie przez nas pielęgnowane i szanowane? Czy możliwe jest na nowo zamieszkanie w miejscu postindustrialnym?

Miejsce, z którego trzeba uczynić ideę

By stało się to możliwe, trzeba uczynić z dawnej fabryki ideę, na nowo się z tą ideą związać, mieć świadomość, że znów jesteśmy w postfabryce częścią czegoś wielkiego. Rozsiani w przestrzeni, spotykający i mijający się z sobą, w przejściach i w przepływach, znów odkrywamy, że tym, co nas ożywia, jest ciężar miejsca. Czujemy, że znów stąpamy po ziemi.

W odniesieniu do architektury domów czy katedr nie mamy problemu z powiązaniem bryły budynku z zadowoleniem. Trudniej z fabrykami. Wydawać by się mogło, że nie miały nas zadowawiać, gdy jednak wnikliwiej się im przypatrzemy, to dostrzeżemy, że kryła się za nimi idea związania człowieka z miejscem, wyrażona w dopasowaniu architektury do miejsca, w kształtowaniu okolicznej przestrzeni osiedli robotniczych, budynków użyteczności publicznej służących mieszkańcom codziennie, ale i we współtworzeniu odpowiedzialności za miejsce dane nam geograficznie i odziedziczone historycznie. Fabryka to nie tylko architektura i plany zagospodarowania przestrzeni, to złożona kulturowa rzeczywistość, która wytwarza ruch, inicjuje zachowania i myśli, nadaje znaczenia, ustanawia relacje społeczne.

Udajemy się do postfabryki po tym, jak zaszła w nas istotna zmiana, a doświadczenie przemysłowe zostało oddalone. Podejmujemy trud zbudowania więzi z tym, co odległe, a może już i obce. Widzimy w postfabryce nie tylko pole działającej erozji, ale i uzdrawiającą rolę w odnawianiu naszego zadowolenia w czasoprzestrzeni, kiedy nasz dom i nasza pamięć zostały zagrożone utratą. Postfabryka pozwala na zrozumienie tego, kim jesteśmy, by wyrwać się z bezkształtnego przepływu i ulotności. Snując się po przestrzeniach dawnej fabryki, teraźniejsze doświadczenia mieszają się z dawnymi obrazami, fotografiami, opowieściami rodzinnymi, dawnymi relacjami prasowymi i radiowymi.

Miejsce, gdzie jesteśmy „po sobie”

Miejsce postindustrialne, w którym znów nastąpiło ożywienie, a nowa galeria czy instytucja edukacyjna pozwoliła miejsce wydobyć na nowo, staje się swoistym moralitetem. Sobą powtarzamy ruch tworzenia świata, wznoszenia fabryk, trud podtrzymywania produkcji i poddanie się dyscyplinie życia, ale i sobą powtarzamy ruch niszczenia i zamierania.

Miejsce przynosi naukę o upadku rzeczy, ludzi i fabryk, która jest jednocześnie nauką o odrodzeniu. Nie chodzi jedynie o to, by się „coś działo” i by zabawa zdominowała dawne miejsce. Nie idzie o kultywowanie konsumpcji, rozrywki czy beztroskiego dizajnu, ale o takie transformowanie miejsca, by wydobyć je na nowo poprzez wartość bycia w miejscu, w którym istniejemy po sobie, jedni po drugich, ustępujący miejsca następcom. W postfabryce dochodzi do osobliwej wymiany. Nasze emocje, przeżycia, doświadczenia, historie przelewamy na miejsce, które podejmujemy już „post”, ale i transformowane miejsce użycza nam własnej historii i organizacji przestrzeni, stymulując nasze myśli i działania.

Nasze ciało pojawia się w zastępstwie niezliczonych ciał, które przed nami, przez pot, zmęczenie, pamięć powtarzalnych ruchów, może naznaczenie, wyczerpanie czy okaleczenie, to miejsce zapełniały sobą i je współtworzyły. Miejsce łączy nas ze zmarłymi. Wszystko tu związane jest z realnym przemieszczaniem się, oglądaniem przestrzeni, słuchaniem odgłosów fabryki, dotykiem faktury maszyn, podłoża i ścian, odbieraniem zapachów fabryki. Specyficznie pachnie port, dom, perfumeria, cukiernia, ale i fabryka. Fabryka to sfera wężu, dotyku, wzroku, słuchu, to sfera zmysłowej i intelektualnej wyobraźni. Zachowuję środki ostrożności, poruszam się wytyczonymi ścieżkami, jadę kolejką, zachowując środki bezpieczeństwa – zakładam kask, schylam się, gdy trzeba etc. Postfabrykę trzeba sobie umieć wyobrazić. Ciało zwiedzającego już nie musi posiadać tej wiedzy i być w takiej gotowości na podjęcie niebezpieczeństwa, jak ciało pracownika dawnej fabryki, ale wciąż w strzępach wraca pokornie realizowane posłuszeństwo ciała.

Postfabryka rzutuje na nas miarę, jakbyśmy bez tej przestrzeni byli pozbawieni formy i znaczenia, wzmacnia naszą podmiotowość. Do miejsc postindustrialnych udajemy się nie po to, co rysuje się nam jako oczywiste – spektakl, zakupy, ekspozycja muzealna, warsztaty edukacyjne, smakowanie trunków na poziomie 320 metrów pod ziemią, emocje sportowe etc.; ale po to, co jest ukryte, co jest źródłową prawdą o domu i przemijaniu rzeczy, co niepokoi nas i wyprowadza poza siebie ku temu, co nienazwane i niezrozumiałe. W służbie czego jedni po drugich tak samo wypełniamy obowiązek bycia w miejscu i bycia dla miejsca? Skąd przychodzi to, co nas niepokoi? Rozumiejące bycie w miejscu postindustrialnym jest w jakimś stopniu podróżą do źródła. Odwiedzamy takie miejsca, jak się odwiedza domy, ale i cmentarze.

Miejsce, gdzie cichnie praca

Kiedy cichnie praca, następuje koniec porządku rzeczy. Cichnie praca – może nadmiernie eksploatująca człowieka, a może zrośnięta z dobrym wydobyciem w człowieku tego, co największe, a może tylko dopasowana do ludzkiego rytmu życia, które domaga się nadania mu wartości i formy. Ludzkie poczucie utraty nagle zostaje przerwane na czasoprzestrzeń, to ona zostaje bez pracy, bez ludzi dobrej roboty, sobą oznajmia koniec i oddalenie. Stanowi akustyczną i wizualną surowość. Przejmujące jest doświadczenie dawnej

kuźni kopalnianej, która już dzisiaj tonie w ciszy, czy doświadczenie unieruchomionej maszyny wyciągowej.

Dawne rośle szyby fabryczne, widoczne z oddali dla przybywających, niczym średniowieczne katedry, na swój sposób uświęcały przestrzeń i orientowały przybysza wędrującego za chlebem i dostatkiem. Dziś osamotniony pokopalniany szyb nieśmiało dominuje nad okolicą, gdy szklane wieżowce biurowców i apartamentowców na nowo definiują przestrzeń miasta. Jednak samotne budynki fabryczne, wieże ciśnień czy szyby wciąż wabią z oddali, wciąż są niczym święte wieże, nakierowujące już innych pielgrzymów, wyruszających w drogę w innym celu. Wieża ciśnień przyciąga nas, bo roztacza na okolicę aurę metafizyczną.

Dobrze, gdy „post” przepisuje powagę miejsca i jest potężnym gestem w przestrzeni, gdy wiąże to, co powierzchowne, z tym, co ukrywa się głęboko pod ziemią, co stanowi rozległy podziemny fundament miasta. Rozrastające się miasto zawdzięcza nieczynnym kopalniom właściwą perspektywę i oddech. Z miejscem, które przestało być pojmowane funkcjonalnie, na nowo nawiązuje się więź, uzmysławiając sobie przynależność do czegoś, co było niezauważone, a może deprecjonowane. Osamotnione hale produkcyjne czy błyszczące na nowo maszyny okazują się podtrzymywać miejsce energią.

Miejsce, w którym wciąż jestem na posterunku

Kopalnia czy huta zniknęły, a my trwamy w miejscu, pilnujemy jego powagi i znaków. Zawsze jesteśmy tu, gdzie mamy być. Znajdujemy się oto w centrum cywilizacyjnego zakorzenienia i jesteśmy w centrum rodzinnej poprzemysłowej Europy. Wokół ruiny dawnej fabryki wciąż powiększa się okrąg oddziaływania, a dawna fabryka promieniuje jako istotne centrum, które rozchodzi się we wszystkich kierunkach i tym samym kształtuje rytm przestrzeni kulturowej. To źródło będące mieszaniną duchowości i materii, mocy i subtelności, trwania i degradacji. Postfabryka dynamizuje przestrzeń, już nie tylko architektoniczną, ale wspólnotową. Wciąż jest przestrzenią metafizyczną i zachowuje więź między człowiekiem i miejscem, koniecznością i indywidualnie wypełnionym losem, pracą i sensem. Samotnie sterczący szyb pokopalniany, zasypiane stawy poprzemysłowe, ale i oślepiający neon zachęcający do zwiedzania czegoś, co już nie istnieje w dawnym kształcie, wciąż stanowią siłę, która zanurza nas w miejsce, blisko korzeni i idei zdomowienia.

Przez złaczenie w bólu z powodu utraty dawnego oblicza miejsca następuje powolne przejście do myślenia o miejscu jako zakorzenionym centrum, wciąż emanującym mocą tworzenia świata, nieustannie ustanawiającym dla nas to, co okoliczne, współtworzącym wspólnotę tych, którzy w miejscu, w rytmie życia i śmierci, wciąż tak samo podtrzymują świat.

Miejsce, które staje się swoistym ogrodem

Fabryki, które ucichły, mieszczą pamięć o wielkiej erze przemysłowej, która wykreowała i masową pracę, i masowe plany unowocześnienia życia, i masowe usprawnienia codzienne, i masowe transformacje

Dawne rośle szyby fabryczne, widoczne z oddali dla przybywających, niczym średniowieczne katedry, na swój sposób uświęcały przestrzeń i orientowały przybysza wędrującego za chlebem i dostatkiem. Dziś osamotniony pokopalniany szyb nieśmiało dominuje nad okolicą, gdy szklane wieżowce biurowców i apartamentowców na nowo definiują przestrzeń miasta.

Miasto nadało ogrodom i parkom ważną funkcję skrojenia natury w mieście, w sam raz na miarę człowieka. Ogród i park są bezpieczne w kontakcie z naturą, dzikość zostaje w nich transformowana w jedynie lekki niepokój i wytchnienie, miejskie doświadczenie umiejętnie kształtuje relacje dom–zieleni–bezpieczeństwo, by walka nie była konieczna.

miast, i masową wędrowną, i masowe polykanie przestrzeni i czasu, i masowego człowieka. W przestrzeni miast, a zwłaszcza w pobliżu fabryk, stanowiących motor rozwoju życia miejskiego, tęskni się za ogrodami. Miasto nadało ogrodowi i parkom ważną funkcję skrojenia natury w mieście, w sam raz na miarę człowieka. Ogród i park są bezpieczne w kontakcie z naturą, dzikość zostaje w nich transformowana w jedynie lekki niepokój i wytchnienie, miejskie doświadczenie umiejętnie kształtuje relacje dom–zieleni–bezpieczeństwo, by walka nie była konieczna, by natura sprawiała nam miłą niespodziankę strumykiem czy ruiną.

Fabryka, wydawać by się mogło, daleka od idei ogrodu, jest rozległą przestrzenią w mieście, która miasto rozrywa, wprowadzając to, co puste, niereprezentacyjne, osnute dymem i mgłą. To rzeczywiste terytorium, a efekt pracy – widzialny. Fabryka huczy, dymi, jest osobnym rewirem życia, który napędza rytm miasta. Postfabryka wciąż pozostaje rzeczywistym terytorium, może okrojonym w posiadłościach, może nie dość odseparowanym murem, może odstraszącą ruiną, może zaciekawiającą nową formułą eksploatacji, może nie do poznania po przeobrażeniach architektonicznych, ale wciąż jest rzeczywistą ziemią. Jest rozległym obszarem w mieście, którego można dotknąć i po nim spacerować. Przeobrażenia zmiękczają to terytorium, formując je niczym parkową przestrzeń dającą wytchnienie mieszkańcom.

Przed wszystkim postfabryka, niczym ogród, zachowuje „puste” w obrębie miasta. Nie da się jej do końca zapełnić, widoczne są szwy dawnej aktywności. Więcej, postfabryka, niczym ogród, wymaga pielęgnacji tego, co puste. Postfabryka jest poluzowaniem tego, co nadmiernie miejskie, spełniając ważną rolę w miastach przemysłowych. Zapewnia tożsamość, z zachowaniem swobody i rozmachu życia.

Miejsce, gdzie życie znów jest zdarzeniem

Miejsca postindustrialne znów zapisują przestrzeń zdarzeniami: wystawami, uruchomioną ponownie maszyną parową, wprawioną w ruch kolejką. To, co było zamarłą formą, teraz w pozornie niezobowiązujący sposób przekształcane jest w zdarzenie. Mimo że dawne rytmy pracy urządzeń już nie podlegają strategiom i efektom produkcji, to znów chodzi o zaproszenie życia w obumarłą przestrzeń. Postfabryka to przebudzenie siły, znów ważne są zdarzenia, ludzie, rzeczy, chociaż podlegają już filozofii fragmentu.

Postfabryka nie musi produkować, uległa rozszczepieniu, będzie już zawsze miejscem-cytatem, przesiąkniętym dystansem. Przychodzi z oddali. Odstania teraz piękno i wielkość. Nie służy już dawnym panom – funkcjom. Została oczyszczona z dawnej polityki i historii. Także z dawnej hysterii wydajności i szybkości. Już bez impetu przeszłości, bez opresji imperium, zwykle wznoszonego na ofiarach, teraz zostaje wprzęgnięta w codzienne życie, w którym ciekawość wypiera przemoc potężnego zakładu pracy. Wyzbyta dawnej użytkowości, teraz staje się otwartą formą. Ale przez związanie z miejscem, w którym się znajduje, z ziemią, z regionem, przez związanie z ludźmi, nie może przestać być zdarzeniem. W niej wciąż się ożywia i zatrzymuje maszyny, coś zostaje oświetlone, by za chwilę pogрузić się w mroku, hałas, powołany za sprawą zwiedzających, po chwili przechodzi w ciszę.

Miejsce, gdzie znikamy w mroku

Fabryka łąknęła światła, chociaż tonęła w mroku, w dymach, w pyłach. Oświetlenie, uszczuplające zyski, umożliwiało pracę zmianową. Sztuczne światło było nie tylko funkcjonalne, ale umożliwiało uzyskanie w fabryce efektu iluminacji, przez co, niczym w katedrze, oświetlone zostawały rzeczy i rozłożone akcenty, czyniąc przestrzeń uroczystą. Benzynowa lampa górnicza Davy'ego, umożliwiająca wykrywanie metanu, lampy gazowe zapewniające oświetlenie i w końcu wykorzystanie prądu do wytworzenia światła i powstanie szklanej żarówki, rozwój sieci dystrybucyjnej oświetlenia elektrycznego – to wszystko wydobywało fabrykę z ciemności, ale nigdy nie wydobyło jej z ciemności całkowitej.

Fabryka zawsze była zanurzona w mroku, i tym dosłownym, i metaforycznym. Najbliższe otoczenie fabryki, otoczenie maszyn było oświetlone, ale mrok, który spowijał krajobraz przemysłowy, mrok, który czynił osobnymi rewiry huty czy kopalni, powodował, że fabryka przywoływała ciemność prawdziwą i korespondowała z ciemnością człowieka. Sekrety fabryk, kunszt pracy, dyscyplina i okrucieństwo, samotność i wspólnota łączyły się tu w nieprzejrzywym porządku. Otoczenie człowieka było ciemne, niepewne, znaczone światłem Oświecenia i pochodem rozumu, rachunkiem ekonomicznym, ale przeniknięte mocami ciemnymi, duchami, upiorami, dziwami, chorobami, śmiercią, namiętnościami, strachem, upadkiem. Mrok i półmrok rozbudzają naszą wyobraźnię. Jednolite światło standaryzuje człowieka, zrównuje jego doświadczenia, unieruchamia wyobraźnię, a dopiero cienie, półmrok, okoliczna ciemność czynią miejsce wielowymiarowym.

Upadek świata fabryk niebezpiecznie wydobywa na jaw to, co tonęło w mroku i okrywało dopasowanie ciemności człowieka i ciemności fabryki. Postfabryka wydawać by się mogło, że ujawnia za wiele, demaskuje tajniki pracy dla niewtajemniczonej masy. Świat ruiny jest tu światem upadku przez nadmierne światło skierowane na przestrzeń, która powinna tonąć w mroku. Jednak, gdy uważniej spojrzymy w organizację przestrzeni postindustrialnej, to zauważymy, że możliwe jest dobre wyeksponowanie przestrzeni, z zachowaniem dyskrekcji, z pilnowaniem półmroku, zachowaniem cieni minionego.

Gęste półcienie, szelest kroków, odgłosy urządzeń w takim miejscu wciąż są zaporą przed naszym wzrokiem, który chce wszystko uczynić czytelnym i jednoznacznym. A ciemność Ja znajduje ukojenie w momencie bycia w postfabryce – w otoczeniu maszyny, w samym centrum oświetlonego i oślepiającego blichtrem miasta. Miejsca postindustrialne w mieście są takimi przestrzeniami półmroku, które powinny być chronione również przez wzgląd na to, że dają nam schronienie przed nadmierną jasnością.

Miejsce, w którym nabieramy respektu

Postfabryka wymaga respektu. Może usuwa niebezpieczeństwo i nie zagraża nam śmiertelnie, gdy przechadzamy się dawnymi traktami pracy, ale wciąż wyczuwalny jest w niej oddech minionego. Zachowujemy respekt wobec porządku, który fabryka powołała, spajając rytm ludzi, rytm pracy i rytm natury. Jesteśmy słabi, dlatego mierząc się z naturą, potrzebny jest nam dryl, hierarchia, początek i koniec pracy, etapowość, procedury, potrzebna jest sztuka planowania, zarządzania, realizacji zadań i kontroli, ale i sztuka podtrzymywania mechanizmu – konserwowania, reperowania i odnawiania. Potrzebny jest czas, pokora w etapowym czekaniu na efekt końcowy, na który pracuje zespół. Ustalone ścieżki istnieją po to, by z nich nie schodzić. Postfabryka zaszczerpia nam podziw dla dawnej wielkości. Teraz, niczym wyeksponowane dzieło sztuki, istnieje wolne i nieużyteczne, zachwyca pięknem.

W ruinach postfabryki tkwi coś lirycznego, ale i wstrząsającego nami do głębi. Dom solidny i wywrócony, w potęgę i chwale, ale i w kruchości, pokazuje siłę naszego podłoża. Wrośliśmy w krajobraz. Chodzimy posłusznie chodnikami udostępnionymi zwiedzającym, dotykamy maszyn, odnajdując okrucieństwa powodów, dla których znaleźliśmy się w tym, a nie innym miejscu. Rzuceni w miejsce, próbujemy go dotknąć z oddali. Postfabryka taką przeprawę, może i w samo jądro ciemności, nam oferuje. Śmiertelność budynków istnieje w korespondencji ze śmiercią tych, którzy przed nami tworzyli miasto i pracowali na rozmach fabryki, po czym zapełnili ciałami wspólne podłoże.

Jesteśmy poddanymi miejsc, z których nigdy nie wyrosliśmy, stajemy się ich częścią, przejmując dynamikę życia i śmierci. Wyobraźnia, którą uruchamiamy w miejscach postindustrialnych, pozwala wejść w głąb myślenia, które przechowują dawne kopalnie czy huty. Jedni po drugich pełniimy wartę w miejscu, eksploatujemy je i dbamy o nie, zadajemy mu rany i odradzamy. ■

Aleksandra Kunce

– dr hab., adiunkt w Zakładzie Estetyki i Antropologii Przestrzeni na Uniwersytecie Śląskim

Śląsk to jeszcze nie postindustria

Z socjologiem prof. **MARKIEM S. SZCZEPAŃSKIM**
rozmawia **WALDEMAR SZYMCZYK**

Potocznie o Śląsku mówi się „region postindustrialny”, bo mamy nieczynne kopalnie, puste pofabryczne hale, ruiny upadłych zakładów przemysłowych. Ale czy to wystarczy, żeby tak nazywać Śląsk?

– Myślę, że to jest stwierdzenie przedwczesne, nie w pełni uzasadnione. W socjologii mamy bowiem trzy szczeble rozwojowe. Pierwszy nazywa się społeczeństwem, czy regionem tradycyjnym, w którym dominuje pierwszy sektor gospodarczy: rolnictwo, przemysł wydobywczy. Niektórzy, żeby ubarwić ten termin, używają terminologii stomatologicznej – przemysł ekstrakcyjny. Drugi – to społeczeństwo industrialne, przemysłowe, gdzie dominuje przemysł przetwórczy, maszynowy, w tym np. motoryzacyjny, tak mocno obecny w życiu województwa śląskiego. I wreszcie jest szczebel postindustrialny, gdzie dominują usługi dwójakiego rodzaju – tradycyjne: szewskie, krawieckie, fryzjerskie i te świadczone drogą sieciową: *e-commerce*, *e-education*, *e-medicine*. Przyjmuje się, że mamy społeczeństwo postindustrialne, jeśli większość mieszkańców utrzymuje się właśnie z tego trzeciego sektora. Dlatego, przy całym szacunku do przemysłu wydobywczego, zamykanie kopalń to jeszcze nie jest oznaka postindustrii. Dopiero kiedy w miejsce kopalni czy huty pojawi się trzecie-sektorowy element gospodarki, a zwłaszcza ten sieciowy, i zdecydowana większość ludzi będzie w nim pracować, możemy mówić o postindustrii gospodarczej.

Ale większość ludzi w naszym regionie, 63 proc. (58 proc. w Polsce, dane za III kwartał 2016 roku), pracuje w usługach.

– Śląsk odrywa się od drugiego szczebla tej mitologicznej drabiny Jakubowej, podąża w kierunku postindustrii, ale wciąż trudno to porównywać z regionami postindustrialnymi Unii Europejskiej czy Stanów Zjednoczonych. Tam dosłownie zaorano przestrzeń, gdzie były kopalnie czy huty. A u nas wciąż górnictwo jest żywicielem potężnej liczby ludzi, bo daje zatrudnienie 80 tys. osób. Ten proces, który widzimy, raczej nazwałbym etapem przejścia od industriad do postindustrii.

W głosie wielu ludzi słysząc nostalgię, kiedy mówią o odchodzeniu tego Śląska industrialnego. Mamy cieszyć się, że nadchodzi ten postindustrialny?

– Wydaje mi się, że odwiedziłem wszystkie ważniejsze ośrodki postindustrii w Europie i Ameryce, i powiem tak: pożegnanie kopalni dobrodziejki jest nieuchronne. Ale to, co mnie uderzyło w Zagłębiu Ruhry, Pittsburghu, to pozostawienie industrialnych śladów. Byłem urzeczony, gdy widziałem w Zollverein wycieczkę uczniów, którym nauczyciel wyjaśnia:

„Tu wasz dziadek pracował, tu wasi rodzice pracowali”. Ludzie muszą mieć świadomość, jakie są losy historyczne, jakie są korzenie. Jestem zwolennikiem, żeby z szacunkiem odnosić się do przeszłości. Ale czas pożegnania kopalń jest nieuchronny. Dają one chleb, niektórym dobry chleb, ale odwrotu nie ma.

Skoro liczba zatrudnionych w usługach nie jest jedynym wskaźnikiem, to czym jeszcze różni się społeczeństwo industrialne od postindustrialnych?

– Różnic jest wiele. Gdybym miał odpowiedzieć krótko i czytelnie, to różni się zasadniczo w sferze wartości. Społeczeństwo industrialne to społeczeństwo wartości materialistycznych. Tutaj rządzi pieniądź, myślenie o pieniądzu, o utrzymaniu rodziny, jest kluczowe. A społeczeństwo poprzemysłowe nastawione jest na wartości, które nazywamy terminalnymi, ostatecznymi. Miłość, przyjaźń, szacunek dla zwierząt, przyrody. Trzeba jednak pewnego progu zamożnościowego, żeby przejść od myślenia w kategoriach materialistycznych do myślenia postmaterialistycznego. Na szczęście coraz częściej spotykamy się z przejawami tego myślenia postindustrialnego.

To miękkie wskaźniki, trudno mieralne. Jak więc socjologowie badają te zjawiska?

– Patrzymy np., ile osób zrobiło w ciągu roku coś bezinteresownego na rzecz najbliższego otoczenia, ojczyzny prywatnej, regionu, ale w prometejski sposób. Wciąż jestem niezadowolony z tego odsetka, bo to jest u nas 11-12 proc. Tymczasem w USA to 44-50 proc. To są różnice fundamentalne. Może jeden spektakularny przykład. Podczas referendum zadano pytanie Szwajcarom, czy wszyscy obywatele tego kraju powinni dostać od państwa pensję socjalną w wysokości 2,5 tys. franków. Odrzucili to, podobnie zresztą jak propozycję płacy minimalnej. Tłumaczyli to tym, że takie rozdawnictwo byłoby demoralizujące, że państwo powinno te pieniądze jakoś sensownie zainwestować, że wystarcza im tyle pieniędzy, ile mają. Proszę u nas, na Śląsku, zadać w referendum pytanie: czy wszyscy powinni otrzymywać co miesiąc od państwa 2 tys. zł?

Wynik referendum byłby oczywisty, bliski stu procent poparcia. Dlaczego zmiany mentalne tak powoli następują? Co je może przyspieszyć?

– Najtrudniej zmienić świadomość. Proszę pamiętać, że starsze i średnie pokolenia żyły w ekonomii niedostatku i kiedy przyszła szansa na bogacenie się, na „ekonomię obfitości”, w cudzysłowie, bo ta obfitość dla wielu jest iluzoryczna, to rozpoczęliśmy to, co naturalne – rekompensowanie czasu ekonomii niedoboru.



Ludzie muszą mieć
świadomość, jakie są losy
historyczne, jakie są korzenie.
Jestem zwolennikiem, żeby
z szacunkiem odnosić się
do przeszłości. Ale czas
pożegnania kopalń jest
nieuchronny. Dają one chleb,
niektórym dobry chleb, ale
odwrotu nie ma.

Najważniejsze prace o koncepcji społeczeństwa postindustrialnego pojawiły się na początku lat 70. Kiedy pierwsze państwa, regiony stały się postindustrialne?

– Gdyby trzymać się literalnie statystyk, to USA podały, że 50 proc. zatrudnionych w usługach przekroczyły pod koniec lat 40. ubiegłego wieku. Dziś 80 proc. pracuje w usługach.

W społeczeństwach industrialnych wzorem do naśladowania jest przemysłowiec, menedżer. A kto jest najbardziej szanowany w społeczeństwach postindustrialnych?

– Muszę pana zaskoczyć. Od wielu lat badamy prestiż zawodów i zawsze na pierwszym miejscu jest u nas profesor uniwersytetu, przy pełnym szacunku dla menedżerów. I proszę się na dać zwięść temu, że mamy postindustrię, bo wciąż wysoko w rankingu zawodów jest górnik. On miał zły czas w tym rankingu w 1997–1998 roku, kiedy reformowano górnictwo. W moich badaniach wychodziło wówczas, że żaden licealista nie chce iść do górnictwa, ale w pozostałych latach górnik lokował się na 4.-5. miejscu. Bardzo wysoko stoi lekarz, strażak. Informatycy, ludzie, którzy pracują w sieci, awansują. I ciekawostka: sprzątaczką ma wyższą rangę zawodową niż polityk. W krajach postindustrialnych prestiż zawodów jest zbliżony, choć szczególnie miejsce przyznaje się zawodom o najwyższym poziomie innowacyjności.

Z jakimi rodzajami konfliktów społecznych mieliśmy do czynienia w społeczeństwach industrialnych, a jakie pojawiają się w postindustrialnych?

– Gdyby trzymać się teorii Karola Marksa, i nie mówię tego sarkastycznie, bo teoria konfliktu w socjologii w większym lub mniejszym stopniu korzysta z niego, w każdym społeczeństwie jest radykalny konflikt klas. W przypadku przemysłu między tymi, co posiadają środki produkcji, a tymi, którzy ich nie posiadają, żyją z pracy najemnej.

A w społeczeństwach postindustrialnych, gdzie są te konflikty?

– Bardzo ważne są nierówności dochodowe. I Polska ma tutaj wciąż wiele do zrobienia. Pokazuje to współczynnik Giniego – 0,36 w 2015 roku, mierzący nierówność w dystrybucji dochodów. Nadal jest nam daleko do – wzorcowych w tym zakresie – krajów skandynawskich, w których indeks ten jest znacząco niższy. Od stycznia płaca minimalna wynosi 2000 zł, to duży postęp na przestrzeni ostatnich lat. Ale są ludzie, którzy zarabiają po kilkadziesiąt czy nawet kilkaset tysięcy miesięcznie. Kolejna rzecz: nierówności edukacyjne, w poziomie wykształcenia. Z jednej strony mamy dobrze wy-

kształconych ludzi, z ambicjami osiągnięcia ważnych stanowisk w administracji czy przemyśle. Z drugiej różnie grupa osób słabo wykształconych, na długotrwałym bezrobociu, roszczeniowych. Nawet w bogatym województwie śląskim dużo ich mamy. Gdybym miał szacować, ile osób żyje w trudnych warunkach – nie mówię w głodzie, niedożywieniu, ale o ciężkich warunkach mieszkaniowych, dochodach, które wystarczają tylko na zaspokojenie elementarnych potrzeb – to wychodzi 700 tys. na 4,5 mln mieszkańców województwa. Najbardziej ubolewać należy nad losem dzieci – co czwarte dziecko do lat trzynastu żyło w trudnych, czy nawet bardzo trudnych warunkach ekonomicznych. Jest jeszcze za wcześnie na to, by orzec, jaki wpływ w tym zakresie przyniesie program 500+. Wiem, że część ludzi nie chce pracować, poziom bezrobocia w niektórych miastach jest niski, poniżej 5 proc. Ale pomagać winniśmy wszystkim, w pierwszej kolejności przegranym, którzy chcą sobie pomóc. Prowadziłem badania wspólnie z austriackimi naukowcami nad trwale bezrobotnymi. Okazuje się, że z każdej setki trwale bezrobotnych chciało się wyrwać z tego stanu 20-30. Reszta myślała, jak przeżyć z pomocy społecznej, jak z kultury biedy uczynić atut, jak nauczyć dzieci być „prawnikami biedy”, czyli umieć wykorzystywać wszelkie dostępne środki pomocowe. W społeczeństwach postindustrialnych pojawiają się także konflikty światopoglądowe, religijne, dotyczące roli kobiet.

Jak wyglądają podziały klasowe w przemysłu i postprzemysłu?

– Według klasycznego podziału klasy wyższej u nas w tej chwili praktycznie nie ma, bo w socjologii to hybryda zamożności i błękitnej krwi. Klasa średnia powoli się tworzy. O przynależności do niej decydują wykształcenie, wykonywany zawód, styl życia, uczestnictwo w kulturze wysokiej. Arystoteles powiedział, że aby *polis* mogło istnieć, 70-75 proc. ludzi musi być w klasie średniej. Szacujemy, że w naszym województwie jest to najwyżej 25 proc.

Czyli 75 proc. mieszkańców zalicza się do klasy niższej...

– Tak, gdyby się trzymać tego klasycznego podziału. Budujemy tę piramidę, wzmacniamy klasę średnią, ale to długotrwały proces. Wraz z przecho-
dzeniem Śląska do postprzemysłu klasa średnia będzie rosła. Mam nadzieję, że kiedyś osiągniemy pułap arystotelesowski.

W Europie mówi się coraz więcej o reindustrializacji. Okazało się, że za bardzo postawiliśmy na usługi, a produkcja przeniosła się do Azji. U nas dotyczy tego program Morawieckiego. Czy to nie

Trzeba stworzyć u nas klimat biznesowy, bo przemysł innowacyjny nie przychodzi tam, gdzie jest *green field*, ale gdzie jest infrastruktura poprzemysłowa, gdzie można pograć w squasha, iść na obiad do dobrej restauracji, wysłać dzieci do szkoły z językiem angielskim, gdzie są ułatwienia urzędnicze.

jest próba zatrzymania biegu historii, procesów gospodarczych?

– O inny rodzaj przemysłu chodzi – o przemysł innowacyjny, z obszaru IT. Jestem pełen uznania dla fabryk samochodów ulokowanych tutaj, ale jako socjologa zmiany społecznej, transformacji, mnie to nie satysfakcjonuje. Potrzebujemy tutaj polskich odpowiedników Evana Spiegel (twórca Snapchata), potrzebujemy wyrafinowanych technologii, angażujących mózgi pracowników. Reindustrializacja to nie jest powrót do kopalń i hut. To jest budowa i wprowadzanie nowych przemysłów, korzystających z technologii nazywanych innowacyjnymi.

Zakładając, że polityka reindustrializacji zostanie zrealizowana, jak to będzie wpływało na procesy społeczne w takich regionach jak Śląsk?

– Nastąpią zmiany w strukturze zatrudnienia, a co się z tym wiąże, w strukturze i profilu wykształcenia. Nawet małe firmy, start-upowe, wymagają nowych zdolności, imaginacji, tam struktura nie jest hierarchiczna, lecz pozioma. To też jest ważna różnica między industria a postindustria. Industria to hierarchia, porządek, czytelny kartezjański układ: menedżer, jego zastępca, kierownik, robotnik. A w przypadku postindustrii to układ poziomych więzi, często nieoznaczone dokładnie relacje. Praca jest bardziej zespołowa, nie w rozumieniu górników pracujących razem na dole, o inny typ pracy zespołowej chodzi – o burzę mózgów.

Ale w społeczeństwie industrialnym ludzie niezaradni, niewykształceni mogli znaleźć pracę. W postindustrii zostaną trwałe wykluczenia z rynku pracy, bo wymagane będą duże kompetencje.

– Już jest im coraz trudniej, a będzie jeszcze gorzej. Mamy na to bardzo przykre określenie: ludzie zbędni, ludzie luźni. Prof. Zygmunt Bauman używał bardzo dosadnych określeń: ludzie na przełomie, ludzie śmieci... Ja ich nie podzielałam. Ludzie są czasem przegrani, ale to są ludzie. Nie chcę naznaczać nikogo, ale zawsze w moich analizach

światów, które się zmieniają, są wygrani i przegrani. Rzecz w tym, żeby ta kategoria przegranych była jak najmniejsza. Najlepiej się ma elita metropolitalna: grupy najlepiej wykształconych ludzi, zajmujących najwyższe pozycje menedżerskie. To są ludzie mobilni. Elity są nielocalne, jak mawia Manuel Castells, są kosmopolityczne. Dzisiaj jest w Johannesburgu, jutro jest gotów pojawić się w Kinszasie. A masy robotnicze są lokalne, przypisane, zakotwiczone. Elita metropolitalna rządzi metropolią, a metropolie rządzą światem. Proszę zobaczyć mapę świata nocą. Najbardziej oświetlone są BosWash (Boston, Nowy Jork, Waszyngton, Filadelfia), gdzie żyje 50 mln ludzi, południe Anglii, Beneluks, Tokio–Jokohama–Osaka. Sprawdziłem Polskę. Jest 12 obszarów „jaśniejących”, w tym Górny Śląsk. Ale to są małe światelka.

Jakie kompetencje trzeba będzie mieć, żeby utrzymać się na powierzchni w postindustrii?

– Określam je jako kompetencje cywilizacyjne. Obecność w sieci, z czym wiąże się przynajmniej podstawowa umiejętność posługiwania się narzędziami informatycznymi; funkcjonalny alfabetyzm, czyli umiejętność poszukiwania, porządkowania i praktycznego wykorzystania informacji; a także język angielski, prawo jazdy.

Miejmy nadzieję, że za 10 lat Śląsk będzie regionem postindustrialnym. Dominować będą call center czy przemysł innowacyjny?

– Mam nadzieję, że jedno i drugie będzie sprawnie funkcjonowało. Jako socjolog zmiany uważam, że sektor usług musi być uzupełniany przemysłem. Ale trzeba stworzyć u nas klimat biznesowy, bo przemysł innowacyjny nie przychodzi tam, gdzie jest *green field*, ale gdzie jest infrastruktura poprzemysłowa, gdzie można pograć w squasha, iść na obiad do dobrej restauracji, wysłać dzieci do szkoły z językiem angielskim, gdzie są ułatwienia urzędnicze. I tutaj mamy jeszcze wiele do zrobienia. Zadałem ponad 20 lat temu pytanie mojemu koledze, Anglikowi, kiedy my tutaj, na Śląsku, zbudujemy społeczeństwo obywatelskie, kiedy będzie coś, co można nazwać czytelną demokracją, taką zaawansowaną postindustrią. A on mi bardzo grzecznie odpowiedział: „Z tym to jest jak z angielskim trawnikiem. 200 lat trzeba go strzyc, żeby oślnął urodą”. Wierzę, że zrobimy to wcześniej, ale to jest mozolny proces. ■

Marek S. Szczepański

– profesor, wykładowca akademicki, socjolog specjalizujący się w procesach transformacji

Waldemar Szymczyk

– wieloletni redaktor „Gazety Wyborczej”, dyrektor wydawniczy Imago PR

Henryk Waniek

Tu stały huty



16

Prawdopodobnie była to parowozownia. Tyle że nie taka półokrągła, z karuzelą pośrodku, kierującą każdy parowóz do właściwej bramy. Ta była wielką halą z dużą ilością torów. Między szynami znajdowały się zagłębienia, gdzie wszedłszy można było podglądać, co lokomotywa ma pod sukienką.

Ale gdy po raz pierwszy się tam znalazłem, stał tylko jeden parowóz, chyba już niekompletny. Więc nazywanie tego parowozownią nie jest chyba ścisłe. Raczej – warsztaty naprawcze. A już najpewniej – magazyn złomu. Nie rozumiałem więc, dlaczego się o tym mówi huta. Huta Marty. Dawniej Marthahütte.

Spoglądam na plan Katowic (oczywiście – Katowitz) z roku 1859 i dostrzegam na nim zapowiedź batalii, która się niebawem rozpęta między Hutą Jakuba, Wielką Dymarką, Hutą Fanny, Hutą Franciszki i Walcownią Marty. One oczywiście wtedy też się nazywały trochę inaczej. Huta Jakuba znajdowała się dokładnie w miejscu obecnego Liceum im. Mickiewicza. Wielka Dymarka, między dzisiejszym rynkiem a Separatorem, zdaje się po obu brzegach Rawy, była ostatnią fazą upadku tak zwanej Kuźni Boguckiej. Natomiast huty Fanny, Franciszki i Marty bardziej na północy, na terenach należących do dominium Tiele-Wincklerów, więc pewnie będące ich własnością, były stłoczone. Jedna nachodziła na drugą i ostatecznie została się tylko ta Marta. Najpierw znana jako walcownia cynku, a niebawem już Hütte, z własną boczną koleją. A wszystko to w okolicy dzisiejszego Spodka i ronda. Ale już przed drugą wojną, szczególnie od czasu wielkiego kryzysu, gdy stała się własnością Skarbu Śląskiego, nie wiodło się jej najlepiej. Może i sama wojna się do tego przyczyniła? Po roku 1945 nadawała się już tylko na zbiornicę tak zwanych surowców wtórnych. Złomu. Również kolejowego.

Gdy w roku – powiedzmy – 1947 wlałem tam z kolegą przez dziurę w płocie, zobaczyliśmy stojący pod gołym niebem pociąg pancerny, zapewne już nieprzydatny. Miejsce w ogóle było tajemnicze. Za dnia hałasowały tam jakieś wielkie maszyny, ale po południu kończyła się robota. Lubiliśmy dyskretnie myszkować po tym powojennym śmietniku. Czego tam nie było! Szkielety przedwojennych autobusów i tramwajów. Zdezelowane auta i motocykle, a nawet kadłub samolotu. Tu i ówdzie czołg, któremu czegoś brakowało – to gąsienic, to działka. Przede wszystkim przykuwały uwagę przedmioty mniejszych, choć wcale nie tak małych formatów, skarby naszego dzieciństwa – broń krótka i długa, zwykła lub automatyczna w szerokim wyborze. Zwykle już podrdzewiała, zatem nie do użytku. Mniejsza tutaj o amunicję, której też było tam sporo, bo to inny, obszerny temat. Wszystko to skądś zwożono i składano w tej niby-parowozowni.

Po latach nawet z odległości łatwo dało się przewidzieć, że zostanie z tego najwyżej nazwa – Huta Marty, która zresztą później również zaginie. Teraz Wielka Hala aż biła w oczy swoją pustką. Nikt tam już nie pracował. Żadnych maszyn. Żadnego hałasu. Tylko wytłuczone szyby. Życie przetrwało

17

jedynie w kilku sąsiednich budynkach. Jeden był chyba mieszkalny, pewnie kiedyś postawiony dla personelu Marthahütte. Inne to dawne biura huty, ale wtedy już niemające z nią związku. W jednym mieściła się dyrekcja Domu Książki. W innym znalazła siedzibę jakaś Spółdzielnia Pracy. Nie pamiętam już szczegółów, bo przecież nie takie to ważne, jak ten kompleks hutniczy, do niczego już niepotrzebny. A w dodatku zasłaniający swoją brzydotą widok na właśnie powstającą Koszutkę, ówczesną dumę Katowic.

Skoro jednak z okolicy zaczęły znikać rozmaite obiekty (nawiasem mówiąc – warte zachowania), nic innego nie mogło spotkać tę hutę. Rozbiórka dokonała się tak szybko, że nawet tego nie zauważyłem, choć codziennie udawałem się tamtędy na naukę w V Liceum na Koszutce. Dopiero pewnego dnia rzucił mi się w oczy plac tak pusty, że trudno było zrozumieć, co się z tym wszystkim – niegdyś tak wielkim – stało. Z tymi murami, maszynami, bocznkami kolejowymi. Później chyba zarosły to chwasty. Nie pamiętam. Zmieniłem wówczas szkołę i miejskie widoki. Ale pustka, która tam nastała, była tak krzycząca, że trudno mi ją było przeoczyć, jeśli znalazłem się gdzieś w pobliżu.

Zdaje się, że około roku 1963 powstał jakiś plan rozbudowy, czy przebudowy Katowic. Ale para z tego projektu poszła głównie w pomnik Powstańców Śląskich. Kończyłem już studia, kiedy pustka po dawnej zbiornicy złomu i jeszcze dawniejszej Hucie Marty zaczęła się kurczyć. Stała się placem budowy, której sekret znali tylko architekt Mieczysław Król oraz sztab inwestorów. Dopiero gdy zamiar sięgnął 16. piętra (a może nawet wyżej, bo nie wiadomo, jak tam te piętra liczyć), objawił się Katowicom obiekt tak super... że go natychmiast ochrzczono Superjednostką.

W ten sposób powstało, na swój sposób też tajemnicze, rekordowe gmaszysko mieszkalne, w którym gościłem tylko jeden raz w życiu i całkowicie mi to wystarczy. Nie dorównam w opisie Jospowi Brodskiemu, który głęboko przeżył poszukiwanie tam mieszkania, gdy – podczas swego pobytu w Katowicach – gościł u państwa Toszów. Jego opowieść była równa podróży Dantego po zaświatach. Ale najlepiej, jeśli to powtórzy sam pan Bogdan Tosza. Treściwie i uważnie Superjednostkę zrecenzował także Filip Springer w swej książce *Żle urodzone*. Po latach, ilekroć odwiedzałem Katowice, zawsze podziwiałem krzyczący neon na całej długości dachu Superjednostki: WSZYSTKIE NASZE MYŚLI I CZYNY DAJEMY TOBIE SOCJALISTYCZNA OJCZYZNO. Zniknął po roku 1990, żeby nie drażnił spiżowego generała Ziętka, którego pomnik stanął dokładnie w tym samym miejscu, gdzie niegdyś znajdował się grobowiec ulubionego konia Huberta Tiele-Wincklera.

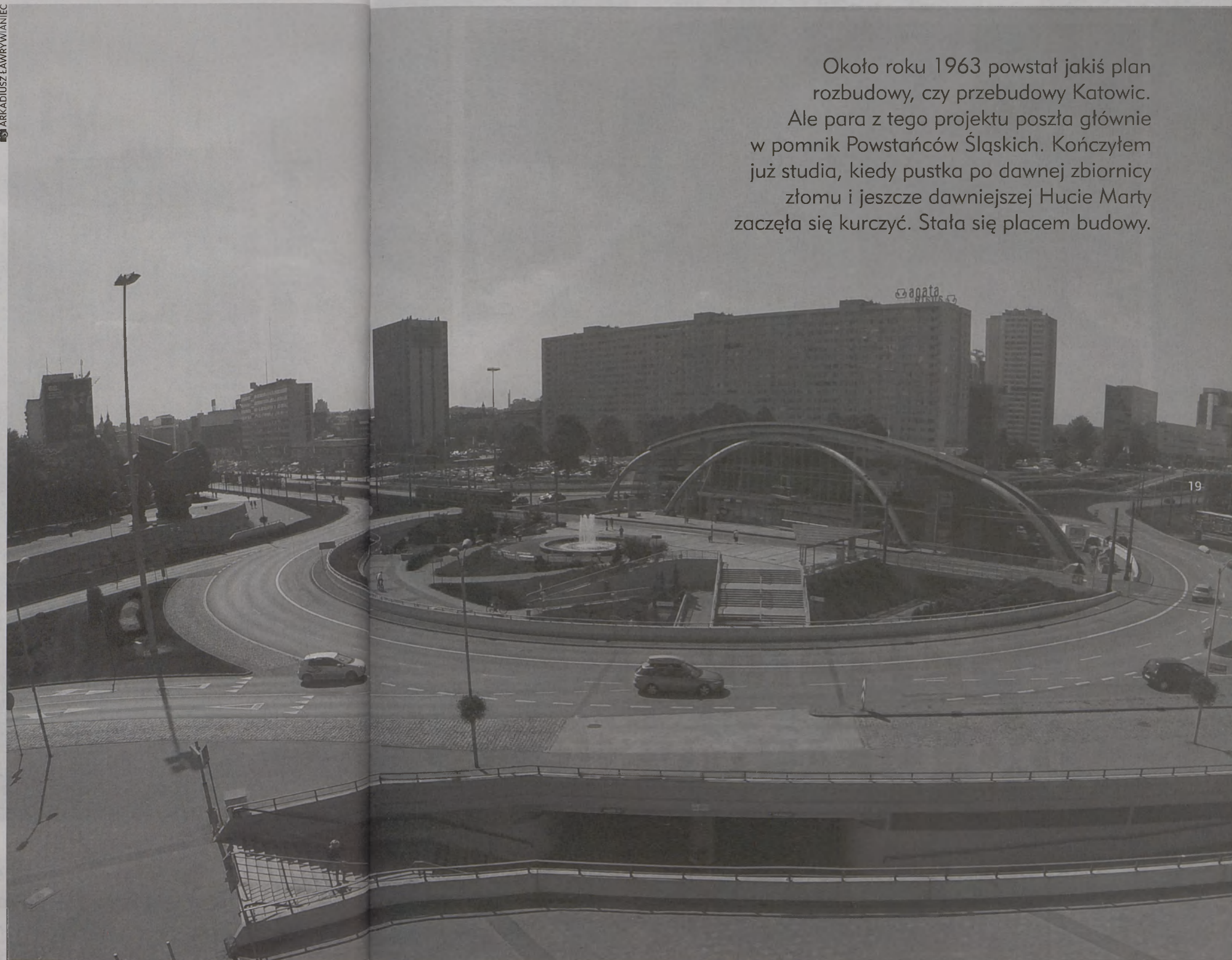
Miejsce dawnego zajął inny neon i teraz pewnie też jakiś jest. Ale i one będą znikać, jeden po drugim, po kolei, aż pewnego dnia zniknie i sama Superjednostka. Jak tyle innych katowickich budowli. A na jej miejscu zbudują coś, o czym również będzie można powiedzieć – postindustrialne. Zapewne galeria handlowa lub coś w tym rodzaju.

Zacząłem tę garść dygresji wspomnieniem parowozowni. Przypomniały mi się inne dwie, tyle że półkoliste, jak wielki, rozłożony wachlarz, które jeszcze dogorywają zaraz za katowickim dworcem kolejowym, w kierunku zachodnim. Na zakończenie stanęło więc przede mną pytanie: Ciekawe, ilu dziś ludzi w ogóle wie, co to takiego parowóz? ■

Henryk Waniek

– pisarz, eseista, malarz, grafik

ARKADIUSZ ŁAWRYWIANIEC



Około roku 1963 powstał jakiś plan rozbudowy, czy przebudowy Katowic. Ale para z tego projektu poszła głównie w pomnik Powstańców Śląskich. Kończyłem już studia, kiedy pustka po dawnej zbiornicy złomu i jeszcze dawniejszej Hucie Marty zaczęła się kurczyć. Stała się placem budowy.



Wylot Głównej Kluczowej Sztolni Dziedzicznej. Zdjęcie z filmu *Schwarze Diamanten*

20

Józef Krzyk

Przemysł po przemyśle

Wydobycie skończyła ostatnia w Zabrzu państwowa kopalnia. Ale w ciągu roku pod ziemię zjeżdża tu więcej ludzi, niż zatrudnia dziś całe polskie górnictwo. Turystyka przemysłowa stała się nowym znakiem rozpoznawczym miasta. I szybko rozwinęła na skalę nowego przemysłu – największy kompleks tras podziemnych w Europie.

A wyglądało, że to nigdy się nie uda. Jeszcze kilkanaście lat temu w Zabrze zorganizowanie wycieczki pod ziemię było skomplikowaną operacją logistyczną. Żeby zwiedzić Guido, trzeba się było wcześniej umówić. Kto tego nie zrobił, mógł pocałować klamkę, bo nie było komu obsłużyć windy ani oprowadzić gościa. Bo choć Guido w założeniu miał być obiektem dostępnym specjalnie dla turystów, to długo nikt, poza garstką społeczników, nie miał do tego miejsca serca.

Dla górnictwa ta kopalnia była ciężarem. Od kiedy skończyły się tu złoża węgla, wyrobiska służyły tylko miejscowej fabryce maszyn górniczych do testowania kombajnów i innych urządzeń.

Na początku był przypadek

Turystyka stała się w Guido działalnością poboczną przez przypadek. Chodziło o to, żeby przyjeżdżającym na Śląsk polskim i zagranicznym gościom pokazać, jak pracują górnicy. Wizyta pod ziemią miała dostarczyć im wspaniałych wrażeń, ale dyrektorzy kopalń bronili się przed turystami, nawet tymi utytułowanymi, bo zbyt wiele mieli z nimi kłopotów. Dezorganizowali im pracę, bo na czas zwiedzania trzeba było kogoś oderwać od fedrowania, żeby niańczył intruzów. No i nie daj Bóg, gdyby komuś z tych gości coś złego się przytrafiło. Przecież całej kopalnianej kadrze głowy by pourywali. Podobno ktoś wysoko postawiony w górniczej hierarchii wpadł na pomysł, że skoro już są chętni do zwiedzania kopalń, to najlepiej ich posłać do Guido, gdzie nie będą przeszkadzać aż tak bardzo, jak w czynnych kopalniach. I tak w 1981 roku jeden z dwóch poziomów użytkowanych przez fabrykę maszyn górniczych oddano na potrzeby skansenu. Turyści płacili po kilka złotych i na godzinę stawali się prawie górnikami. Prawie, bo nikt im nie kazał fedrować, ale przebiegali się w ubrania robocze, zakładali na głowę kask, a na nogi gumki. Prawdziwą *szolę*, czyli kopalnianą windę, zjeżdżali 170 metrów pod ziemię. Na dole widzieli pracujący kombajn górniczy, nawdychać się mogli węglowego pyłu, a na koniec wpadali na stojącą w starej stajni kukłę pracującego tu przed stu laty konia.

Skansen Guido był wizytówką górnictwa. Opodał otwarto muzeum górnictwa węglowego. Obie placówki, choć pod różnym zarządem, uzupełniały się. Ale gdy górnictwo zaczęło się liczyć z pieniędzmi, fabryka maszyn górniczych zwróciła się o skreślenie skansenu z rejestru zabytków. Niewiele brakowało, a pokłady Guido zostałyby zasypane. W 2000 roku spółka węglowa już zaczęła szukać firmy, która miała to zrobić. I nie przejęła się nawet brakiem zgody konserwatora zabytków. „Nic nie mamy przeciwko zabytkom, ale nie jesteśmy od tego, żeby płacić na takie cele” – argumentowały władze spółki. I sugerowały, by kopalnię wzięły na utrzymanie władze samorządowe.

Starania o zasypanie Guido na szczęście się nie powiodły, ale bez strat się nie obyło. Wypchany siwek, który był jedną z atrakcji skansenu, przez oszczędzanie na wentylacji tak bardzo nasiąknął wodą, że w końcu trzeba było go zdemontować i wywieźć na powierzchnię.

Podróż w nieznane

Na przekór tym problemom grupka pasjonatów właśnie w tym czasie przemysliwała o czymś, co zupełnie miało odmienić losy górniczych zabytków w Zabrzu. Wyposażeni w stare, jeszcze z niemieckich czasów, plany, rozpoczęli eksplorację Kluczowej Sztolni Dziedzicznej. O istnieniu tego obiektu wiedziało wielu miłośników historii i pamiętali najstarsi górnicy, ale nikt nie miał pojęcia, w jakim jest stanie. Wybudowana w latach 1800–1869 sztolnia biegła kiedyś od Królewskiej Huty, czyli dzisiejszego Chorzowa, aż do Zabrza. Wydrążono ją kilkadziesiąt metrów pod ziemią po to, by transportować nią urobek. Należała do najwspanialszych osiągnięć technicznych swojej epoki, ale bardzo szybko przestała być użytkowana. Gdy okazało się, że węgiel zamiast łodziami pod ziemią szybciej i taniej można było przewozić koleją, sztolnię dziedziczną wykorzystywano tylko dla odprowadzenia nadmiaru wody z coraz głębiej położonych pokładów.

Wylot znajdował się w samym centrum Zabrza. Był solidnie obramowany kamieniem i opatrzony górnym pozdrowieniem *Glück auf* (*Szczęście Boże*), ale krótko po II wojnie światowej najpierw zniszczono napis, a potem zasypano też wejście. A gdyby tak to odkopać? – pomysł pasjonatów historii brzmiał początkowo tak niedorzecznie, jak propozycja wyprawy pieszo w kosmos. Ale tych, którzy go rzucili, pohukiwania wątpiających nie zniechęciły. Odrzucili na bok ziemię i zeszli do czeluści. A potem, brodząc w szlamie, przeszli 350 metrów. Dalej się nie dało, ale oni już byli pewni, że kiedyś tu wrócą i przyprowadzą turystów.

Zabrze, rok 2017. W miejscu, w którym grupka pasjonatów wyruszała kiedyś w nieznane, znów znajduje się obramowanie z betonu i kamienia, bardzo podobne do tego, które widać na starych pocztówkach. Obok wznosi się, utrzymany w nieco futurystycznym stylu, budynek biurowy. Ni to wieża szybowa, ni to chatka na kurzej stopce. Od jesieni przez kamienne obramowanie wynurzać się będą

łodzie, przypominające te, którymi kiedyś przewożono urobek. Jednak zamiast węgla na pokładach będą turyści. W ten sposób spełni się marzenie fantastów.

Wylot Głównej Kluczowej Sztolni Dziedzicznej jest najbardziej widocznym ze względu na swoją lokalizację świadectwem przemian, jakie zaszły w zabrzańskiej turystyce przemysłowej. Ale dowodów na postęp, jaki dokonał się w ciągu ostatnich kilkunastu lat, jest dużo więcej. Guido ze skromnego skansenu, niechcianego starszego brata czynnej kopalni, stał się prawdziwym kombinatem turystycznym. Rok w rok przyjeżdża tu ponad 100 tysięcy ludzi z Polski i zagranicy. Podobnie jak kiedyś warto zawczasu się zapowiedzieć i umówić na zwiedzanie. Ale teraz nie dlatego, że można zastać zamkniętą na głucho bramę, ale z powodu ograniczonej przepustowości szybu i podziemnych chodników. Zwiedzać można już nie jeden, ale trzy poziomy: 170, 320 i 355. Ten najgłębszy uruchomiono z myślą o turystach, którzy trochę marudzili, że Guido jest zbyt cukierkowy. Z ułatwieniami w poruszaniu się dla niepełnosprawnych, osób starszych i malutkich dzieci poziomy 170 i 320 nie są podobne do prawdziwych kopalni. Odbywają się tu koncerty muzyczne, konferencje i spotkania biznesowe. Czasami jednocześnie kilka imprez w sąsiadujących z sobą salach. Małgorzata Mańka-Szulik, prezydent Zabrze, wspomina, jak pewnego razu, w drodze na jedno z takich spotkań, zjeżdżała windą w towarzystwie nieznanym sobie osobom. Z rozmowy wynikało, że mają uczestniczyć w tej samej imprezie, więc prosto z windy poszli tam razem. Dopiero na miejscu okazało się, że było inaczej.

Z innych rozmów prezydent Zabrze zapamiętała wrażenie, jakie na wielu gościach robi już sam zjazd do kopalni. Przecież odległość na poziom 320 od powierzchni ziemi jest nawet nieco większa od wysokości wieży Eiffla, więc też może zakręcić się od tego w głowie. Wystarczy jeden zjazd pod ziemię, żeby w ludziach wyzwolić szacunek dla górników, którzy do kopalni zjeżdżają dzień w dzień.

Pod ziemią jest też restauracja, gdzie można zjeść typowo śląski obiad i napić się specjalnie warzonego dla Guido piwa, a także sklepik z pamiątkami. W wymyślaniu wciąż nowych atrakcji gospodarze okazali się mistrzami. Przedstawienia teatralne i gra w golfa? Czemu nie? To też dało się tu urządzić. No i sprowadzili nową kukłę siwka. Latem fragment terenu wokół szybu zamienia się w piaszczystą plażę. Nie ma tylko morza. Z braku naturalnych zbiorników tym, którzy szukają ochłody, muszą wystarczyć nadmuchiwane baseniki z wodą.

Przez cały rok parking zapewniony jest samochodami i autokarami. A na grupy, które przyjeżdżają z daleka, czekają miejsca noclegowe w hostelu. Kopalnia Guido, którą kilkanaście lat temu chciały zasypać władze spółki węglowej, przeżyła restrukturyzację górnictwa. I w końcu prawie od swojej macierzystej branży się usamodzielniała. Prawie, bo bez wentylacji, o którą dbały pobliskie „Makoszowy”, Guido nie może funkcjonować. Ale bieżące utrzymanie i inwestycje to już nie zmartwienie górnictwa. O to pierwsze wspólnie dbają władze Zabrze i województwa śląskiego. Rok w rok dopłacają po 6–8 milionów złotych. Nie tylko na Guido, ale cały kompleks, którego zabytkowa kopalnia jest tylko częścią.

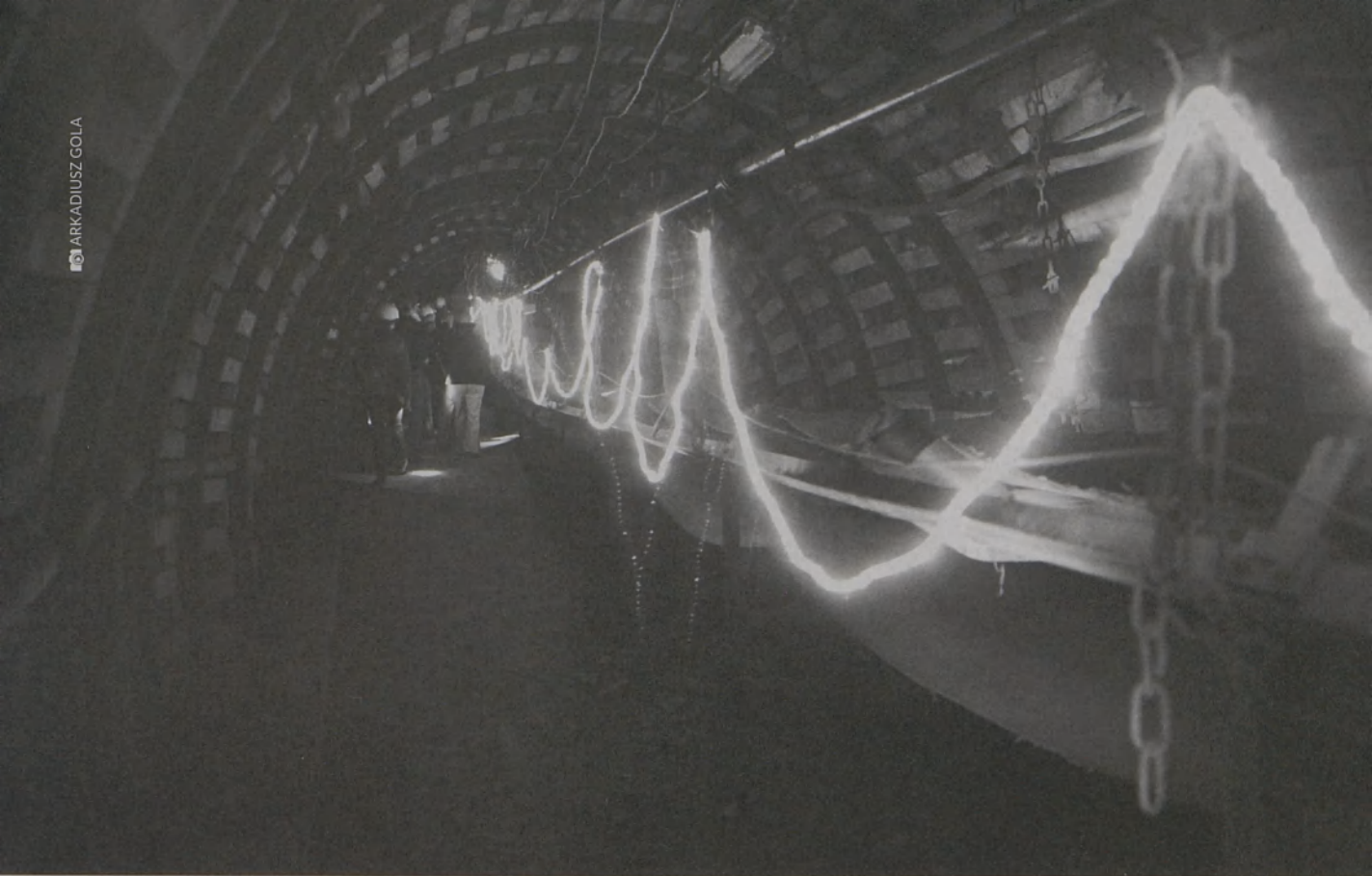
Do nowoczesności

Kilka ulic dalej znajduje się szyb Carnall, pozostałość po innej zabrzańskiej kopalni. To tutaj od jesieni 2017 roku rozpoczynać będą podziemną wędrowkę turyści przemierzający Główną Kluczową Sztolnię Dziedziczną. Prawie kilometrowy odcinek pokonają pieszo, a potem wsiadą do łódek, które zawiozą ich aż do wylotu w centrum Zabrze. Takiej atrakcji nie znajdą w żadnym innym miejscu w Polsce. W jednym z budynków sąsiadujących z Carnallem znajduje się wyprodukowana w 1915 roku maszyna parowa. Obsługiwała szyb aż do 1990 roku i wciąż jest na chodzie. Pod tym względem Zabrze też ma do zaoferowania turystom coś specjalnego. Owszem, stare maszyny górnicze zdarza się oglądać w ostatnich latach również w innych miejscach, ale najczęściej są to już tylko martwe skorupy.

Zabrze, które na turystykę przemysłową postawiło jako pierwsze, ma coraz liczniejszych naśladowców. Prezydent Zabrze nie traktuje tego jako konkurencji, ale dodatkowe wzmocnienie. Argumentuje, że ktoś, kto zobaczył jeden zabytek pogórnictwa, nabierze apetytu na następne. I prędzej czy później zawita do Zabrze, gdzie jest ich najwięcej.

O kilkaset metrów od szybu Carnall znajduje się Park 12C. Najwięcej tu się dzieje latem, kiedy cały obszar zamienia się w wielki plac zabaw dla dzieci. Częścią parku jest Bajtel Gruba, czyli miejsce, gdzie *bajtle* (maluchy) mogą bawić się w górnika. Ale warto tu wpaść też o innej porze roku, zwłaszcza wtedy, kiedy liście drzew nie zasłaniają widoku na okolicę. Właśnie wczesną wiosną rozpościera się stąd piękny widok aż po odległe o prawie dwa kilometry centrum miasta. Komu mało tych atrakcji, może wstąpić do znajdującego się tuż przy Bajtel Grubie Parku Techniki Wojskowej. Część zgromadzonych w nim pojazdów wciąż jest na chodzie.

Prezydent Mańka-Szulik zdaje sobie sprawę, że turystyka przemysłowa stała się znakiem rozpoznawczym Zabrze. Sama, odkąd objęła stanowisko w 2006 roku, przykładła do tego rękę. Na wszystkie inwestycje związane z tą dziedziną w Zabrzu wydano ponad 200 milionów złotych, w tym 130 milionów z dotacji



unijnych, rządowych i wojewódzkich. Prezydent podkreśla: zawsze była przekonana, że to trzeba było zrobić, ale efekt przerósł już jej oczekiwania. W najśmielszych marzeniach nie przypuszczała, że turystyka przemysłowa rozkręci się na tak dużą skalę.

Oczywiście miasta tej wielkości co Zabrze nie da się w całości oprzeć tylko na jednej dziedzinie. Równie dobrą renomę ma tutejsza medycyna za sprawą Śląskiego Uniwersytetu Medycznego, Śląskiego Centrum Chorób Serca i innych szpitali, a w marcu 2017 powołano park technologii medycznych, pierwszą taką placówkę na Śląsku. – Każde miasto musi mieć swój wyróżnik – mówi prezydent Mańka-Szulik i podkreśla, że Zabrze stara się korzystać z myśli poprzemysłowej, zmierza do nowoczesności, ale nie zapomina, skąd przyszło i na czym budowało.

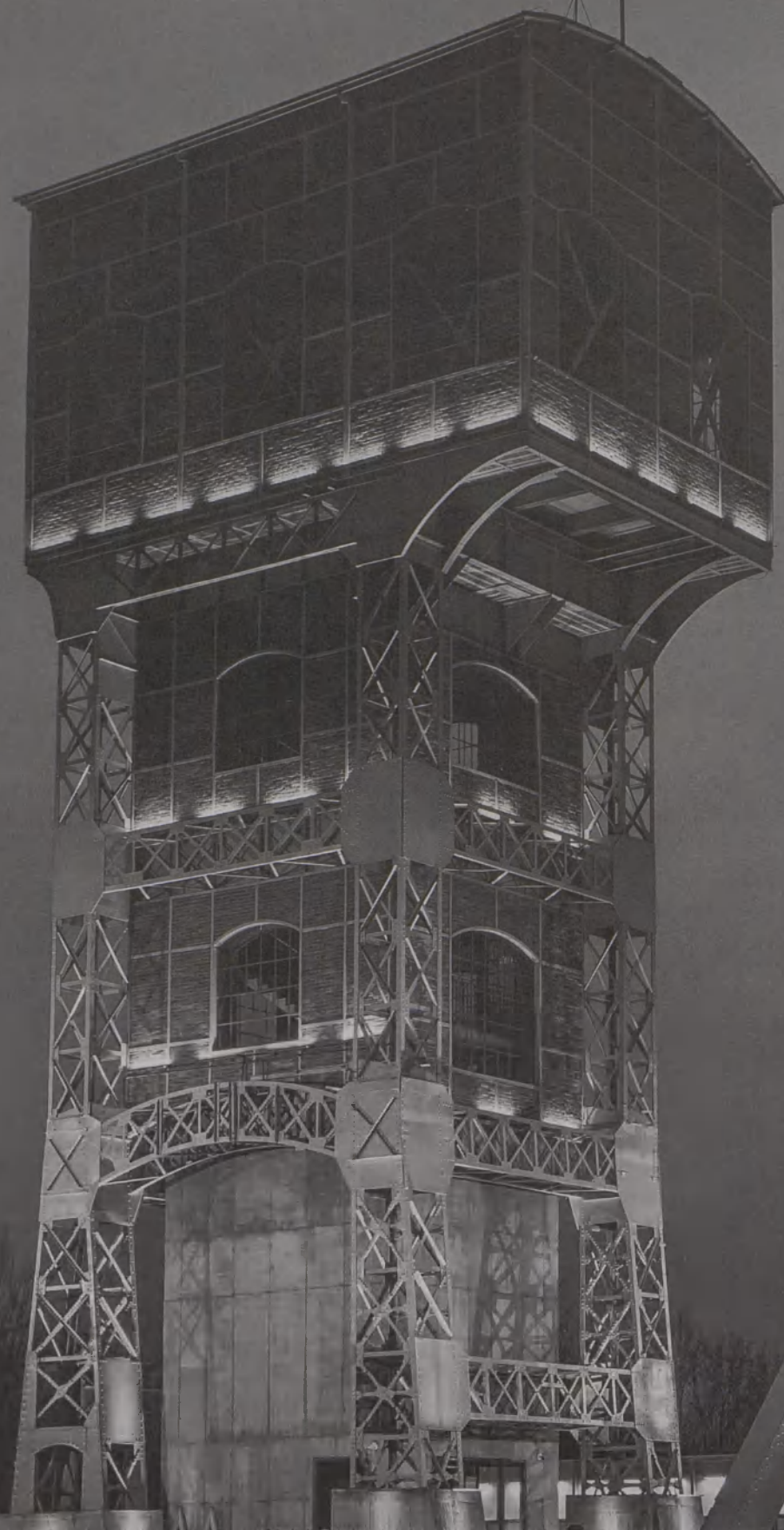
Bartłomiej Szewczyk, dyrektor Muzeum Górnictwa Węglowego w Zabrzu, którego częścią jest Guido, ma nadzieję, że jego placówka jest nie tylko wizytówką Śląska, ale pomaga w jego zrozumieniu. Przecież przez ostatnie 200 lat Śląsk był ściśle z górnictwem związany. Praca w kopalni była czymś więcej niż tylko źródłem utrzymania, przekładała się na sposób życia, tradycje kulinarne i kulturalne. – Bez zrozumienia górnictwa trudno zrozumieć, czym jest Śląsk – podkreśla dyrektor Szewczyk.

Prezydent Mańka-Szulik: – Śląsk to szacunek dla każdej przepracowanej dniówki, bo jak się zjeżdżało pod ziemię, to nigdy nie było wiadomo, czy się wyjedzie z powrotem. To także budowanie pewnej świadomości i kultywowanie dziedzictwa, z którym na Śląsku wszyscy są związani. Na to dziedzictwo składa się i ciężka praca ludzi, którzy są oddani tej ziemi, i myśl techniczna, której wytworami są przepiękna maszyna parowa z Carnalla i Kluczowa Sztolnia Dziedziczna.

– Patrząc na to, co zostawiły poprzednie pokolenia, życzy sobie, żebyśmy po sobie choć w części zostawili coś, co zachwyci te następne – mówi prezydent. Nie ma złudzeń co do tego, że turystyka przemysłowa stworzy tyle miejsc pracy, ile niegdyś przemysł. Owszem, dzięki niej zaczął się na przykład ruch w gastronomii, ale nic nie stanie się z dnia na dzień. Ale rozwój turystyki przemysłowej już zmienia postrzeganie Zabrza, poprawił jego wizerunek. – Nie oczekujemy, że dzięki wizycie w Guido otworzą się nowe zakłady pracy. Chcemy jednak, żeby nowe firmy zauważyły tę historię i dorobek tych pokoleń, które tu były wcześniej. I to już się dzieje. ■

Józef Krzyk

– dziennikarz i publicysta, pracuje w katowickiej redakcji „Gazety Wyborczej”

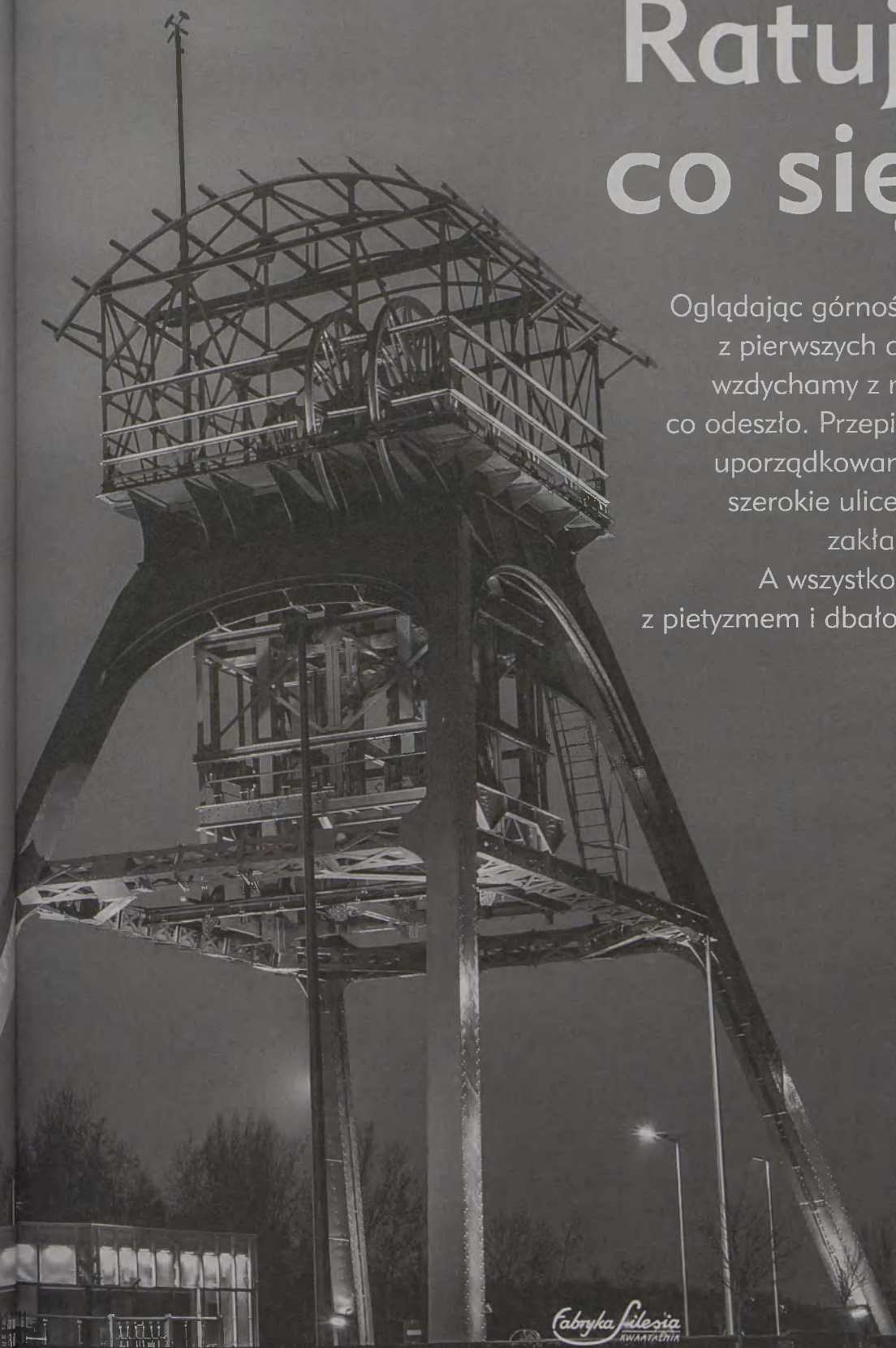


Monika Kassner

Ratujmy, co się da

Oglądając górnośląskie pocztówki z pierwszych dekad XX wieku, wzdychamy z nostalgią za tym, co odeszło. Przepiękne kamienice, uporządkowane parki i skwery, szerokie ulice i tętniące pracą zakłady przemysłowe.

A wszystko skomponowane z pietyzmem i dbałością o szczegóły.



Trzeba przyznać rację tym, którzy podkreślają, że te widokówki zawsze przedstawiają najlepsze ujęcia natury, najpiękniejszych bądź najbardziej reprezentacyjnych miejsc. Rzecz w tym, że w tym okresie region miał po prostu tych miejsc co niemiara. Podobne wrażenie odniósł Anton Oskar Klausmann, kiedy powróciwszy na Górny Śląsk po 32 latach nieobecności, ujrzał „wszędzie wielkomiejskie trotuary, elektryczne oświetlenie, sympatyczne, zbudowane na ludzką miarę domy rodzinne”.

...którego już nie ma

W 1911 roku Klausmann miał szczęście zobaczyć w całej okazałości to, co my możemy dziś oglądać tylko na obrazkach i wśród strzępów rzeczywistości, nadgryzionych latami komunizmu i transformacji ustrojowej końca XX i początku XXI wieku. Jednak wielu z nas, podobnie jak autor *Górnego Śląska przed laty*, pozostaje pod nieodpartym urokiem górnośląskiego *genius loci*. Czujemy to samo. Spod pokopalnianych, pohutniczych czy pofabrycznych zgłiszcz wyłania się dawny duch postępu. To, co zostało po okresach prosperity Górnego Śląska, jest dla nas równie oszałamiające, porażające, przypomina wzorce amerykańskie. Klausmann podkreślał, że wszędzie, gdzie się znalazł, dbano o porządek. Wystarczyło kilkadziesiąt lat ciężkiej pracy, by pejzaż z chałupami krytymi strzechami, z gnojówkami w centralnych punktach podwórzy zniknął bezpowrotnie.

Nawet do takich, rzuconych na ubocze, robotniczych kolonii jak Martinszacht dotarł wtedy postęp cywilizacyjny. Większość kierowców jadących średnicówką ze Świętochłowic w stronę Gliwic nie zdaje sobie sprawy, że na przełomie XIX i XX stulecia nieopodal widocznych z drogi dwóch stawów stało robotnicze osiedle. Szyb Marcina miał być węzłem transportowym, obsługującym część świętochłowicką Główniej Kluczowej Sztolni Dziedzicznej. Powstało przy nim osiedle prymitywnych domków. Z czasem lepianki zaczęły przekształcać się w robotnicze familoki, a kolonia rozwijała się.

Na pocztówce z początku XX wieku podziwiamy przestronne wnętrza gospody Karla Świętego, której okna zdobią drapowane zasłony, z sufitu zwisają piękne żyrandole, za stołami przykrytymi haftowanymi obrusami stoją kelnerki ubrane w czarne sukienki i białe fartuszki. Niestety, Martinszacht to jedno z wielu miejsc, którego już nie ma. Jedyne ślady po nim to wspomniany staw przecięty średnicówką, parę fotografii i kadry z filmu *Sól ziemi czarnej* Kazimierza Kutza.

26

Sygnal dali społecznicy

Gdyby nie tamten czas rozkwitu cywilizacyjnego, nie byłoby dziś mowy o odmienności kulturowej regionu, wyjątkowości górnośląskiego krajobrazu, turystyce industrialnej i potrzebie ratowania przemysłowego dziedzictwa. Wiele cennych obiektów i układów urbanistycznych przestało istnieć, a rewitalizacja innych pochłania i pochłonie wiele miliardów złotych. A jednak to i owo udało się ocalić. Przede wszystkim dzięki zapaleńcom, o których mówiło się, że są nieszkodliwymi szaleńcami. Bez nich nie zjeżdżalibyśmy dziś do kopalni Guido w Zabrze, nie czekalibyśmy na udostępnienie turystom zabrzańskiego odcinka Główniej Kluczowej Sztolni Dziedzicznej i nie wjeżdżali na taras widokowy wieży basztowej byłej kopalni Polska.

To tylko trzy z długiej listy ważnych dla zbiorowej pamięci górnośląskiej wspólnoty regionalnej obiektów, które nie tylko przyciągają turystów, ale stanowią też bezcenną wartość. Wiele z tych zabytków zniknęłoby z mapy Górnego Śląska, gdyby nie upór pasjonatów, którzy udowodnili władzom miast, że rewitalizacja wybranych elementów z przestrzeni postindustrialnej nie wynika z ich fanaberii, ale z głębokiej potrzeby lokalnych społeczności. Tak stało się w przypadku dwóch wież wyciągowych byłej kopalni Polska.

Początkowo władze miejskie nie interesowały się ratowaniem tych obiektów. Jawiły się im jako zagrożenie dla sąsiadującego budynku miejskiej komendy policji; myślano raczej o rozbiórce. Dopiero społeczna inicjatywa zapoczątkowana w 2011 roku, zbiórka podpisów wśród mieszkańców, założenie Stowarzyszenia „Dwie Wieże” i nagłośnienie sprawy w mediach spowodowały zmianę postawy. Wydarzeniem, które utwierdziło społeczników, że warto walczyć o wieże, było ich podświetlenie w czerwcu 2013 roku. Kiedy późnym wieczorem grupa mieszkańców oglądała górujące nad miastem, mieniące się żółto-niebieskim światłem wieże, niejednemu łezka zakręciła się w oku. Bo przecież rozpadające się kolosy są jedyną pozostałością po bogatej górniczej przeszłości Świętochłowic.

W 2014 roku urzędnicy aplikowali o pieniądze z Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Niestety, bez powodzenia. Trudno się dziwić, pewnie w centrali uznano, że ważniejsze dla rozwoju kultury polskiej są zabytki Warszawy czy Krakowa, a nie jakichś zapyziałych Świętochłowic, na dodatek wzniezione przez magnata przemysłowego o „nieładnie” brzmiącym nazwisku – Donnersmarck. Na szczęście z pomocą przyszedł Zarząd Województwa Śląskiego, który – dysponując resztką unijnych pieniędzy na re-

Na pocztówce z początku XX wieku podziwiamy przestronne wnętrze gospody Karla Świętego, której okna zdobią drapowane zasłony, z sufitu zwisają piękne żyrandole, za stołami przykrytymi haftowanymi obrusami stoją kelnerki ubrane w czarne sukienki i białe fartuszki.



witalizację – przyznał świętochłowickiemu projektowi prawie pięć i pół miliona złotych. Roboty ukończono w czerwcu 2015 roku.

Abby przekonać nieprzekonanych, już rok wcześniej, w ramach Industriady, miasto i Stowarzyszenie „Dwie Wieże” zorganizowali prelekcję o górniczej przeszłości miasta, spektakl teatralny amatorskiej grupy Lajera pt. *Szczęście Boże* o katastrofie w szybie Zimnol i zaprezentowali iluminację obiektów. Niestety, dziś, kiedy wieże zostały wpisane do Szlaku Zabytków Techniki, a mieszkańcy i turyści mogą bez ograniczeń z nich korzystać, sukces tego projektu ma tylko jednego ojca – miasto. A je przecież trzeba było długo i różnymi metodami przekonywać o celowości ochrony tych zabytków...

27

Dzieła sztuki architektonicznej

Świętochłowickie wieże to unikat. Podobne do tej starszej – tzw. kozłowej – istnieją już tylko trzy, a młodsza – basztowa – jest jedyną (kiedyś stała obok niej identyczna, a bliźniaczą wieżę szybu wentylacyjnego Ulrich kopalni Kleofas rozebrano już w roku 1951).

Powstanie wieży kozłowej o nitowanej konstrukcji datuje się na lata 1889–1891. Wieża basztowa pochodzi z roku 1908 (stalowe elementy do jej budowy wykonano w walczyńskiej Wilhelmshütte, reszta to cegła i szkło). Projekty obu obiektów przypisuje się sławnemu architektowi Hansowi Poelzigowi. Jednak, jak ustaliła badaczka Wioletta Wrona-Gaj, jego nazwisko nie pojawia się w dokumentach związanych ze świętochłowickimi wieżami. Być może w archiwaliach z czasów budowy bliźniaczej wieży szybu Ulrich znajduje się nazwisko projektanta.

Wieżę kozłową obsługiwały dwie maszyny wyciągowe, w tym ta pracująca do zamknięcia kopalni, a pochodząca z 1893 roku maszyna parowa. W wieży basztowej zaś zamontowano jedną z pierwszych na terenie ówczesnych Niemiec elektrycznych maszyn wyciągowych z kołem pędnym typu Köppe. Oba obiekty służyły, powstały w 1873 roku z połączenia kilku należących do Guidona Henckela von Donnersmarcka świętochłowickich pól górniczych, kopalni Steinkohlenbergwerk Consolidiertes Deutschland (w skrócie: Deutschland). Zakład otrzymał nazwę na cześć zjednoczenia kraju i powstania w 1871 roku cesarstwa niemieckiego, a jedno z jego pól o nazwie Bohlen było usytuowane w pobliżu Głównej Kluczowej Sztolni Dziedzicznej.

Gdyby dziś do Świętochłowic zawitał Anton Oskar Klausmann, na pewno skorzystałby z okazji i zrobił zdjęcie z tarasu widokowego wieży basztowej. Może też opisałby swe wrażenia. Jaką cenzurkę by nam wystawił? ■

Monika Kassner

– redaktor naczelna „Jaskółki Śląskiej”, wiceprzewodnicząca Ruchu Autonomii Śląska

Anna Mrowiec

Tajemnice lasów karbońskich

Zabrzańska wieża ciśnień przy ul. Zamojskiego ma szansę stać się unikatowym w skali kraju multimedialnym centrum edukacyjno-wystawienniczym. Piękny, zabytkowy budynek będzie miał bowiem nowego właściciela – Muzeum Górnictwa Węglowego. Zespół naukowców z Uniwersytetu Śląskiego i Politechniki Śląskiej ma już projekt wystawy, która znajdzie się wewnątrz wieży. Robi ogromne wrażenie.

Muzeum Górnictwa Węglowego chce niebawem sfinalizować transakcję zakupu obiektu. Zgodę wyraził już właściciel, miasto Zabrze, i marszałek województwa śląskiego.

– Jesteśmy na etapie rozmów z bankiem, czekamy na rozstrzygnięcie. Wtedy będziemy mieli zabezpieczone środki, żeby kupić wieżę. Koszt rewitalizacji wieży i adaptacji to około 21 mln zł. Kwota ta nie obejmuje nowoczesnej wystawy, bo to są koszty, które się w niej nie mieszczą – mówi Bartłomiej Szewczyk, dyrektor Muzeum Górnictwa Węglowego. – Myślę, że ukończenie rewitalizacji do końca 2019 roku to termin realny. Gdyby udało się w tym roku pozyskać pieniądze, to od przyszłego można by zacząć rewitalizację, która potrwa mniej więcej dwa lata. Województwo może nas wesprzeć środkami unijnymi w ramach Regionalnego Programu Operacyjnego – dodaje dyrektor Szewczyk.

Po węgiel w kosmos

– Przyjęliśmy, że wieża powinna być stałym elementem zabrzańskiego kompleksu turystycznego, bo jest wyjątkowa, a sposób zagospodarowania powinien być zgodny z profilem naszej instytucji. Wieża jako obiekt osobny, prawdopodobnie, patrząc na losy tego typu budowli, nie spełniłaby swojej funkcji. Natomiast wpięcie jej w kompleks Muzeum Górnictwa Węglowego powinno ją ożywić. Oczywiście, muszą pojawić się elementy komercyjne, ale nie będzie to funkcja wiodąca. Turyści, którzy nas odwiedzają, zobaczą wieżę jako budowlę bardzo ciekawą i inną. Zazwyczaj ludzi zwozimy albo sprowadzamy na dół, a tu pojedą do góry – kontynuuje Bartłomiej Szewczyk.

Nad projektem wystawy, która znajdzie się wewnątrz wieży, pracuje zespół naukowców z Uniwersytetu Śląskiego. Tworzą go: dr Andrzej Boczarowski, paleontolog, muzeolog, grafik i informatyk programista, specjalista od multimedialnych, interaktywnych, komputerowo sterowanych ekspozycji (jego realizacje można zobaczyć w parku nauki i ewolucji człowieka w Krasiejowie, JuraParku w Bałtowie; obecnie przygotowuje wystawę w Utah w USA), dr Jerzy Jarosz, od lat zajmujący się popularyzacją nauki, w formie interaktywnych pokazów, wykładów, filmów i audycji telewizyjnych, konsultant Centrum Nauki Kopernik i innych centrów nauki w Polsce (według jego pomysłów i scenariusza zrealizowano Park 12C w Zabrzu), prof. Mirosław Nakonieczny, popularyzator nauk biologicznych, dyrektor Centrum Studiów nad Człowiekiem i Środowiskiem. Koordynatorem projektu jest prof. Janusz Janeczek z Wydziału Nauk o Ziemi.

– Przygotowaliśmy wstępną propozycję scenariusza. Ma to być ponadregionalna atrakcja edukacyjno-rekreacyjna – wyjaśnia prof. Janeczek. – Wnętrze będzie ultranowoczesne. Chcemy wykorzystać najnowsze technologie wystawiennicze, aby zwiedzającemu zaciełała się różnica między rzeczywistością a światem wystawy. Motywem przewodnim wieży ciśnień, którą nazwaliśmy umownie Wieżą Atrakcji, jest pierwiastek węgiel. Od jego kosmicznych prapoczątków, poprzez historię naturalną i tradycyjne wykorzystanie, do współczesnych technologii, w tym nanotechnologii węglowych. Celem jest uświadomienie zwiedzającym jego roli nie tylko jako główne-

Widzowie wirtualnie trafiają do różnych rejonów kosmosu. Potem przemieszczają się do przestrzeni, która będzie symulowała wnętrze Ziemi. Będą obserwowali narodziny diamentów, a później zobaczą te oszlifowane, czyli brylanty.

go składnika paliw kopalnych, ale przede wszystkim jako pierwiastka życia. Oś wieży będzie symbolizowała oś czasu, narzuci porządek zwiedzania. Będzie mowa o kosmicznych diamentach, wszystko to znajdzie się w pomieszczeniu multimedialnym, widzowie wirtualnie trafiają do różnych rejonów kosmosu. Potem przemieszczają się do przestrzeni, która będzie symulowała wnętrze Ziemi. Będą obserwowali narodziny diamentów, a później zobaczą te oszlifowane, czyli brylanty. Ujrzą też węgiel w jeszcze innej postaci – w skałach, które go zawierają, ale nie są węglem kamiennym, m.in. w jaskiniowych naciekach wapiennych. Później przejdą do sali, w której poznają historię dwutlenku węgla i kluczową rolę izotopu węgla przy określaniu wieku znalezisk archeologicznych. „Historia życia węglem pisana” to nazwa kolejnej wystawy – chcemy uświadomić zwiedzającym, że węgiel jest esencją życia: od molekuł, zawierających węgiel, do nas samych, ludzi. Bez węgla nie istnielibyśmy. W tej sali będzie m.in. zabawa z fotosyntezą – zwiedzający wejdzie w strukturę liścia. Później przejdziemy do węgla kamiennego, który powstaje z roślin, ale będziemy go oglądali w świecie mikroskopowym. To powinno być duże zaskoczenie dla zwiedzających, bo kojarzy się on z czarną bryłą, a tu zobaczą kolorowy, nieoczekiwany świat. Tego jeszcze nikt nie pokazywał, a my mamy tę część ekspozycji już właściwie przygotowaną. Potem opowiemy o rewolucji przemysłowej, by zachęcić do odwiedzenia innych ekspozycji Muzeum Górnictwa Węglowego. Następnie przechodzimy do ultranowoczesnego „Świata nowych technologii węglowych”. Chcemy pokazać, w jakim kierunku zmierza technika wykorzystująca węgiel. Zwiedzający zobaczą

m.in. materiały i sprzęty, do produkcji których wykorzystuje się np. włókna węglowe. Na interaktywnej wystawie zobaczymy narzędzia z węglem, poczynając od ołówka aż do najnowocześniejszych. Wstępnie jest już zaakceptowana „Diorama karbońska” w 4D. Chcemy dosłownie zanurzyć zwiedzającego w lesie karbońskim sprzed 300 mln lat, łącznie z zapachami, dźwiękami, wiatrem. Oprócz interaktywnych technologii proponujemy kawiarnię z kuchnią molekularną, w otoczeniu nawiązującym do ekspozycji. Chcielibyśmy wykorzystać fakt, że jest to wieża dominująca nad tą częścią Zabrza. Planujemy taras widokowy, a wokół ekspozycję plenerową, która ma służyć zabawie i edukacji, podobnie jak Park 12C w Sztolni Królowa Luiza.

Prof. Janeczek podkreśla, że w każdej części wystawy znajdą się nawiązania do wody i ciśnienia. – W otoczeniu wieży będzie ekspozycja pokazująca, jak działa wieża ciśnień, bo mimo że są powszechne na Śląsku, mało kto wie, jak funkcjonowały. Będzie też kącik wypoczynkowy, chcemy w tym celu wykorzystać istniejącą architekturę. Wieża na co dzień mogłaby być ośrodkiem szkoleniowym dla nauczycieli. Edukacja plenerowa ciągle się rozwija. Chcemy, żeby zwiedzający do nas wracali. Dlatego atrakcje multimedialne będą się zmieniać, a rdzeń wystawy pozostanie bez zmian.

Bartłomiej Szewczyk ma nadzieję, że dzięki wystawie uda się „odczarować” węgiel: – Chodzi o to, aby węgiel, który jest ciągle najmocniejszym symbolem Śląska, pokazać z innej strony. Opowiadamy o nim w kopalni, pokazujemy różne pokłady – Dolina Węgla w Guido, chodnik w węglu w Sztolni – wraz z zagrożeniami wentylacyjnymi, pożarowymi itp., prezentujemy proces jego wydobycia. W wieży chcemy wyjść poza schemat kopalni. Na razie nikt się tym nie zajął ani na Śląsku, ani w Polsce.

Wyjątkowa konstrukcja

Wieża ciśnień przez wiele lat należała do miasta. W 2000 roku gmina sprzedała ją i prawie hektar gruntu wokół Robertowi Wallonowi, zabrzańskiemu mieszkańcowi w Szwajcarii. Roman Urbańczyk, były prezydent Zabrza, za którego kadencji doszło do transakcji, mówił po latach, że w tamtym czasie wydawało się to dobrym pomysłem. Ówczesny nabywca zobowiązał się, że w ciągu dwóch lat zainwestuje w wieżę dwa miliony złotych.

Tak się jednak nie stało. Zamiast inwestować, Robert Wallon po siedmiu latach sprzedał obiekt za kwotę kilkakrotnie wyższą. Wieżę kupiła zabrzańska firma Siltech, należąca m.in. do Jana Chojnackiego, byłego zabrzańskiego posła, obecnie prężnego przedsiębiorcy. Jednak i jego ta inwestycja przerosła.

– Były na nią przeróżne pomysły – siedziba Muzeum Miejskiego, mieszkania, restauracje, a ona stoi i niszczeje. Jest w tej chwili w niezłym stanie technicznym, natomiast jest to ostatni moment, kiedy można uzyskać środki na jej rewitalizację – tłumaczy Bartłomiej Szewczyk.

Z planu zakupu wieży zadowolona jest Małgorzata Mańka-Szulik, prezydent Zabrza: – Od dekady budujemy produkt turystyczny Zabrza w oparciu o dziedzictwo przemysłowe. Symbolami industrialnych przeobrażeń przestrzeni miejskiej są kopalnia Guido czy Sztolnia Królowa Luiza, jedne z najbardziej rozpoznawalnych miejsc na Szlaku Zabytków Techniki. Trasy podziemne, jak też obiekty na powierzchni cieszą się stale rosnącym zainteresowaniem mieszkańców i gości, o czym świadczy liczba odwiedzających.

Wieżę wybudowano w 1909 roku według projektu niemieckich architektów Augusta Kinda i królewskiego radcy budowlanego Friedricha Loose w stylu ekspresjonizmu. Koszt jej budowy wyniósł ponad milion marek. Dlaczego w ogóle budowano wtedy wieżę ciśnień? Roboty górnicze spowodowały zanik wód powierzchniowych oraz obniżenie poziomu wód gruntowych i zanik wody w studniach. Zadaniem wieży było stworzenie stałego wysokiego ciśnienia w coraz szybciej powstających wodociągach oraz gromadzenie zapasów wody. Wieża przy Zamojskiego zaopatrywała w wodę większą część Zabrza, Maciejowa, Sośnicy i warsztaty naprawy lokomotyw w Gliwicach.

Obiekt jest jedną z największych wież wodnych na Śląsku, o wyjątkowej i nowatorskiej konstrukcji. Wysoki na 46 metrów, nie ma odpowiednika na terenie Polski. Jego bryła, której zasadniczą konstrukcję stanowi osiem filarów na ośmioboku foremnym, dorównuje klasą najwybitniejszym osiągnięciom światowej architektury przemysłowej. W podstawie znajduje się trzykondygnacyjny budynek mieszkalny z poddaszem oraz zwieńczeniem w postaci podwójnego zbiornika. Aby dostać się na poziom pod rezerwuarem, który znajduje się na wysokości 28 metrów, trzeba pokonać 135 metalowych schodów. Stalowy zbiornik mieścił dwa tysiące metrów sześciennych wody, ma ponad siedem metrów wysokości. Obecnie na terenie województwa śląskiego zachowało się ok. 80 wież wodnych z lat 1871–1935, w różnych stylach architektonicznych. W Zabrze zostały cztery. ▣

Anna Mrowiec

– dziennikarka, pracuje w „Nowinach Zabrzańskich”



32

Sebastian Rosenbaum

Powidoki innego industrialu

Zanim stał się krainą węgla kamiennego, Górny Śląsk był ziemią cynku i ołowiu. Górnictwo okazało się przeznaczeniem wschodniej części regionu co najmniej od średniowiecza, ale kolebki górnośląskiego kopalnictwa – Bytom i Tarnowskie Góry – nie były związane z węglem.

Altana widokowa na jednej z warpi w tarnogórskim Parku Miejskim, początek XX w.

Idąc wstecz, ku ciemnym źródłom Górnego Śląska, napotykamy rudy kruszconośne – cynku, ołowiu, żelaza, srebra – jako obiekt pożądania i ekscytacji, eksploatacji i spieniężenia, jako rękojmię rozwoju i postępu. W średniowieczu w rejonie Bytomia, miasta, które przecina granica między złożami rud i złożami węgla, wyrosły się odkrywki, a potem płytkie szyby, drażone do momentu pojawienia się wody.

Galena i galman

Galena, kruche i miękkie bryły siarczku ołowiu, dobywana była jako monarsze regale – przywilej śląskich książąt, władających miastem. Ołów i srebro, pozyskiwane przez nową kastę górników, generowały porządek instytucjonalny (władze i samorządy górnicze), symboliczny (górnika w pieczęci ławniczej Bytomia pojawił się już w XIV wieku) i ekonomiczny (handel urobkiem i wytopami gwarantował dobrobyt miasta).

Po wygaśnięciu górnictwa bytomskiego nastąpiły dekady gospodarczej stagnacji, przerwane odkryciem kruszców, głównie ołowiu z domieszkami srebra, w rejonie dzisiejszych Tarnowskich Gór. Działo się to na przełomie XV i XVI wieku. Tę eksplozję przemysłową, osadniczą, budowlaną i organizacyjną, dokonującą się na względnie niewielkim skrawku ziemi, trudno nam dziś sobie wyobrazić. Pustka między wioskami Stare Tarnowice, Sowice i Lasowice nagle zappełniła się setkami szybów i domostw. Nowa osada wnet uzyskała prawa miejskie i herb, otrzymała samorząd górniczy, a gwarkowie (dysponenci udziałów w kopalniach i szybach) i górnicy zdobyli liczne prawa, wolności i przywileje. Niemal z dnia na dzień narodziło się Wolne Miasto Górnicze Tarnowskie Góry (Freie Bergstadt Tarnowitz), najważniejsza i najludniejsza miejscowość na ziemiach zarządzanych przez księcia piastowskiego Jana Dobrego z Opola i jego sukcesora, Jerzego Hohenzollerna z Ansbach w Brandenburgii, dobrodziejów młodego miasta.

Rozmach eksploatacji zdumiewa. W jednym tylko roku 1556 w rewirach górniczych w mieście i jego okolicy bito 2,5 tysiąca szybów kopalnianych, gęsto jeden obok drugie-

Filiżanka z serwisu Rudolfa von Carnalla z widokiem kopalni galmanu w Szarleju koło Bytomia, 1844 r.





go, płytkich, z których urobek czerpano wiadrami zamontowanymi na kołowrotach zwanych „haszplami”. Do końca XVI wieku nadano prawie 20 tysięcy szybów. Żadna osada na Górnym Śląsku nie narodziła się w taki sposób, w żadnej przemyśl i egzystencja nie scalały się tak w nierozdzielny stop. Tarnowskie Góry stały się archetypem miasta industrialnego, podobnie jak archetypiczny był otaczający je i wypełniający krajobraz górniczy. Także odsetek kolonistów z ziem niemieckich i czeskich oraz luteran i innych protestantów – obok miejscowej ludności i katolików – nadawał miastu posmak wyjątkowo mocnych kontrastów i budował daleką od harmonii wielokulturowość.

Giesche i Reden

Po rozkwicie przyszedł znowu zastój w przemyśle, wzmacniany na powierzchni wirami wojny trzydziestoletniej, a na dole, w górniczych wyrobiskach – obfitymi wodami, zalewającymi korytarze kopalniane. Jasny punkt tego czasu to Georg von Giesche, wrocławski kupiec, który od początku XVIII wieku w rejonie Tarnowskich Gór, obok Szarleja, Stolarzowic, Rept Śląskich, Miechowic, Wieszowy, dobywał – mając cesarski przywilej wyłączności – rudę cynku, galman węglanowy (czerwony) i krzemianowy (biały). Stopiona z miedzią ruda galmanowa daje mosiądz – wystarczający powód, by stać się jednym z eksportowych szlagierów Górnego Śląska. Z galmanu wytapiano cynk – od 1799 roku wedle metody Johanna Christiana Ruberga, inżyniera z Harzu, czynnego w Pszczynie. Rozwinęło się więc hutnictwo cynkowe, a wraz z nim bogactwo Karola Goduli, von Ballestremów, Hencklów von Donner-smarcków, książąt pszczyńskich, von Schaffgotschów, bajeczne fortuny na górnośląskich piachach. Ulokowane w gniazdach w dolomicie i wapieniu muszlowym cynk okazał się górnośląskim złotem (przywołując tytuł powieści Hansa Nowaka i Georga Ziviera *Zink wird Gold*) i to na ponad 150 lat zaspokajając niemal zupełnie europejskie zapotrzebowanie na ten surowiec. Na cynku wyrosło też bogactwo Franza von Wincklera, do którego należała kopalnia galmanu Maria w Miechowicach. To jej górników obserwował z wieży kościelnej, jak czytamy w *Starym kościele miechowskim*, mały Norbert Bonczyk, gdy w żółtych kitlach wracali do domów. Żółtych od wapienia muszlowego, w którym drążono, by docierać do nitek i niecek wypełnionych galmanem. Kolorem górnika przed węglem była bowiem nie czerń, a żółć, a ściślej, jak zauważył berliński pastor Johann Friedrich Zöllner w 1791 roku po zwiedzeniu podtarnogórskich kopalń – „żółta ochra”, której nie dało się zmyć ani z ubrań, ani ze skóry.

Gdy Bonczyk spoglądał na Miechowice z drewnianej wieży nieistniejącej już dziś świątyni, była połowa XIX wieku. Ale ponad półwiecze wcześniej nastąpiło wydarzenie, które elity pruskie wyniosły następnie do

rangi mitu (bo i na to zasługiwało). 16 lipca 1784 roku w szybie Rudolphine nowo otwartej fiskalnej (państwowej) kopalni Friedrichsgrube pod Tarnowskimi Górami wydobyto pierwszą bryłę błyszczu ołowiu. Ten zakład z prawdziwego zdarzenia, nie był kopalnią z prymitywnym wyposażeniem, do którego uruchomienia ściągnięto najlepszych specjalistów z Saksonii, niedługo później wyposażony został w maszynę parową do pomp odwadniających, sprowadzoną z Anglii, jedną z pierwszych (aczkolwiek nie pierwszą, jak chcą lokalni patrioci) na kontynencie. Urobek z kopalni Fryderyka wieszono do drugiego otwartego równolegle zakładu – huty również noszącej imię króla (Friedrichshütte), położonej zaledwie kilka kilometrów od kopalni – i tam wytapiano. Wespół z hutą w Gliwicach i Królewskiej Hucie dwa tarnogórskie zakłady wyznaczały nową epokę górnośląskiego przemysłu. Za wszystkim stał dyrektor Wyższego Urzędu Górniczego z Wrocławia, Friedrich Wilhelm von Reden, człowiek, którego upór, jak napisał nestor śląskiej historiografii Colmar Grünhagen, „pokonywał wszystkie przeszkody”.

Kraina warpi

Górnictwo kreowało nowy krajobraz kulturowy – po pierwsze, nowy typ urbanistyczny. XVI-wieczne Tarnowskie Góry nie przypominały średniowiecznych miast. Nowej miejscowości nie otaczały mury, a jedynie niski, drewniany parkan. Układ urbanistyczny zdawał się całkowitym chaosem. Wokół piętrzących się hałd wily się wąskie drożki i chodniki, przy nich stały domy, niskie górnicze chałupy, kryte gontem, i budynki gospodarcze. Między nimi stawiano prymitywne zabudowania szybów, odwadniarki, płuczki. Kronikarz tarnogórski Paul Klose pisał: „kto wówczas przybyłby do osady, zapewne zdumiałby się na widok domków i chat rozproszonych zgoła przypadkowo, pomiędzy kopcami ziemi i kamienia, przy kołowrotach, wokół których krzątał się pracowity lud (…). Z szybów wyciągano lepką, żółtą, podobną glinie masę albo brudny kamień pozbawiony wartości”. Ta skała płonna sypana była wokół szybików, tworząc kopce, zwane warpami (worpami lub pinami) – słowo pochodzi od niemieckiego *werfen*, czyli rzucać, jednoznacznie wskazując na okoliczności powstania owych hałd. Po ustaniu wydobywania zasypane kamieniami i ziemią i nieużytkowane już szyby przekształcały się w niecki, które często wypełniała woda – były to zarówno małe oczka wodne, jak też pokaźne stawy. Bowiem górnictwo dokonywało, po drugie, antropogenicznej permutacji przyrody. Człowiek wdarł się, po raz pierwszy w tak osobiwej formie, w świat natury: już nie pacyfikując lasów na rzecz pól uprawnych, ale destrukcyjnie powierchnię ziemi i pustosząc jej wnętrze.

Podobnie jak w XVI wieku wydobywano rudy w stuleciach XVII i XVIII, ale kolejne epizody eksploatacji nakładały się na siebie, spychając w cień ślady wcześniejszego przemysłu. Gdy w lipcu 1791 roku cytowany już Zöllner obserwował okolice Tarnowskich Gór, dostrzegał wszędzie wzgórki „porośnięte wyborną pszenicą” – nie naturalnie przecież wzniesienia, ale pochłonięte przez rolnictwo dawne warpie po szesnastowiecznym wydobywaniu. Istotnie, krajobraz po wczesnym tarnogórskim górnictwie wtopił się już w przestrzeń, rozplynął w niej – większość warpi pokrywały pola, łąki, pastwiska, także zabudowania. Zarazem fedrunek rud trwał wówczas, u schyłku XVIII wieku, w najlepszym, choć już w innych miejscach. Kiedy Zöllner zbliżał się do kopalni galmanu pod Szarlejem i Suchą Górą, uderzył go następujący obraz: „szyby leżą tak blisko siebie, że z oddali wydają się niezliczoną rzeszą wielkich kretowisk”. Wydobyte bryły galmanu wykładano obok szybów i warpi, aby schły na powietrzu, co dodatkowo potęgowało wrażenie – zdewastowany krajobraz pełen kopców i kurhanów. Podobnie było w rejonie Miechowic, a zwłaszcza Stolarzowic: wokół miejscowości ciągnęły się dziesiątki szybów, które w początkach XIX wieku przekształciły się w samodzielne kopalnie galmanu o urokliwych nazwach: Vorsehung, Planet, Alexanderblick, Verona, Friedrichswille, Medardus... W drugiej połowie tego stulecia, gdy boom na cynk skończył się, większość z nich upadła.

Niektóre z tych kopalni galmanowych oglądać można na malunkach z serwisu Carnalla, zestawu dwunastu filizanek ze spodkami oraz trzech dodatkowych naczyń, które w 1844 roku подарowane zostały zasłużonemu urzędnikowi Górnośląskiego

Urzędu Górniczego z Tarnowskich Gór i odnowicielowi tamtejszej szkoły górniczej, Rudolfowi von Carnalowi. Na filiżankach wymalowano wizerunki kopalni Friedrichsgrube, kilku innych zakładów, urzędu górniczego, tarnogórskiego domu Carnalla, jak również okolicznych kopalń galmanu: Scharley, Therese, Maria, Verona, Carl Gustav i Planet, położonych między Piekarami Śląskimi, Miechowicami a Stolarzowicami. Powstał konterfekt przemysłowych krajobrazów, których nigdy nie uwieczniła błona fotografa: wcześniej bowiem zdążyły zniknąć. Uczniowie Carnalla, którzy serwisem obdarzyli swego nauczyciela, odchodzącego do pracy we Wrocławiu i Berlinie, wystawili tym samym pomnik rzeczywistości, która dziś pozostaje uchwytna jedynie jako blady powidok.

Na powierzchni i pod nią

W latach 20. XIX wieku przy szybie Rudolphine kopalni Friedrichsgrube w Tarnowskich Górach (w rejonie wsi Bobrowniki Śląskie) miało miejsce oryginalne wydarzenie. Dla upamiętnienia przywołanego już dnia 16 lipca 1784 roku, kiedy to wydobyto pierwszą bryłę ołowiowego błyszczu, dnia symbolicznie utożsamianego z momentem narodzin górnosłaskiego górnictwa, usypano tzw. Hałdę Pamiątkową (Denkhalde). Inicjatorem był wyższy starosta górniczy z Wrocławia Ludwig Gerhard. Regularny, dziesięciometrowy kopiec, ścięty i zwieńczony lipą (lub akacją), z biegnącą naokoło ścieżką, wzniesiony został na bazie dużej hałdy popłuczkowej – bodaj pierwszy w regionie przykład rekultywacji terenu poprzemysłowego, do tego dokonanej na cele polityki symbolicznej i komemoracyjnej. Cały obszar wokół Denkhalde został uporządkowany i przekształcony w park (Grubenpark, Park Kopalniany), w którym organizowano corocznie w dniu 16 lipca (bądź w pierwszą niedzielę po tym dniu) uroczystości Bergfestu (Święto Górnicze), które oprócz festynu składało się także z nabożeństw w kościołach ewangelickim i katolickim oraz wielkiego przemarszu górników. Miejsce kreowano na centralny punkt pamięci o genezie państwowego przemysłu: w 1839 roku gościł tu król Prus Fryderyk Wilhelm III, a od lat 40. XIX wieku coraz częstsze były obchody o patriotycznej wymowie. Ale znaczenie tego miejsca okazało się daleko skromniejsze, niż planowano, między innymi z powodu postępującej od drugiej połowy XIX wieku marginalizacji Tarnowskich Gór jako ośrodka przemysłowego, czego elementem było też wygaszanie kopalni Friedrichsgrube na początku XX wieku.

Niemniej Hałda Pamiątkowa jest ciekawa, bowiem realizuje koncept, zakładający włączenie terenów antropogenicznych – które uznać trzeba w pierwszym rzędzie za miejsca degradacji przyrody – w porządek kulturowego bytowania człowieka mieszczańskiego. Obywatela i mieszczanina, kierującego się szacunkiem dla pracy i państwa, spełniającego się w ceremoniach i rytuałach rodzącego się „oświeconego” (oświeceniowego) społeczeństwa, dokonującego apoteozy przemysłu, a zarazem – budującego nowy regionalny patriotyzm. W podobnym duchu postąpiły elity Tarnowskich Gór kilka dziesięcioleci później. W 1903 roku otwarto Promenadę, czyli obecny Park Miejski – i znów wykorzystano do tego celu ponad 11 hektarów terenu pokopalnianego (tym razem po XIX-wiecznych kopalniach żelaza). Zachowano charakterystyczny dla warpi sfałdowany krajobraz – na jednej z hałd osadzono nawet altankę widokową. Nasadzono oryginalnych drzew i krzewów, wytyczono ścieżki, zwieziono głązy narzutowe, ustawiono ławki, altany i kioski. Obok stworzono korty tenisowe, boisko i tor łyżwiarski. Nie zapomniano o warstwie symbolicznej: na wysokiej warpi umieszczono obelisk z piaskowca z 1884 roku, wcześniej znajdujący się na wspomnianej Hałdzie Pamiątkowej przy Friedrichsgrube, dedykowany hrabiemu Redenowi i jego „zleceniodawcy” – królowi pruskiemu Fryderykowi Wielkiemu.

Tereny pogórnice włączano więc w pola uprawne, zalesiano, zamieniano w parki – tym samym unicestwiano je. Warpie, usypane z charakterystycznego żółtego wapienia, niecki z wodą i stawy, noszące wymowne nazwy, jak staw Szyb w Górnikach koło Stolarzowic, łatwo było dostrzec jeszcze 40 lat temu. W latach 20. XX wieku górnickim hałdom i ich florze poświęcił frapujące studium miejscowy nauczyciel, przyrodnik Paul Gründler. Było ich wówczas – podobnie jak w okolicy – wciąż jeszcze wiele. Ale z wolna



porastały trawą i samosiejką drzew i krzewów lub też (od lat 60. XX wieku) celowo były obsadzone drzewami. Zbiorniki wodne wysychały, sfałdowania wskutek erozji spłaszczały się i wygładzały albo po prostu były niwelowane. Dzisiaj poszukiwanie ich śladów wymaga cierpliwości i niemałej wiedzy o tym, gdzie szukać, ryzykując odkrycia mocno niespektakularne. Także wokół Tarnowskich Gór napotkać można resztki dawnych pin: koło Sowiec, między kolonią Szczęść Boże a Reptami Śląskimi, między Bobrownikami Śląskimi a Piekarami Rudnymi. Tam też ukrywa się ślad pierwszej próby rekultywacji przestrzeni przemysłowej, Hałda Pamiątkowa – dzisiaj niewielki, zaniedbany wzgórek, porośnięty wszechobecnymi chaszczami, synonimem bylejakości.

Ale warpie to chyba mniej istotna część pogórniczego krajobrazu, choć na pewno bardziej przystępna dla obserwatora. Bo w kopalniach najważniejsze dzieje się jednak pod ziemią. A pod terytorium, o którym tu mowa, rozciąga się, wykuwane przez stulecia w wapieniu, podziemne miasto labirynt, złożone z dziesiątków kilometrów korytarzy. Do części z nich nie zapuszczają się nawet najodważniejsi speleolodzy, ale niektóre z nich udostępniono jednak ruchowi turystycznemu. Planowano to już w latach międzywojennych, ale dopiero w 1958 roku udało się w Parku Repeckim w Tarnowskich Górach otworzyć dla turystów Sztolnię Czarnego Pstrąga – fragment dawnego systemu odprowadzania podziemnych wód, który przepływa się łódką. Zaś niespełna 20 lat później, w 1976 roku, po długich przygotowaniach otwarto tarnogórską Zabytkową Kopalnię Srebra, niezmiennie od 40 lat jedno z najpopularniejszych miejsc turystyki przemysłowej w naszym regionie. Jeśli te obiekty, wspólnie z powarpiowym Parkiem Miejskim w Tarnowskich Górach, w lipcu tego roku wpisane zostaną, jak jest to planowane, na listę zabytków UNESCO, może innym okiem spojrzymy na pozostałości czasu, kiedy Górny Śląsk stał cynkiem i ołowiem, a nie węglem. ■

Sebastian Rosenbaum

– historyk, pracuje w Instytucie Pamięci Narodowej w Katowicach



Hanna Doroz-Tomasik, Grzegorz Jankowski

Koń a sprawa śląska

Współcześnie przestrzeń miejskie nie są kojarzone z powszechnym użytkowaniem koni. Jednak, jak dowodzi historia, one również były areną ich rozległego i wielokierunkowego wykorzystania. Śląsk nie jest w tym przypadku wyjątkiem.

Odnalezienie na tych terenach najstarszej na ziemiach polskich brony dostosowanej do ciągnięcia przez konie, jak również dawna, intensywna eksploatacja tych zwierząt w wielu dziedzinach życia świadczą o niebagatelnej ich roli w rozwoju gospodarczym regionu. Podstawową i najstarszą formą wykorzystywania koni była ich praca jako siły pociągowej w rolnictwie. Jednak nie ona jest wyróżnikiem dla Górnego Śląska.

Pod ziemią i wzdłuż rzek

Liczne materiały źródłowe wskazują, jak wielkie znaczenie miały konie w kopalniach, w których wykorzystywano zwierzęta zimnokrwiste, a więc silne i krępe, często sprowadzane z Niemiec lub Francji. Pod ziemię były opuszczane szybem, przywiązane solidnymi linami poniżej windy osobowej. W zależności od głębokości, na jakiej miały pracować, taka operacja trwała od dwóch do nawet czterech godzin. Z reguły eksploatowane były w dwóch zmianach, po 40 koni na zmianę. W niektórych kopalniach, oprócz stajni koni roboczych, znajdowała się tzw. stajnia właścicielska, w której trzymano konie przeznaczone do ciągnięcia zaprzęgu właściciela lub zarządcy kopalni podczas ich wizyt na dole (przykładem może być zabrzańska kopalnia Guido, którą często odwiedzał jej właściciel, hrabia von Donnersmarck).

Koń jako siła pociągowa w kopalniach zaczął tracić na znaczeniu w pierwszej ćwierci XX wieku. Jednakże proces ten nie postępował szybko. Pomimo wprowadzania nowoczesnych rozwiązań (np. lokomotywy napędzane benzolem, a później elektryczne) konie nadal pracowały zwłaszcza na niższych poziomach wydobywczych. Warto przypomnieć, że ostatni koń został wyprowadzony z katowickiej kopalni Wieczorek dopiero w 1952 roku.

Oprócz pracy pod ziemią zwierząt tych, podobnie jak w całej ówczesnej Europie, powszechnie używano w licznych dziedzinach życia społecznego i gospodarczego. W transporcie towarowym ciekawym sposobem korzystania z końskiej siły był transport rzeczny. Tzw. galary, na których spławiano Przemszą i Kanałem Kłodnickim węgiel ze śląskich kopalń, ciągnięte były przez konie idące wzdłuż koryta rzeki.

39

Na torze i w wojsku

Rozwój sieci osadniczej spowodował konieczność organizacji komunikacji nie tylko między miastami, ale także w ich granicach. Pod koniec XIX wieku między innymi w Gliwicach, Bytomiu, Chorzowie, Katowicach funkcjonowała komunikacja miejska w formie tramwajów konnych i parowych. I choć te pierwsze przyjaźniej były odbierane przez mieszkańców (robili mniej hałasu, a przede wszystkim nie dymiły), to odegrały jedynie epizodyczną rolę w transporcie publicznym górnośląskiego regionu. Zostały zlikwidowane już w 1898 roku i zastąpiono je tramwajami elektrycznymi. Dłużej, bo do początków II wojny światowej, kursowały konne taksówki – dorożki, które można zobaczyć na wielu dawnych pocztówkach.

Oprócz wspomnianych form wykorzystywania koni w gospodarce zwierzęta te (a właściwie dyscypliny sportowe, w których odgrywały główne role) były przyczyną radości, jak również tragedii. Podobnie jak w wielu miastach europejskich, tak i w Katowicach w latach 30. istniał tor wyścigów konnych. Jak każdy z tego typu obiektów, stanowił atrakcję dla licznej rzeszy bogatych mieszkańców nie tylko tego miasta. Najlepsze konie trafiały pod opiekę wytrawnych trenerów i dosiadane były przez najlepszych dżokejów. Odbiorcami widowisk byli przedstawiciele elit społecznych – arystokraci i bogaci mieszczaństwo, chętnie uczestniczący w zakładach bukmacherskich. Niekiedy wygrywali, choć częściej przegrywali fortuny (uroczyste otwarcie katowickiego toru miało miejsce w sierpniu 1932 roku, a ostatnie fotografie z zawodów wykonano w czerwcu 1939 roku).

Również w historii wojskowości śląskiej koń zaznaczył swoje ważne miejsce. Stało się tak za sprawą 3 Pułku Ułanów Śląskich, którego garnizon mieścił się w Tarnowskich Górach. Współcześnie barwy tego pułku zostały przyjęte przez grupę rekonstrukcyjną. Dziś ułanów można podziwiać podczas uroczystości i pokazów historycznych, a także na zawodach kawaleryjskich w Polsce i za granicą.



Bieg św. Hubertusa w Katowicach-Panewnikach

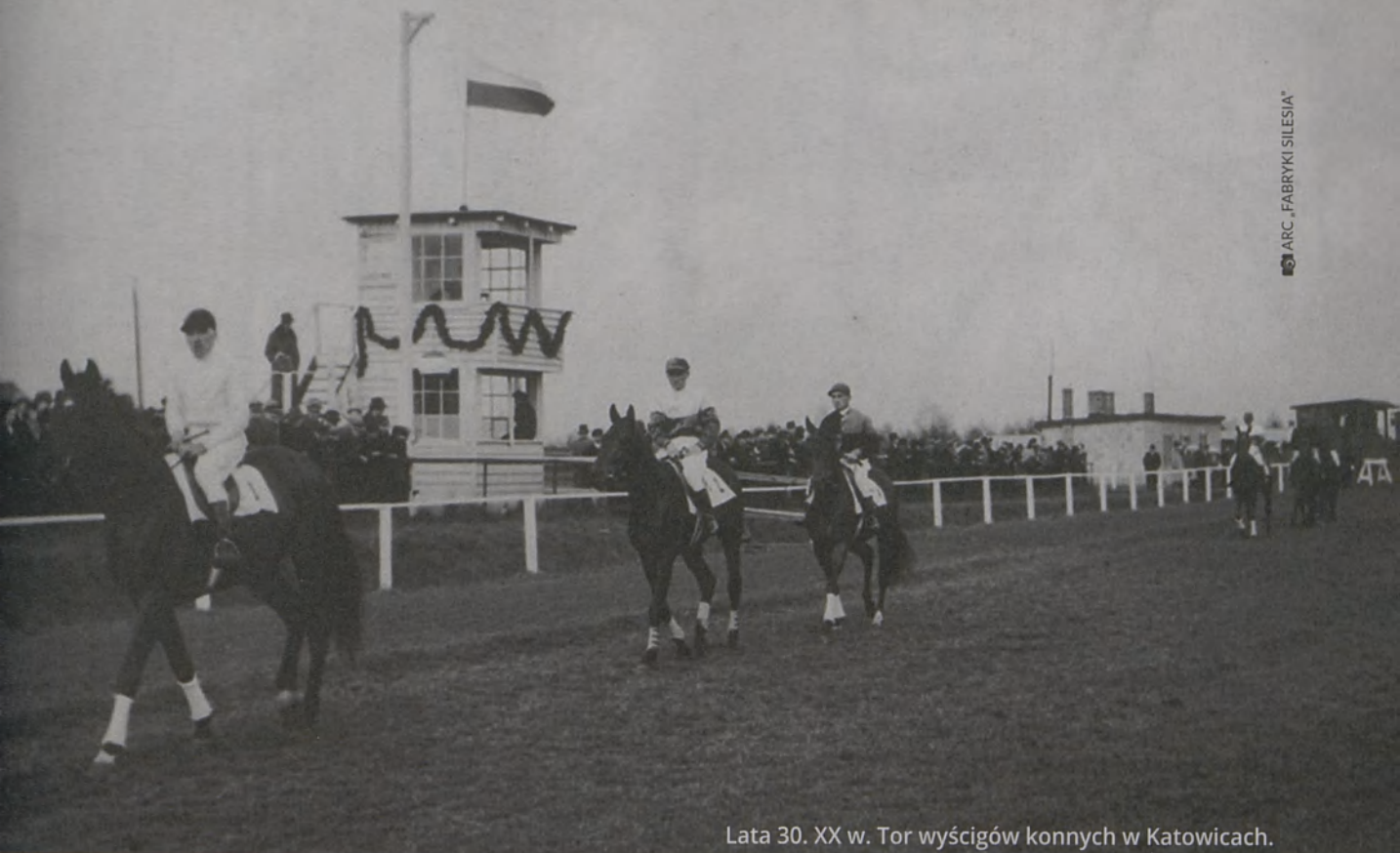
W stadninach i pensjonatach

Po II wojnie światowej rola koni sukcesywnie się zmniejszała, chociaż do lat 50. wykorzystywano je przy odbudowie zniszczonych miast. Szybko jednak zostały zastąpione przez samochody. Do dziś pozostało jeszcze kilku wozaków, którzy rozwożą węgiel wozem konnym. W tym miejscu historia się jednak nie kończy.

W latach 50. powstała stadnina koni w Ochabach Wielkich, wraz z klubem jeździeckim. Z kolei w latach 70. działalność rozpoczęło centrum jeździeckie w Zbrosławicach. Oba te ośrodki przyczyniły się do przetrwania funkcji użytkowych koni na Śląsku, gdyż pełniły nie tylko funkcję hodowlaną i sportową, ale również rekreacyjną. Za sprawą współpracy ze szkołami i uczelniami wyższymi popularzywały rekreację, a w swojej ofercie miały także wczasy w siodle. Dzieci i młodzież regularnie odwiedzały obydwa ośrodki. Do Zbrosławic stale kursowały autokary podstawiane pod Pałacem Młodzieży w Katowicach na potrzeby młodych adeptów sztuki jeździeckiej.

Od lat 90. odnotowuje się intensywny wzrost zainteresowania jazdą konną, zwłaszcza wśród mieszkańców miast. W 1996 roku działalność rozpoczął Katowicki Klub Jeździecki. Powstaje też wiele mniejszych ośrodków jeździeckich, a także stajnie przeobrażone w pensjonaty dla koni. W samych Katowicach zinwentaryzowano minimum dziesięć stajni, w których przebywają co najmniej trzy konie. Nie sposób zliczyć przydomowych stajni prywatnych, niebędących pensjonatami. Ich liczba dynamicznie się zmienia.

Obecnie w Katowicach działają trzy stowarzyszenia, których cele statutowe skupiają się m.in. na promowaniu jeździectwa oraz integrowaniu środowiska jeździeckiego. Zarówno stowarzyszenia, jak i okoliczne stajnie organizują liczne imprezy, podczas których można także podziwiać pokazy, np. kawaleryjskie czy harmonijnej komunikacji pomiędzy człowiekiem a koniem. Jeden z katowickich ośrodków specjalizuje się w terapeutycznej jeździe konnej (hipoterapii), a także może poszczycić się wytrenowaniem koni i jeźdźców będących członkami narodowej kadry paraujeżdżenia.



Lata 30. XX w. Tor wyścigów konnych w Katowicach.

Konie spotkamy też w służbach mundurowych. Do niedawna patrole konne straży miejskiej monitorowały obszary parków w Bytomiu. Z kolei w Chorzowie w 2001 roku powołano Zespół Policji Konnej. Zwierzęta pracują nie tylko podczas prewencyjnych patroli w Parku Śląskim, ale także biorą udział przy zabezpieczeniu imprez masowych na Stadionie Śląskim i w jego okolicach.

Konie te są narzędziem służącym zapewnianiu ładu publicznego (w Polsce funkcjonuje siedem jednostek konnych policji, m.in. w Częstochowie).

Pomimo że ludzi spoza środowisk jeździeckich ciągle dziwi obecność koni w śląskich miastach, jeźdźcy wiedzą, jak dużą grupę stanowią. Niemal codziennie borykają się z sytuacjami konfliktowymi, które są konsekwencją obecności koni w najsilniej zurbanizowanym regionie naszego kraju. Pomimo istnienia ścieżek przeznaczonych przez Lasy Państwowe dla ruchu konnego (to 17 km w Nadleśnictwie Katowice) jeźdźcy są ciągle dyskryminowani podczas przejazdów terenowych. Poza obszarami leśnymi są zmuszeni do korzystania z dróg publicznych, na których odbywa się wzmożony ruch samochodów osobowych i ciężarowych, także autobusów. Wiele ścieżek przecinanych jest torami kolejowymi. A co najsmutniejsze, pozostali użytkownicy dróg i lasów nie wiedzą, w jaki sposób zachować się podczas spotkania z koniem. Często jest używanie dzwonków rowerowych czy klaksonów, a także dojeżdżanie samochodem do końskich zadów. Niewiele osób wie, że konie są niezwykle płochliwymi zwierzętami, a takie działania zagrażają bezpieczeństwu nie tylko jeźdźców, ale także postronnych osób. Zarówno jeźdźcy, jak i konie wykazują więc dużą odwagę podczas wyjazdów. Warto przecież docenić fakt, że koń nie zniknął całkowicie ze śląskiego krajobrazu, zmieniła się jedynie jego funkcja użytkowa z roboczo-pociągowej na rekreacyjną. ■

Hanna Doroz-Tomasik

– doktorantka w Katedrze Geografii Regionalnej i Turyzmu Wydziału Nauk o Ziemi UŚ

Grzegorz Jankowski

– pracuje w Katedrze Geografii Fizycznej Wydziału Nauk o Ziemi UŚ

Grażyna Kuźnik

Synek z zielonych domków

Gdyby Paweł Pogodała z polskiego Chebzia spotkał rówieśnika Horsta Eckerta z ulicy Ciupkaweg w niemieckim Zabrze, to byłyby *chichry*. Horst nosi białe podkolanówki, trzewiki, chustkę z pomponikami, przyлизane włosy w ząbek, tłuste od pomady. Matka zabiera go na lody w kawiarni hotelu Admiralspalast.

Paweł biega boso do zimy, potem w gumowych butach albo drewniakach. Kradnie węgiel z pociągów, miedź z uziemienia torów, z pól dworskich kukurydzę. Włosy ma potargane, na grzbiecie koszulę po ojcu. Łodów Pingwin czy Alaksa za 10 groszy nigdy nie spróbuje, nawet o nich nie marzy. – Nie zazdrościłem, bo wiadomo, że ci „z domków” łodów nie jedzą – wyjaśni potem.

Eckert, czyli Janosch, powie po latach, że dzieciństwo kompletnie zniszczyło mu osobowość. Od rodziców nauczył się tylko tego, że nie powinno się płodzić dzieci. Wyda książkę o Cholonku, która jest opisem ludzkiego dna i nędzy w familoku. Poszło w świat; czy może być coś gorszego od śląskiego familoka?

Paweł, już jako Paul Pogodalla osiadł w Niemczech, w książce *Potępieni i winni*, wydanej w Rudzie Śląskiej, opisze po polsku to, co było piętro niżej od tego dna, a nawet dwa piętra niżej. Familoki są dla lepszych, tacy jak on żyją w barakach podszytych wiatrem, w zielonych domkach w Chebziu. Trafia tam biedota i ci, których kopalnia zbyttno sobie nie ceni. Ale można i stamtąd spać w dół; jak wtedy, gdy ojciec Paulka traci pracę. Musi wtedy z żoną i czwórką dzieci wynieść się do osady dla bezrobotnych, do szopy bez pieca, światła i wody.

Janosch wyzna, że z zabrzańskiego familoka nie wyprowadził się nigdy. Paul Pogodalla utknął w Chebziu, wśród Wardasów, Koenigów, Cibisów, Borlików. Tęsknota nie podyktowała mu sztuki, ale dokument, jakiego Chebie nie miało nigdy. To książka dla osób o silnych nerwach. Pogodalla napisał ją już po osiemdziesiątce, siedząc po raz pierwszy bez żadnej roboty w Sandhausen.

Strach tam wylżyć

Tunel pod torami za dworcem w Chebziu jest naprawdę niski. Wokół żywego ducha. Ojciec Pawła musiał mocno się pochylać, żeby nim przejść, tak jak teraz Bernard Kopiec, regionalny historyk, który przygotował książkę Pogodalli do druku. Młodszy od niego o siedem lat, urodzony w Rudzie, zaprzyjaźniony. Tunel już niedługo zapadnie się w ziemię, ale jeszcze przedostajemy się nim w świat Paula.

– W Chebziu wszędzie blisko. Teraz już do zielonych domków niedaleko – zapewnia Bernard, kiedyś przewodnik wycieczek. Trasę duchów i cieni oblecimy szybko, Pogodalla potrzebował na nią ponad czterysta stron książki.

Otwiera się las ze stawem Kokotek, tak nazywał się zbiór, który tu laził z flintą. „Bor Kokotek, strach tam wylżyć, dusza trza na puklu nийć”. Stawu bardzo bał się Paul, gdy matka po aresztowaniu ojca powiedziała pewnego dnia: „Nie ma co jeść, dzieci, nie wiem co robić. Albo się z wami utopić na Kokotku, jak to zrobiła przed dwoma tygodniami kobieta z dzieckiem, albo pójdziemy *po fechcie*”. Potem kazała synom, Paulowi, Hubertowi i Hankowi, myć gęby i iść za nią.

Po drodze Paulek trząsł się: „Boże drogi, chyba nie potopimy się w Kokotku”, ale szli tylko do *staroszka* od strony matki, na Godulę. Spotykają tam dwóch wujków. Patrzą koso na siostrę, bo jej mąż Józef dostał sześć tygodni paki za śpiewanie po pijanemu w gospodzie *Deutschland über alles*. Wujek Mikus wypala: „Zgorszenia z tego powodu mam dosyć, pracuję jako *auszlejgier przy szoli*, to dobra robota i wystarczy, że jakiś powstaniec na mnie doniesie”. Drugi brat też wyskakuje z pretensjami: „Jednego nie mogę zrozumieć, po co Józek miesza się do polityki? Wiesz, że jest w dwóch niemieckich związkach?”. Matka odpowiada, że tylko dla pracy po drugiej stronie granicy i zbiera się do wyjścia.

Paul Pogodalla wydał książkę w 500 egzemplarzach. Wie, że nie będzie podobać się Polakom i Niemcom, ale nie pisał po to, żeby komuś pochlebiać.

– Pamiętam może ostatni, jak smakował *kraiczek* chleba bez posmarowania z cukrem, maślanka z kartoflami po całym dniu głodu, gotowany wróbel – tłumaczy Paul, rocznik 1930, już wdowiec. – Jak smród od strony piekarni rud gryzł w oczy, jak kradło się węgiel z kolejki linowej do huty i wagonik porwał Filipa, potem tylko Balikowa umiała odblokować rygle styliskiem i wysypać węgiel. Jak Anielka zakasała sukienkę i wskoczyła do Czarnawki.

Bernard Kopiec pierwszy czytał rękopis *Potępienych i winnych*. Wahał się, czy wydać książkę w firmie bratanka Polmark, bo to spojrzeńie Ślązaka, ale opcji niemieckiej. Poza tym ta straszna śląska bieda w latach kryzysu. Krewni Paula z Polski namawiali go, żeby nie przyznawał się do tej *bijdy* i ojca za kratami, wiadomo za co. Niech te czasy przepadną. Nie są *auszlejgierami przy szoli*, ale szczerść Paula im nie pasuje.

– Nie posłuchał ich. Język w książce zostawiłem taki, jakim pisał, poprawek jest mało – mówi Kopiec. – Ale podtytuł dał: Niemcom i psom wstęp wzbroniony, tu miałem obiekcje.

Paul tłumaczył, że Polacy nie cierpią Niemców i on to odczuł. Zielone domki; każdy ma tak samo chleb ze smalcem na śniadanie, każdy rozumie, co gadasz, uczysz się Konopnickiej na pamięć, a tu nagle nie jesteś Polakiem. Paul dowiedział się tego od ojca.

– Bylem zły na *fatra* – mówi Paul. – W szkole po jego aresztowaniu wołano za mną Hitler. Kiedyś chciał mnie zabrać na wycieczkę do Niemiec, a ja na to, że nie pojedę, bo tam pluje się w twarz. W szkole uczyłem



W szkole po aresztowaniu
ojca wołano za mną
Hitler. Kiedyś chciał mnie
zabrać na wycieczkę
do Niemiec, a ja na to,
że nie pojadę, bo tam
pluje się w twarz.
W szkole uczyłem się,
że „nie będzie Niemiec
pluł nam w twarz,
ni dzieci nam germanił”.
A *fater* rzuca: co ty
fandzolisz, ty jesteś
Niemcem.

się, że „nie będzie Niemiec pluł nam w twarz, ni dzieci nam germanił”.
A *fater* rzuca: co ty *fandzolisz*, ty jesteś Niemcem.

Nauki domkorzy

Trzeba iść brzegiem stawu Kokotek, który zalatuje tak samo jak za czasów Paula, wyjść ścieżką z bujnych *chabazi* na Drogową Trasę Średnicową i przeskoczyć przez tory tramwajowe. Zaraz będą zielone domki.

– Nazwa Chebzie nie wzięła się od *chabazi* – zaznacza Kopiec. – Tylko od ściniek po wycięciu lasu na potrzeby kopalni. Może od czarnej bzu, czeska nazwa tej rośliny to chebdzie. Piękny krzew.

Ulica Styczyńskiego biegnie prostopadle do stawu Kokotek. Po lewej stronie stoi nowe osiedle bloków, prawa strona jest pusta, jakby oddzielona szklaną szybą. Przedtem było tam śmietnisko, a wcześniej stały pomalowane na zielono drewniane bryły. Żadnych ozdób, podmurówka, ciąg drzwi z daszkiem i schodkami. Życie tu kwitło, darło się, wylewało na całe Chebzie. Każda rodzina miała pokój z kuchnią, kupę dzieciaków i kłopoty. Widok położonej Skwarzyny budzi strach większy niż ogień, bo to znaczy, że znowu będzie „zuwachs”, nowy *baitel*.

– Bywałem w tych domkach – mówi Kopiec. – Dało się żyć, chociaż każdy chciał stamtąd uciec. Ale to było po wojnie.

Przed wojną czyhało się na te kąty. Rozeszło się szybko, że Pogodała poszedł siedzieć i kopalnia zabierze mu mieszkanie, tylko patrzeć. Zresztą Józef od trzech lat jest bezrobotny i zatrudnia się tylko w Bobrku po drugiej stronie. Rozpowiada, że niemieckie zakłady chodzą pełną parą, a dostaje tam najgorszą robotę przy wielkich piecach i musi o nią długo prosić.

W familoku Janoscha mężczyźni biją żony i dzieci, silniejsi niszczą słabszych. Poglądy polityczne i przynależność narodowa są względne. Jeden z mieszkańców każe pochować się ze swastyką, ale pod *szaketem*, bo nie wiadomo, kto będzie rządzić, kogo i co sprawdzać. U *domkorzy* podobnie, silny zwycięża, żony chodzą z podbitym okiem. Bijatki są w dni wypłat, 15 i ostatniego każdego miesiąca. Lecą szyby. Na drugi dzień pojawiają się szklarze, niosą na plecach całe sztaple szkła okiennego. Mają co robić do wieczora.

Słucha się przemówień Hitlera, kto uskładał na telefonie, stawia go na oknie. Józef Pogodalla narzeka, że do Chebzia napływają *gorole* i myślą, że kopalnia to taka Smocza Jama pod Wawelem. Jego rodzice przyjechali do Rudy ze Strzelec Opolskich, *starka* Pawła nosi suknie chłopskie i chodzi po mszy na spotkania matek z księdzem z Krakowa, ale wraca w nerwach. Ksiądz wytyka, że panie mówią nieprawdliwie.

– Kiedyś czytał nam bardzo długi wiersz Mickiewicza – skarżyła się wnukowi. – O różnych okropnych potworach nazywanych dziadami, które sobie nawzajem źle życzą. Tego nie rozumiała żadna z kobiet, o co w tym wszystkim chodzi.

Hitler w zielonych domkach ma powodzenie. Oznacza pracę i płacę. Paul pyta: – Kto z prostych ludzi zastanawiał się, czym jest hitleryzm i do czego on w swym działaniu prowadzi? Nam w Chebziu Żydzi nie szkodzili, nikt nie sprzedawał tak tanio i na kredyt, jak oni. A gdy Niemcy wyrzucali Żydów na granicę z Polską, to grupy Polaków wypychały ich z powrotem, krzycząc, że nie chcą Żydów.

Wyprowadzka do domków dla bezrobotnych to spektakl dla sąsiadów. Matka Pawła z najmłodszym dzieckiem na ręku idzie bez słowa, *rolwaga* wiezie dobytek, synowie siedzą na tobołach, oni jedni zado-

W familoku Janoscha
mężczyźni biją żony
i dzieci, silniejsi niszczą
słabszych. Poglądy
polityczne i przynależność
narodowa są względne.
Jeden z mieszkańców
każe pochować się
ze swastyką, ale pod
szaketem, bo nie
wiadomo, kto będzie
rządzić, kogo
i co sprawdzać.
U *domkorzy* podobnie,
silny zwycięża, żony
chodzą z podbitym okiem.



woleni z przygody. Różnica taka, że w nowej izbie nie ma teraz nawet pieca. Gotuje się u Borlików, którzy dorobili się żeliwiaka. Skąd opał? Z tym najmniejszy kłopot, bo tuż pod oknem jeden za drugim jadą pociągi z węglem, obok jest wąskotorówka, odsypie się. Będzie dobrze, pocieszą nowi sąsiedzi. Najpierw ukradnie się cegły na budowę pieca, a potem węgiel.

Sto pieronów, co to ma znaczyć?

Po domkach dla bezrobotnych nie ma w Chebziu śladu. Stoją tam zabudowania jednej z firm, w kolorze szarobiałym. Jasny kolor podobałby się kumpłom Pawła. Kiedyś do oka Stefana wpadł koksik, poszli z nim całą grupą po raz pierwszy do lekarza. Zachwycili się białą poczekalnią. Maks wzdychał, że tak białe powinno być w domu, ale Gerd go wyśmiał: „Po pierwsze szybko by się brudziło, po drugie skąd by ludzie wzięli pieniądze na proszek i mydło?”.

Paweł ma teraz pół kilometra bliżej do Kokotka. W stawie łowi ryby, pojawiają się karpie, można je czasem wyciągać rękami. Inna robota dzieciaków i *domkorzy* to okradanie trakcji, pół dworskich, łapanie ptaków i przemyt.

Przemyt Pawłowi się nie udaje. Wybrał się z Maksem nad Czarnawkę, do pomocy pewnemu Józkowi w przrzuć 20 funtów wędzonki. Ale z umówionego miejsca wybiegł starszy mężczyzna z krzykiem: – Sto pieronów, co to ma znaczyć? Czy dzieci mają zajmować się szmugłem? Rozerw Józka na kawałki, jeśli uda mu się bez dziurki w głowie przyjść z powrotem!

Węgiel coraz trudniej zdobyć, kolejarze wymyślają różne zabezpieczenia. Brat Maksa, Ferdek, przyniósł do domu ukradzione jabłka, potem zmęczony poszedł usypać węgla. Wskoczył na wagon i spadł pod koła. Mały brat Pawła, Hanek, też umiera, na zapalenie mózgu. – Uwolnij jedno miejsce do spania, ale nie chcieliśmy go zajmować – mówi Paul.

Jak ojciec nic nie zarobi, Paweł łowi wróble i wrony na obiad. Kiedyś napisze książkę o hodowli ptaków, ale egzotycznych i papużek ozdobnych. Wyda ją w Polsce jako Paweł Pogodała, przez długie lata będzie prezesem Polskiego Związku Hodowli Kanarków.

Wybuchła wojna, jego *fater* cieszy się, że Śląsk będzie teraz cały niemiecki i najedzony. Wojna jest chyba tylko po to, żeby odebrać Polsce Chebzie. Silni biją słabszych, tak jest w rodzinie i tak jest na świecie. Ale Paweł widzi, że niektórzy upierają się, że są Polakami, co grozi im odebraniem kartek i głodem. Tego nie rozumie.

– Mój chrzestny pod rządami Hitlera stawał się coraz większym Polakiem – przyznaje Paul. – Miał na utrzymaniu dziesięć osób i volkslistę czwórkę, a pomagał innym i na tym tracił. Mój ojciec nie pomagał, ale też krzywdy Polakom nie robił. Nie wziął mieszkania po nich, siedzieliśmy dalej w domkach. *Fater* działa w partii nazistowskiej, Paulek jest w Hitlerjugend. Gdy dorośnie, jako kierownik działu mechanicznego zapisze się do PZPR w Hucie Pokój. To wszystko fasady, żeby przetrwać, tego nauczył się od *domkorzy*.

Chebzie żyje w strachu. Wojsko zabiera mężczyzn, giną na Wschodzie. Do volkssturmwów biorą nawet starców i dzieci. Skraca się front, to znaczy, że Armia Czerwona naciera i już tu jest. Dla Germańców nie ma litości, dla Polaków „sanacyjnych” też, ale dla Paula się znalazła. Lejtnant patrzy ze zmęczeniem w oczach: „Eto malczik. Paszoł won”.

Ojca zabiorą do kopalni w Rosji, wróci i umrze, Paul trafi do obozu w Mysłowicach, ucieknie. – Za co to wszystko, za to że byliśmy zawsze biedni? – pyta matka Paula.

Paul przyznaje, że nie wie, dlaczego Niemcy, on też, tak długo wierzyli w Hitlera: – Chciałem o tym rozmawiać w Niemczech, ale usłyszałem, że sami nie wiedzą. Zapłacili za popełnione winy i chcą żyć dalej. No, ale my w Chebziu płaciliśmy za winy niepopołnione.

Do Niemiec wyjechał dopiero na emeryturze. Myślał, że Chebzie zostało za nim, zamknięty rozdział, ale napisał kiedyś pierwsze zdanie: „Gdy rano się obudziłem, ojca nie było w domu”. Wrócił stukot pociągów, zapach drewnianych ścian i chleba, jaki piekła matka. Zakładała czystą zapaskę, owijała głowę chustką, wkładała ciasto do słomianych foremek. Zacierem chlebowym pachniało w całym domu. Pamiętał z odległości jeszcze ostrzej. – Z tęsknoty za domem można zdechnąć – mówi Paul. – Wszyscy wokół chcieli zapomnieć te przekłete czasy, a ja nie mogłem.

Janosch też się z tym zmagał, miał jednak swoje wyjaśnienie: urodził się w marcu w znaku Ryb. A kto jest spod tego znaku, zawsze będzie pamiętał wszystko, co przeżył. Paulowi Pogodalle też po prostu przydarzyła się niedobra data urodzenia. ■

Grażyna Kuźnik

– reportażystka, pracuje w „Dzienniku Zachodnim”

Grażyna Kurowska

Wizjonerzy z pól kukurydzy

Idę poboczem. Wszędzie przestrzeń, z daleka widać drzewa. Świeci słońce, rozpinam kurtkę i nabieram haust świeżego, marcowego powietrza. No, chyba się zagalopowałam. W Zabrze świeże powietrze?

Właściciel Bud-Expertu Krzysztof Buczak patrzy na mnie z politowaniem. – My tu mamy taką różę wiatrów, że czujemy się jak na wsi. Mimo że nieopodal kopalnia i koksownia. A ile tu zajęcy i saren! No i – rozmarza się – te pola kukurydzy. Jak w Ameryce. Drogi spacerowe, rowerowe i rzeczka, i stawy. Żyć nie umierać.

Kwiaty dla generała de Gaulle'a

Pierwsza wzmianka o przemyśle w Zabrze pochodzi z 1725 roku. Był to piec hutniczy. A od momentu uruchomienia pod koniec XVIII wieku kopalni węgla w Zaborze możemy mówić o początku rozwoju przemysłu w tej miejscowości. Zabrze, mało znacząca wieś, awansowało w ciągu krótkiego czasu do rangi wielkoprzemysłowego miasta. Koksownie, kopalnie, browary, komunikacja, energetyka. Już tylko nieliczni mieszkańcy zajmowali się rolnictwem.

Możliwość zatrudnienia i wykształcenia w wielu gminnych i zakładowych szkołach powodowała raptowny przyrost ludności. Ale też życie w sąsiedztwie trujących wylęgarni instalacji przemysłowych lub pracy przy nich źle wpływało na stan zdrowia mieszkańców. Wiem coś o tym, bo od 1955 roku mieszałam w tym mieście, i do dziś mam problemy z drogami oddechowymi, by w końcu w wieku 25 lat przeprowadzić się do Katowic. Tak na marginesie... Gdy miałam 12 lat – a zostało to opisane w prasie – wręczyłam generałowi de Gaulle'owi kwiatki za jego słynne słowa o „najbardziej śląskim i polskim z miast”. Hmm, tym sposobem mam chyba swoje miejsce w historii Zabrze...

W XX wieku postawiono także na naukę. Otwierano szkoły o profilu humanistyczno-językowym. Działało konserwatorium muzyczne, później ruszyły jeszcze dwie znaczące szkoły muzyczne niższego stopnia. A potem to już poszło – zamierzający ciężki przemysł uruchomił nowoczesną medycynę, innowacyjne ekologiczne fabryki, turystykę poprzemysłową – unikatową w skali europejskiej.

Rafał Kobos, pełnomocnik prezydenta Zabrze ds. inwestorów, tylko potwierdza te fakty. Ci, którzy znają niepozorne okolice pomiędzy Rokitnicą a osiedlem Młodego Górnika, a dawno tam nie byli, mogą się zdziwić. W ciągu kilku miesięcy na skrzyżowaniu ulic Ziemskiej i Goduli wyrosło bowiem nowe rondo. I to nie było jakie. Średnica 50 metrów, cztery dochodzące drogi, z których każda przy rondzie rozszerza się do dwóch pasów w obie strony. Można na chwilę stracić orientację w terenie. A to dopiero początek zmian. Na obszarze strefy ekonomicznej powstały jeszcze dwa kolejne nowe ronda, kilka kilometrów dróg i znacznie więcej sieci energetycznych, gazowych i wodociągowych.

– Zaczęliśmy od uporządkowania terenu – wyjaśnia Rafał Kobos. – Powstała nowa droga, równoległa do ulicy Goduli i łącząca się z ulicą Ofiar Katynia. Teren został zaopatrzony we wszystkie media oraz drogi dojazdowe do poszczególnych działek. Zbudowaliśmy tu drogi wraz z chodnikami, ścieżkami rowerowymi czy pasami postojowymi dla samochodów. Podłączono sieć gazową, Tauron zbudował instalację elektryczną. Uzbrojenie to oczywiście również wodociągi i kanalizacja. Tę część wzięło na siebie miasto. Szczególnie wymagająca była budowa kanalizacji deszczowej. Musimy jakoś odprowadzić wodę. Służą do tego trzy duże zbiorniki retencyjne.

Kompleksowe uzbrojenie terenów inwestycyjnych to wabik na potencjalnych najemców. Zanim zbierze się zyski, trzeba najpierw zainwestować. Tak jest i w tym przypadku. Uzbrojenie kosztować będzie blisko 60 mln zł. Zadanie zostało podzielone na dwa etapy. Pierwszy kosztuje 32 mln zł i już otrzymał dofinansowanie ze środków unijnych na poziomie 85 proc. Drugi etap, wart 27 mln, jest na pierwszym miejscu listy rezerwowej po podobne dofinansowanie. Jego poziom zależy od tego, czy i jakie oszczędności powstaną przy innych dofinansowanych z UE inwestycjach w województwie śląskim.

O czym rozmawiamy? O podstrefie gliwickiej – mimo że w Zabrzu – Katowickiej Specjalnej Strefy Ekonomicznej. 170 hektarów między Rokitnicą, Mikulczycami i Biskupicami. 132 hektary działek inwestycyjnych, od 0,5 do 21 hektarów każda. Patrząc na plany wyglądające jak japońskie origami. Fantastyczny zwierzak z ogonem. Status KSSE wiąże się oczywiście z różnego rodzaju ulgami dla inwestorów. Dlatego też są one tak atrakcyjne. Również ze względu na lokalizację, czyli bliskość autostrady A1.

Wszyscy podkreślają, że Śląsk jest bardzo ciekawym kawałkiem świata, który się zmienia, bo stary przemysł odchodzi, a ten nowy jest zupełnie inny. Nowoczesny, angażujący pracowników, ciekawy. Władze regionu, ale także Zabrze, przyglądają się temu z ciekawością i stają się entuzjastami tych przemian. Zrobiono z tego miasta najlepsze w Polsce muzeum postindustrialne, więc dlaczego nie miałyby się udać innowacyjne przemysły na polach kukurydzy?

50

Kłos bez chemikaliów

Jak się do niej wchodzi, pachnie. Budowa rozpoczęła się w 2013 roku. Największa rzemieślnicza piekarnia na Śląsku. Produkuje 25 ton pieczywa na dobę. Nowoczesne piece termoolejowe, urządzenia automatycznie dozujące ilość składników, linia produkcyjna, z której wyjeżdża 6 tysięcy bułek na godzinę. Do tego chłodnia, magazyn, rampa, silosy na mąkę. W nowym zakładzie najtrudniejsze prace, takie jak np. dozowanie mąki, zostały zautomatyzowane. Dzięki temu najcięższy etap pracy sprowadza się tylko do nadzoru i monitoringu urządzeń. Receptury produkcji pieczywa są tradycyjne, nie ma mowy o stosowaniu jakichkolwiek chemicznych dodatków.

Prezes firmy Marian Kurzyca, mistrz piekarstwa i cukiernictwa, twierdzi, że nigdy nie osiągnąłby sukcesu bez wsparcia pracowników i ludzi związanych z tym rzemiosłem, pełnych pasji i wiary, że będą najlepsi. Kłos istnieje od 1990 roku. To rodzinna firma, która zaczynała od małej piekarenki w Katowicach. Zatrudniała wówczas sześć osób. Z czasem zakład wzbogacał się w sieć sklepów, zakłady piekarnicze z prawdziwego zdarzenia czy minipiekarnie ze sklepami otwartymi przez całą dobę. Obecnie firma zatrudnia 593 osoby. Kolejne 50 znalazło pracę w Zabrzu.

Początki nie były łatwe. Dobre ciastka i pieczywo gubiły się w sklepach oferujących mydło i powidło. Tylko własna sieć sklepów mogła usatysfakcjonować ambitnego mistrza piekarstwa. Właściciel twierdzi, że klienci zakochali się w jego produktach – szczególnie razowym pieczywie i wymyślnych bułkach z różnymi ziarnami, jak i ciastkach – tych od babci i mamy (śląskie receptury). Klienci szukają produktów wytwarzanych na bazie starych receptur, właśnie na recepturach tradycyjnych, gdzie na ciasto składają się mąka, woda, zakwas oraz inne naturalne składniki. Ludzie chcą też mieć coraz bogatszy asortyment do wyboru, aby móc degustować każdego dnia inne smaki. Czasy jednego rodzaju chleba pszenno-żytniego już się skończyły.

Teraz testowane są lody, które wkrótce trafią do... piekarni Kłosa. Wielką dumą szefa jest również to, że wypracował sobie firmę rodzinną, w której z wielkim zaangażowaniem pracują jego synowie i ich

żony. Pozwoliłoby klientom zajrzeć do nas, żeby mogli dokładnie zobaczyć i przekonać się, jak przebiega proces wyrobu chleba. W części z naszych piekarni całodobowych można przez szybę obserwować pracę piekarza, a przy ladzie kupić gotowe produkty – zaznacza Marian Kurzyca. Podkreśla, że w tej branży nie można się zatrzymać. Trzeba cały czas się rozwijać, bo w przeciwnym wypadku zostaje się w tyle.

Zawsze wspiera pracowników w ich staraniach do doskonalenia się. Cieszy go niepowtarzalny klimat Śląska i nie wyobraża sobie, by mógł prowadzić swój biznes gdziekolwiek indziej. I częściej mnie śląskim *kołoczem*, tak dobrym, że tylko palce lizać.

Dziewięciu wspaniałych

Kłos wybudowano przy ulicy Goduli, a Bud-Expert naprzeciwnko, przy Donnersmarcka. Właściciel Krzysztof Buczak chwali się, że ma innowacyjną firmę, pracującą dla tysiąca klientów. – Obrabiamy stal, tnąc ją laserem, wodą, drążąc, gnąc, zwijając, spawając. Ale również szkło czy kamień.

Są w stanie wykonać każde zlecenie odbiorców – głównie ze Śląska, choć zdarzają się też z odległych miejsc Polski. W przemyśle potrzebne są bez przerwy różne elementy stalowe, które trzeba precyzyjnie wyciąć lub zwinąć. I nieważne, czy klient potrzebuje ich kilkanaście, czy tysiące, precyzyjnie wykonują każde zamówienie.

– Wielkim atutem firmy są pracownicy – przekonuje Buczak. – Świetni fachowcy, niebojący się żadnego zlecenia. Największym moim zmartwieniem są maszyny, które wciąż muszę kupować, ciągle nowe, żeby nie odstawać od konkurentów. Zawsze istnieje ryzyko inwestycyjne, bo to bardzo drogie urządzenia. Sukcesem firmy jest właśnie nowoczesny park maszynowy.

Jakon to siódma firma, która kupiła działkę. Specjalizuje się w budowie obiektów przemysłowych, handlowych i mieszkalnych. Wcześniej postawili tu swoje siedziby: Schoeller Allibert, światowy potentat na rynku produkcji różnego rodzaju opakowań, PGB Polska, belgijski producent nylonowych zamocowań wykorzystywanych przy ociepleniach budynków oraz Ysp i Metal Solution z branży samochodowej.

Schoeller Allibert to potentat na rynku produkcji opakowań z tworzyw sztucznych. Z produktów firmy korzystają przedstawiciele niemal wszystkich branż – od motoryzacyjnej z Volkswagenem na czele po produkcję napojów z Coca-Colą czy Heinekenem. Koncern ma 14 fabryk na całym świecie, a jego roczny obrót wynosi 530 mln euro. Zabrzeńska fabryka jest jedyną w Polsce. I najnowocześniejszą w całej grupie. Jest to zakład zautomatyzowany i proekologiczny.

– Na najmniejszej działce firma Enel zajmuje się projektowaniem i wykonywaniem układów sterowania, regulacji i zasilania oraz wizualizacji procesów technologicznych. Szczególne doświadczenie posiada w zakresie automatyki opartej na sterowaniu napędami elektrycznymi, głównie automatyki sterowania pomp, wentylatorów, dmuchaw, sprężarek, podajników – tłumaczy Rafał Kobos. Ostatni z dotychczasowych nabywców – Metal Service Center – nie zdecydował jeszcze, kiedy ruszy z budową.

40 inwestycyjnych działek

– Cieszymy się z sukcesu. Okazało się bowiem, że trzecia co do wielkości inwestycja w całej Katowickiej Specjalnej Strefie Ekonomicznej miała miejsce właśnie u nas. To budowa hali fabrycznej Schoeller Allibert. Życie w strefie dopiero się zaczęło, a już zostaliśmy docenieni – dodaje Rafał Kobos.

Uzbrojenie działek w zabrzeńskiej części Katowickiej Specjalnej Strefy Ekonomicznej pomiędzy Rokitnicą a Mikulczycami było największą inwestycją ostatnich lat. Trzy nowe ronda mają w przyszłości pełnić funkcje instalacji artystycznych. Rozstrzygnięto już konkursy na ich koncepcje architektoniczne. Każde z nich nawiązywać będzie do innej tematyki: turystyki poprzemysłowej, medycyny oraz sportu. Nie spodziewajmy się jednak, że wybrane projekty zostaną zrealizowane w najbliższym czasie. Nie są one niezbędne do funkcjonowania strefy i bardziej prawdopodobne jest wdrożenie ich za rok.

Wiele wskazuje na to, że następne lata będą udane dla zabrzeńskiej strefy, bo na nowe firmy czeka prawie 40 działek różnej wielkości. Lokalizacja nowych inwestycji sprawi, że wpływ strefy na rozwój gospodarczy regionu i tworzenie nowych miejsc pracy stanie się bardziej równomierny. Inwestycje te będą oddziaływać przecież również na rynek pracy sąsiednich miast: Bytomia, Chorzowa, Rudy Śląskiej czy Świętochłowic. ■

Grażyna Kurowska

– dziennikarka

Agata Pustułka

W poszukiwaniu śląskiego Pittsburghha

Zabrze umożliwia wycieczkę przez dwa światy. Kopalnię Guido zwiedza się jako pamiątkę po przeszłości. Przenosimy się w lata 70. XX wieku, w złote czasy górnictwa, choć niekoniecznie złote dla górników pracujących w kieracie czterozmianówki. Przekupywano ich jednak zarobkami i socjałem.

Inne oblicze Zabrze to hipernowoczesne sale operacyjne Śląskiego Centrum Chorób Serca, gdzie dokonuje się przedsięwzięć w świecie medycyny – wydawałoby się – w polskich realiach niemożliwych. Kolejne daty pionierskich operacji, przeszczepy nie tylko serca, ale serca, nerek, płuc jednocześnie, stają się kamieniami węgielnymi rozwoju nauki.

To paradoks: gdyby nie piekielnie ambitny warszawiak (sic!), odpalający papierosa od papierosa doc. Zbigniew Religa i fedrujący pod ziemią górnicy, nie byłoby wielkiej śląskiej medycyny, która jest nie tylko wizytówką regionu, ale w wielu specjalnościach rzuca rękawicę światowemu sławom. I to wbrew finansowej mizerii, przy ciągłej niepewności i nieprzemyślanych pomysłach zmian, jak powszechnie krytykowana sieć szpitali, której wprowadzenie może zachwiać systemem ochrony zdrowia i bezpieczeństwem pacjentów.

„Efekt Religi”?

– Ludzie łączą moje nazwisko z pierwszą transplantacją serca w Polsce. Ale wiem, że gdybym ja nie spróbował, to może cztery, a może pięć lat później inni zrobiliby tę operację. Jestem natomiast przekonany, że nikt nie zająłby się tworzeniem polskiego sztucznego serca. Gdybym nie walczył o stworzenie tego urządzenia, dziś kilkaset osób już by nie żyło, bo nie byłoby sztucznych komór, które uratowały im życie – mówił tuż przed śmiercią prof. Zbigniew Religa w wywiadzie rzece udzielonym Janowi Osieckiemu.

Komory powstały w Fundacji Rozwoju Kardiologii im. Religi w Zabrzu. Pozwoliły wielu chorym dotrzeć do transplantacji lub dały czas na zregenerowanie serca. Może to rzeczywiście o wiele więcej niż pierwszy przeszczep? A może jednak nie, bo właśnie to spektakularne wydarzenie uświadomiło, że w medycynie nie można przestać marzyć, bo marzenia się spełniają i stajemy się jeszcze śmielsi.

Z jednej strony nie możemy sobie poradzić z trudną codziennością, np. trwającą od lat emigracją zarobkową lekarzy, kolejkami na operacje zaćmy czy wszczepienia endoprotezy, a z drugiej – elektryzujemy świat takimi wydarzeniami jak pierwszy przeszczep twarzy ratujący życie, przeprowadzony cztery lata temu przez prof. Adama Maciejewskiego (rocznik 1972) w Instytucie Onkologii w Gliwicach. Ba, operacja zostaje uznana za najlepiej przeprowadzoną na świecie i uhonorowana przez prestiżowe Amerykańskie Towarzystwo Chirurgii Rekonstrukcyjnej i Mikronaczyniowej.

Czy przeszczepy twarzy (bo zespół Maciejewskiego ma już na koncie dwa) to połączony efekt przypadku i genialnych umiejętności wybitnego chirurga i jego współpracowników, czy też jest to „efekt Religi”, który ponad 30 lat temu jako pierwszy Polak przeszczepił serce i przetrwał szlak swoim następcom z różnych medycznych dziedzin? Naładował ich odwagą.

Za PRL-u było i łatwiej, i... trudniej. Łatwiej, bo nikt nie liczył kosztów, nie stał z kalkulatorem jak kontrolerzy z Narodowego Funduszu Zdrowia. Plaga chorób układu krążenia, katastrofy górnicze wymusiły na partyjnych decydentach inwestycje. Górnik przynosił dochód, więc musiał mieć lekarza. Inwestorami stawały się kopalnie. Np. dzisiejszy Wojewódzki Szpital św. Barbary w Sosnowcu to dawny Szpital Górniczy, wybudowany przez KWK „Sosnowiec”, która nawet wypłacała pensje pracownikom. Dziś kopalni już nie ma, ale pozostał wielopiętrowy gmach, który pacjentów zaczął przyjmować w 1988 roku.

O budowie Wojewódzkiego Ośrodka Kardiologii (od 1996 roku ŚCChS) – szpitala Religi – zdecydowała w 1972 roku Wojewódzka Rada Narodowa, bo „wicie, rozumiecie – trzeba”. Pierwszy dyrektor, prof. Stanisław Pasyk, wykazał się wyczuciem, proponując, by właśnie Religa objął Klinikę Kardiochirurgii. Dostał od przełożonych wolną rękę. Religa, człowiek z innej planety, mógł zostać w USA, gdzie odbywał staż, i zrobić za oceanem karierę. Ale tam byłby jednym z wielu. Poza tym był patriotą, trochę wariatem, trochę zakręconym pasjonatem. Tak o sobie mówił.

Film *Bogowie*, poświęcony pierwszej udanej transplantacji z roku 1985, pokazuje ogromną presję, jaka towarzyszyła zespołowi lekarskiemu i niechęć sporej części środowiska wobec planów Religi, który o przeszczepach myślał już w Warszawie, ale do swoich „szalonych planów” nie był w stanie nikogo przekonać. Jego szef, prof. Wacław Sitkowski, był przeciwnikiem operacji. Trzeba było emigrować na Śląsk i pokochać Górnika Zabrze zamiast Legii.

W Polsce wykonywało się wówczas ok. 500 zabiegów na sercu rocznie, zaś po roku ten rekord padł tylko w samym zabrzańskim ośrodku, bo Religa i jego ludzie byli tytanami pracy. Profesor zapłacił za sukces cenę osobistą, do czego zresztą, jak zwykle szczerze, się przyznawał. Alkohol stał się na pewien czas odtrutką na stres. Ale wszyscy mu wybaczały, także tak niezrozumiałe, bo skrajnie odległe wybory polityczne: od maszerowania w pochodach pierwszomajowych PZPR po przyjęcie stanowiska ministra zdrowia w rządzie PiS, a wcześniej romans z BBWR Lecha Wałęsy. Polityka była dla niego tylko drogą ułatwiającą zdobywanie pieniędzy dla kliniki, dla fundacji, dla kardiologii, która dzięki jego ministerialnym decyzjom rzeczywiście rozkwitła.

Ale Religa to nie tylko magia pierwszego przeszczepu, ale przede wszystkim jego cudowna ręka do ludzi. Wymieńmy choćby tylko dwa nazwiska: prof. Mariana Zembalę, jego następcę, i prof. Andrzeja Bochenka, jednego z najbliższych współpracowników, który przeszedł do Ochojca, gdzie swego czasu stworzył najnowocześniejszą klinikę, o której mówiło się, że z niej „serce wylatuje w kosmos”.

Prof. Bochenek nie ma wątpliwości, że mamy do czynienia z logiką naczyni połączonych. – Gdyby nie górnicy, nie byłoby Zabrza, Ochojca, Sosnowca. Gdyby nie potrzeby medycyny, nie byłoby współpracy z ośrodkami naukowymi i nowatorskich urzędzeń, badań nad polimerami czy teraz nad zastawką serca prof. Pawła Buszmana, którą można będzie założyć bez otwierania klatki piersiowej – wyjaśnia kardiochirurg. – Oczywiście, wiele rzeczy moglibyśmy kupić, ale po co, skoro sami możemy je zrobić.

Nie zawsze badania przynoszą spektakularne sukcesy, ale tworzą się środowiska liderów, takich jak inżynierowie Zbigniew Nawrat czy Roman Kustosz z Zabrza, przyciągniętych do Fundacji Rozwoju Kardiochirurgii przez Religę i obiecujących już wkrótce wdrożenie do praktyki klinicznej protez serca dla dzieci.

Finansowa mizeria

– Historia medycyny jest także historią wielkich pionierów. To u nas np. prof. Franciszek Kokot, wzór dla wszystkich, twórca nefrologii, humanista, wieloletni ordynator Kliniki Nefrologii w Szpitalu przy Francuskiej. Osobisty przykład jest w zawodzie lekarza bardzo ważny – twierdzi prof. Zembala. I dodaje: – Nieprzypadkowo to właśnie w naszym regionie doszło do pierwszego przeszczepu serca, pierwszej transplantacji szpiku od osoby niespokrewnionej czy przeszczepu twarzy. Musimy jednak myśleć o przyszłości województwa w perspektywie kilkudziesięciu lat i patrzeć na takie poprzemysłowe regiony jak Zagłębie Ruhry, Limburgia w Belgii, Lille we Francji czy Pittsburgh w USA, gdzie atutem były wykwalifikowane kadry. Dobrze wykształceni inżynierowie, lekarze, ale też księża czy robotnicy. Dodatkowym walorem jest samorząd, niejako zmuszony przez aglomeracyjność Śląska do współpracy. Wyróżnia nas też wielokulturowość.

Prof. Zembala nie tylko w medycynie widzi szansę na powstanie „śląskiego jedwabnego szlaku”. – Mamy świetne uczelnie, bardzo dobrych specjalistów i nie zapomnieliśmy o humanistyce – ocenia kardiochirurg, który liczy, że impulsem rozwoju także usług medycznych będzie utworzenie na Śląsku pierwszej w kraju metropolii. Dobrym przykładem do naśladowania jest właśnie amerykański Pittsburgh, niegdyś dumne

U nas problemem, jak zawsze, są pieniądze. Nakłady na zdrowie od 2009 roku wciąż spadają: z 4,9 proc. PKB do 4,4 proc. W krajach Europy Zachodniej – to minimum 6,8 proc. Do tego dochodzą problemy dnia codziennego, zmuszające do szukania pracy poza granicami Polski.

„miasto stali”, dziś słynne przede wszystkim z medycyny na najwyższym poziomie, centrów badawczych i University of Pittsburgh Medical Center. Próbuje ten trop wykorzystać biznesmen i wydawca Wojciech Kuśpiak, który wpadł na pomysł, by w Katowicach organizować co roku Kongres Wyzwań Zdrowotnych, który stał się najpoważniejszym forum wymiany myśli o przyszłości branży, leczenia, polityki lekowej.

U nas problemem, jak zawsze, są pieniądze. Nakłady na zdrowie od 2009 roku wciąż spadają: z 4,9 proc. PKB do 4,4 proc. W krajach Europy Zachodniej – to minimum 6,8 proc. Do tego dochodzą problemy dnia codziennego, zmuszające do szukania pracy poza granicami Polski.

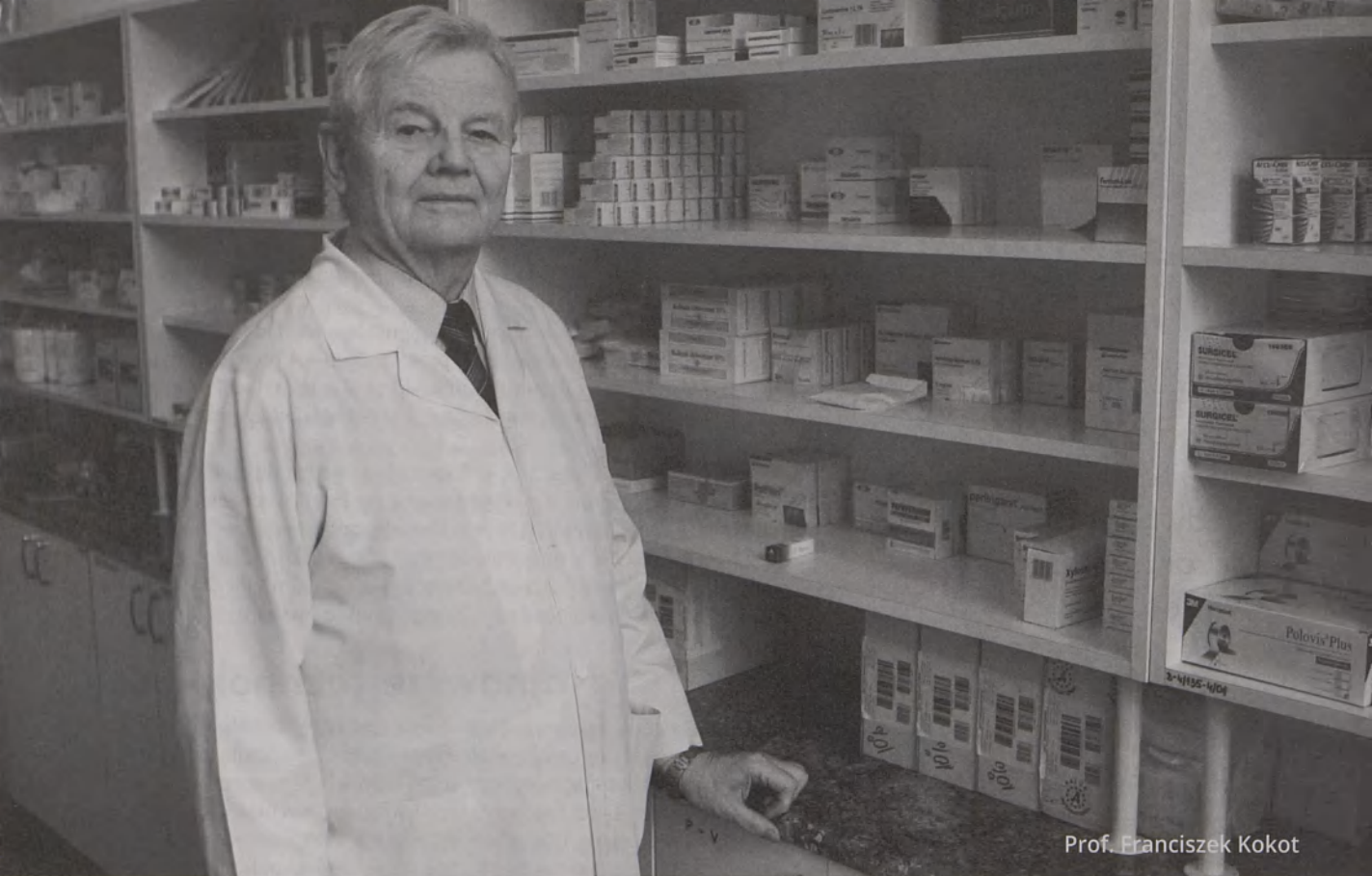
– Zróżnicowanie płac wśród lekarzy jest bardzo duże. Część zarabia naprawdę sporo, ale zdecydowana większość niewiele, biorąc pod uwagę długi okres kształcenia i zdobywania specjalizacji. A praca za granicą czeka. U nas około 30 proc. stanowisk jest nieobsadzonych. Wyjazdy lekarzy trzeba zatrzymać – twierdzi rektor Śląskiego Uniwersytetu Medycznego prof. Przemysław Jałowicki.

Najnowsze technologie

„Ochojec”. Oczko w głowie I sekretarza KW PZPR Zdzisława Grudnia. Jako szpital „sercowy” miał poradzić sobie z epidemią zawałów. Stał się jednym z najnowocześniejszych w Polsce. Jego organizatorem był prof. Leszek Giec, świetny lekarz i wizjoner, wychowawca wielu pokoleń kardiologów. Górnośląskie Centrum Medyczne, dzieło życia profesora, zaczęło przyjmować pacjentów w 1986 roku. Najlepsze lata

Prof. Marian Zembala
i prezydent Zabrze Małgorzata Mańka-Szulik





Prof. Franciszek Kokot

to niewątpliwie okres zawodowej pracy w szpitalu dwóch gigantów: prof. Bochenka i prof. Stanisława Wosia. Dziś pałeczkę przejęli młodzi i bardzo zdolni kardiolodzy interwencyjni, którzy do perfekcji wykorzystują nowe technologie. Rejestr zawałów prowadzony w Zabrzu przez prof. Jana Polońskiego, nowoczesne kliniki kardiologii interwencyjnej, także prywatne (np. Polsko-Amerykańskie Kliniki Serca), pozwoliły w skuteczności leczenia zawałów mięśnia sercowego dogonić bogaty Zachód.

Niedawno w brawurowy sposób kardiolodzy z Ochojca uratowali pacjenta, któremu podczas zawału pękło serce i uszkodzona została zastawka. Takie zabiegi należą do rzadkości. Zwykle pęknięcie serca rozpoznaje się podczas... sekcji zwłok. W tym wypadku udało się zgrać wiele czynników: pacjent trafił na czas do dobrego szpitala, został błyskawicznie zdiagnozowany, a dwuetapowa operacja przebiegła perfekcyjnie. Zabrze przekroczyło granicę czasu. Ich najstarsza pacjentka skończyła niedawno 109 lat.

Unia z zaufaniem i chętnie dofinansowuje projekty naukowców-lekarzy z SUM. Trwają np. prace nad powstaniem innowacyjnego urządzenia do przeciewnikowego zamykania przecieków okołozastawkowych, często uszkodzenia serca oraz regeneracji uszkodzeń niedokrwienych z użyciem komórek macierzystych. Patronuje im prof. Michał Tendera z GCM.

– Zabrze znane jest w kraju i za granicą jako centrum turystyki postindustrialnej. To tutaj „nowe życie” rozpoczęła kopalnia Guido, która przyciąga dziesiątki tysięcy turystów. Na Śląskim Szlaku Zabytków Techniki pozycję ugruntowuje Sztolnia Królowa Luiza z Parkiem 12C, Bajtel Grubą czy Parkiem Techniki Wojskowej. Niebawem

Prezydent Małgorzata Mańka-Szulik: – Miasto będące niegdyś ośrodkiem przemysłu ciężkiego musi być inaczej identyfikowane. Jest obecnie miastem nauki, turystyki, innowacyjnej gospodarki, kultury, sportu i oczywiście medycyny. Dziś zabrzańskie wydziały Śląskiego Uniwersytetu Medycznego są kuźnią doskonale wyszkolonych kadr.

oddamy do użytku Główną Kluczową Sztolnię Dziedziczną, gdzie odwiedzający będą mogli przepłynąć barkami pod miastem – mówi Małgorzata Mańka-Szulik, prezydent Zabrza. I przyznaje: – Zdajemy sobie sprawę, że miasto będące niegdyś ośrodkiem przemysłu ciężkiego musi być inaczej identyfikowane. Jest obecnie miastem nauki, turystyki, innowacyjnej gospodarki, kultury, sportu i oczywiście medycyny. Byliśmy kolebką Śląskiej Akademii Medycznej. Dziś zabrzańskie wydziały Śląskiego Uniwersytetu Medycznego są kuźnią doskonale wykształconych kadr. Prężnie działające Śląskie Centrum Chorób Serca przyczynia się do wzrostu rozpoznawalności Zabrza na mapie liczących się ośrodków medycyny. Efekt synergii zwiększają szpitale kliniczne, nowoczesny ośrodek nauki, edukacji i transferu technologii w ochronie zdrowia – Kardio-Med. Silesia, funkcjonujący w Zabrzu Wydział Inżynierii Biomedycznej Politechniki Śląskiej czy wreszcie nasz szpital miejski, gdzie stworzyliśmy jeden z najbardziej cennionych w regionie oddziałów położniczych. – Zabrzańskie Centrum Zdrowia Kobiety i Dziecka przyciąga pacjentki nawet z odległych miejscowości, gwarantując najwyższą jakość diagnostyki, terapii i opieki. Staramy się tworzyć warunki umożliwiające dalszy rozwój medycyny z wykorzystaniem najnowocześniejszych technologii.

Czy – przy zachowaniu wszelkich proporcji – śląska medycyna ma szansę stać się dla regionu tym, czym było górnictwo? Bez nowych technologii nie ma sensu pompować milionów w branżę, które degradują środowisko i utrzymują pracowników w złudnym przekonaniu, że nic nie musi się zmieniać. Oczywiście, społeczne przyczyny decyzji polityków, którzy za wszelką cenę chcą utrzymać miejsca pracy, są też zrozumiałe. Mniej zrozumiałe jest brak wizji i rosnący stos makulatury poświęcony kolejnym programom dla Śląska.

Za mało studentów

Liczba praktykujących lekarzy w relacji do liczby mieszkańców Polski jest najniższa w całej Unii Europejskiej! Uczelnie są w stanie przyjąć od 20 do 30 proc. studentów więcej. Nie będzie to możliwe bez zwiększenia środków na ich kształcenie. Dotacje nie pokrywają kosztów kształcenia przyszłych lekarzy. A zadania nakładane na uczelnie rosną – wejście nowych standardów będzie odczuwalne dla uniwersytetów medycznych ze względu na zwiększenie liczby godzin dydaktycznych. Wymusi to zatrudnianie dodatkowych pracowników (jeśli się ich znajdzie). Wprawdzie trwają prace nad przywróceniem stażu podyplomowego, jednak na obecnym etapie nie są przewidziane zmiany dotychczasowego programu kształcenia. – A one są niezbędne, bo przy aktualnych nakładach nie będziemy w stanie wykształcić absolwenta dobrze przygotowanego do zawodu lekarza – wyjaśnia prof. Jałowiecki.

Czeka nas *happy end*? Ostatnie potwierdzenie medycznych regionalnych aspiracji i możliwości to udział neurochirurgów z Bytomia w wykorzystaniu implantu SLIDER, patentu z Polski, wykorzystywanego w leczeniu kręgosłupku, czyli ześlizgu, poważnego schorzenia kręgosłupa. Śląscy lekarze dopracowali wynalazek, który jest rejestrowany i chroniony m.in. w Stanach Zjednoczonych, Izraelu, Turcji, Rosji, Kanadzie, a nawet w Chinach.

– Przez wiele lat brakowało skutecznej metody. Jeśli nie pomaga rehabilitacja, a życie pacjenta z przesuniętymi kręgami staje się nie do zniesienia, potrzebna jest operacja. To bardzo trudny i czasochłonny zabieg – mówi dr Jerzy Pieniążek, bytomski neurochirurg, który przeprowadził pierwsze operacje z udziałem SLIDERA. Kiedyś prostowano kręgosłup za pomocą specjalnych śrub wyciągowych. Wiązało się to z dużym ryzykiem nasilenia nieznosnego bólu. Bywało, że stabilizator łamał się podczas pochylenia.

Dr Lechosław Ciupik, pomysłodawca metody, przyznaje, że nieoceniony wkład wnieśli lekarze z Bytomia, którzy praktycznie zostali jej współwynalazcami. Z tego samego Bytomia, który sam potrzebuje uzdrowienia, bo stał się największą ofiarą restrukturyzacji, choć był perłą Górnego Śląska. ■

Agata Pustułka

– publicystka, pracuje w „Dzienniku Zachodnim”



58

Nowe Miasto, kompleks hal i budynków należących kiedyś do Bielskiej Fabryki Armatur „BEFA”,

Ewa Furtak

Miasto stu przemysłów

Bielsko i Biała to były dwa oddzielne miasta. Dzieliła je rzeka Biała, przez którą przebiegała granica państwowa, także granica Śląska i Małopolski. Starsze i znacznie bogatsze Bielsko miało wielkomiejskie ambicje, Biała, bardziej prowincjonalna, pozostawała w jego cieniu.



jest jednym z najbardziej pozytywnych przykładów rewitalizacji

59

Bielsko-Biała powstało 1 stycznia 1951 roku. Przez lata, podobnie jak wcześniej Bielsko, Bielsko-Biała nazywane było miastem stu przemysłów. To z powodu licznych fabryk, przede wszystkim włókienniczych. Starsi mieszkańcy wspominają, że woda w Białej miała dziwny kolor. Wszystko zależało od tego, na jaki akurat kolor farbowano tkaniny w fabrykach włókienniczych stojących nad rzeką. Do pracy codziennie dojeżdżały tysiące ludzi. Pociągi np. z Żywca przyjeżdżały w tamtych czasach pełne pasażerów.

W latach 90. zeszłego wieku bielski przemysł włókienniczy zaczął upadać. Zlikwidowano Weldoro, Krepol, Finex i wiele innych zakładów. Taki sam los podzieliły też fabryki z innych branż. Niektóre pofabryczne budynki zrównano z ziemią. Są jednak i takie, które udało się ocalić.

Nowe Miasto tętni życiem

Poniedziałkowe popołudnie, ulica Legionów. Chodnikiem maszeruje grupa dzieci wraz z dwojgiem opiekunów. Co przyciągnęło ich do tej na pozór zupełnie nieciekawej, przemysłowej części miasta? Pewno Luce Arena, jedyne kryte rolnikowisko na Podbeskidziu. Wyłożone jest specjalną, syntetyczną, nowoczesną nawierzchnią, ma wymiary 20 na 40 metrów. Można tutaj zagrać w in-line hokej czy spróbować sił w slalomie na rolkach. Luce Arena to nie tylko rolki. Można tu zagrać w badmintona na pięciu profesjonalnych kortach, w siatkówkę, krykieta czy piłkę ręczną, jest także kort do squasha. Wśród bielszczan coraz bardziej popularne jest urządzenie tutaj dzieciom urodzin na sportowo. Luce Arena to także miejsce, gdzie trenują młodzi zawodnicy z różnych klubów.

Rolnikowisko prowadzi fundacja Luce zajmująca się wychowaniem, profilaktyką wychowawczą i edukacją przez sport. Jej prezesem jest katolicki ksiądz Mateusz Dudkiewicz, zapalony hokeista, który wszędzie, gdzie się tylko pojawia, zachęca dzieci i młodzież do ruchu. Dzięki sponsorom i osobom, które stać na pokrycie rynkowych opłat za korzystanie z Luce Areny, wychowankowie m.in. Młodzieżowego Ośrodka Socjoterapii oraz świetlic środowiskowych mogą korzystać z obiektów za darmo. – Byłem tam kilka razy z dziećmi. Za-

wsze było sporo ludzi. Ten pomysł to był strzał w dziesiątkę – uważa bielszczanin Adam Dymek. – Cieszy mnie, że udało się przywrócić do życia tę zupełnie zapomnianą część miasta. Wychowałem się tutaj – dodaje.

Rolkowisko to tylko jedna, niewielka część Nowego Miasta, kompleksu hal i budynków należących kiedyś do Bielskiej Fabryki Armatur „BEFA”. – Nowe Miasto to jeden z najbardziej pozytywnych przykładów rewitalizacji przemysłowej infrastruktury w naszym mieście. Naprawdę jestem pełen uznania – mówi Przemysław Andrzej Czernek z Bielska-Białej, doktorant Instytutu Sztuki PAN, zwykle bardzo krytyczny dla różnych budowlanych i modernizacyjnych pomysłów w mieście.

Działająca tutaj fabryka powstała w 1855 roku jako zakład produkujący armatury i odlewnia brązu fosforowego. Jej założycielem był Karol Schmidt. Aż do momentu zakończenia II wojny światowej fabryka pozostawała w rękach tej rodziny. Po wojnie Schmidtowie przenieśli zakład do austriackiego Villach, ale działalność odlewniczą kontynuowało tutaj Przedsiębiorstwo Państwowe Bielska Fabryka Armatur „BEFA”. Na początku lat 90. fabrykę zaczęły targać różne konflikty. Głośno o nich zrobiło się za sprawą słów ówczesnego prezydenta Lecha Wałęsy, który w czasie spotkania z grupą pracowników BEFY zapowiedział dosadnie, jak to ma zresztą w zwyczaju, że na rozwiązanie konfliktu daje 24 godziny, a potem wybierze się tam z siekierką.

Ostatecznie jednak to nie konflikty doprowadziły do upadku fabryki, a względy ekonomiczne. Historia bielskiej BEFY zakończyła się w roku 2007. Został po niej ogromny teren i coraz bardziej niszczące budynki. – To zabudowania o różnym charakterze, stawiane w różnych okresach – wyjaśnia Czernek. W sierpniu 2013 roku niszczący kompleks ulokowany na powierzchni ponad 4,5 hektara kupił bielski przedsiębiorca Grzegorz Nabagło. Wielkiego wyzwania, jakim była próba tchnięcia w to miejsce nowego życia, podjęli się architekci Przemysław Stawinoga oraz Joachim Lesiak. Powstała lista budynków do rewitalizacji i tych, które trzeba będzie wyburzyć. W czasie prac modernizacyjnych znaleziono wiele pamiątek związanych z historią działającego tutaj kiedyś zakładu, m.in. książeczki pracy z czasów II wojny światowej czy kronikę fabryki.

Zamiast fabryki lofty

60

Biura Nowego Miasta mieszczą się w kamienicy z 1905 roku, która jako jedyna z całego kompleksu jest pod ochroną konserwatora zabytków. Budynki nazwane zostały kolejnymi literami alfabetu i nazwami miast: od A – jak Amsterdam po P – jak Paryż. To 16 budynków o łącznej powierzchni ponad 20 tysięcy metrów kwadratowych.

Luce Arena nie jest jedyną atrakcją przyciągającą do tej części miasta. Działa tutaj także Wielopoziomowy Halowy Tor Kartingowy „ZygZak”. To najdłuższy kryty, wielopoziomowy tego typu tor w Polsce. Pokonanie kilkusetmetrowej trasy zajmuje około minuty, emocje są gwarantowane m.in. dzięki specjalnym rampom, ale to naprawdę bezpieczna rozrywka. Bezpieczna i popularna; tor bardzo często jest zarezerwowany przez zorganizowane grupy.

Nowe Miasto to także restauracja Gallo Nero z ośmiorniczkami na ostro, kremem z porów z krewetkami czy carpaccio z tuńczyka w menu, Tkalnia Urody Day SPA czy czynny całą dobę Fitness World. Wśród najemców są także m.in. firmy zajmujące się nowymi technologiami. Nowe Miasto tętni życiem, odbywa się tutaj wiele ciekawych imprez, np. spotkania miłośników starych samochodów. Architekci pomyśleli także o względach praktycznych – na terenie kompleksu jest parking dla 300 samochodów.

To niejedyny pofabryczny kompleks w Bielsku-Białej, który zupełnie zmienił charakter. Zakłady Przemysłu Wełnianego „Merilana” były jedną z największych fabryk przemysłu lekkiego w mieście. Pięciokondygnacyjna, utrzymana pierwotnie w stylu klasycyzującego modernizmu żelbetowa hala przy dzisiejszej ulicy Młyńskiej została wybudowana w 1923 roku dla fabryki włókienniczej Simona Hoffmanna. Po wojnie hala stała się częścią Merilany.

W latach 2008-2009 budynek został zaadaptowany na lofty. Wybudował je bielski deweloper PM Immobilis. Na parterze i pierwszym piętrze są lokale użytkowe, a mieszkania o powierzchni od 40 do 110 metrów kwadratowych znajdują się na wyższych kondygnacjach. Niektóre elementy budynku, np. klatki schodowe, są stylizowane na lata 20. Apartament z basenem? Projektanci bielskich loftów spełnili także to marzenie. Lofty to dosyć udana rewitalizacja, choć miłośnicy architektury krytykują projekt m.in. za nadbudowę piątego piętra i zmianę wyglądu przyziemia.

I inny przykład. Ceglany budynek fabryki sukna Maurycego Graubnera wzniesiono około 1880 roku. W 1998 roku właścicielem budynku przy skrzyżowaniu ulic Powstańców Śląskich i Partyzantów stała się firma Trabot, operator telekomunikacyjny. Budynek został zaadaptowany na biura i lokale usługowe o powierzchni około 3,6 tysiąca metrów kwadratowych. Obiekt nazywa się teraz Przędzalnia i robi

Kompleks Nowe Miasto,
dawne Zakłady Przemysłu
Wełnianego „Merilana”
czy ceglany budynek
fabryki sukna Maurycego
Graubnera z 1880 roku
to przykłady udanej
rewitalizacji w Bielsku-Białej.

wrażenie. – Przejeżdżałem tamtędy ostatnio w drodze na narty do Szczyrku, widziałem obiekt z zewnątrz, jest piękny – zachwyca się Konrad Stec, miłośnik industrialnej architektury i fotograf amator z Katowic.

Mozaiki już nie ma

Niestety, nie wszystkie pofabryczne obiekty udało się ocalić. Na ścianie byłych Zakładów Przemysłu Wełnianego „Welux” przy ul. Leszczyńskiej, gdzie od 2009 roku działa Gemini Park, znajdowała się słynna mozaika Ignacego Bieńka. Bieńek, który studiował w krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych, został plastykiem w Weluksie, uczył pracowników wzorników tkanin. Ale nie tylko. Ten wielki pasjonat sztuki zaczął też organizować wystawy w zakładzie. W połowie lat 60. minionego wieku Bieńek stworzył jedno ze swoich najbardziej oryginalnych dzieł – mozaikę ze szkła, betonu, kamieni, ceramiki o powierzchni około pół tysiąca metrów kwadratowych. Przedstawiała historię Polski oraz miasta. Choć władze miasta nakazały ją pozostawić i wkomponować w nowy obiekt, firma rozbierająca dawną fabrykę zburzyła ścianę, tłumacząc, że zagrażała bezpieczeństwu. Oburzyło to wielu bielszczan.

Rafał Sonik, właściciel Gemini Parku, zaangażował Leona Tarasewicza, jednego z najwybitniejszych polskich malarzy współczesnych, by stworzył na ścianie galerii mural. Artysta zaprojektował dzieło nawiązujące do bielskich tradycji włókienniczych – przenikające się pasy w różnych kolorach, od błękitów, poprzez brązy, czernie, różne odcienie zieleni i żółci, aż do oranży i pomarańczowych brązów. Mural nawiązywał do dzieła Bieńka. Niestety, już go nie ma, został zniszczony w czasie rozbudowy Gemini Parku.

W 2000 roku nad Białą, po wyburzeniu istniejących wcześniej w tym miejscu hal fabrycznych należących do zakładów włókienniczych Lenko, postawiono pierwszą część Galerii Sfera. Sześć lat później wyburzono opuszczone budynki fabryczne będące własnością innych zakładów i wybudowano tam drugą część galerii. Oba połączone ze sobą budynki nawiązują do istniejących tutaj kiedyś fabryk. Zdania na temat Sfery są wśród bielszczan podzielone. Jedni zarzucają jej, że zawłaszczyła sobie centrum miasta, inni uważają, że wręcz przeciwnie – galeria z restauracjami, kinem, sklepami i innymi atrakcjami ożywiła serce Bielska-Białej. Tak czy inaczej, w czasie badań ruchu turystycznego w Bielsku-Białej okazało się, że większość osób przyjeżdża tutaj właśnie na zakupy.

Czernek obawia się, że zagrożone mogą być kolejne bielskie pofabryczne obiekty. Kiedy cztery lata temu Tauron uruchomił nowoczesny blok ciepłowniczy w elektrociepłowni w Bielsku-Białej, wiadomo było, że likwidacja niektórych obiektów jest tylko kwestią czasu. Zniknąć mają np. dwa charakterystyczne kominy o wysokości 160 i 120 metrów. – Zagrożona jest także hala z murem Władysława Szostaka, nie mniej cennym niż mozaika Bieńka – martwi się Czernek. Jego zdaniem miasto potrzebuje planu rewitalizacji terenów poprzemysłowych. Dotyczy to zresztą nie tylko starych, przedwojennych zakładów, ale także hal wybudowanych w okresie PRL-u. – Na razie modernizowane są tylko pojedyncze wyspy. Potrzebujemy kompleksowego planu działań – przekonuje Czernek. ■

Ewa Furtak

– dziennikarka, pracuje w katowickiej redakcji „Gazety Wyborczej”

Krystian Węgrzynek

Silesia semper transformanda?

Kiedy przejeżdżam Chorzowską i mijam wieże osaczające coraz bardziej kościół w katowickim Dębie, narasta we mnie myśl kielkująca z napisanej dziesięć lat temu *Huty* Grzegorza Kopaczewskiego: czy powstanie tu kolonia szklanych domów, czy wcześniej Załęże pójdzie na barykady?



Fabryka Silesia
AWANTALNIA

Na czym polega rewolucja?
Na zmianie przekonań czy
zewnętrznych stosunków?

Walter Benjamin



ARKADIUSZ LAWRYWIANIEC

Fabryka Silesia
AWANTALNIA

Cały tamten zgielek: rylec w węgiel, nabierak w surówkę, kęs na kowadło: wyciosywanie, wydobywanie, formowanie. Szybciej, mocniej, więcej; między „Zischen, Pfeifen, Heulen, Rasseln, Hämmern, schmerzliches Schreien siedender Metalle und klares Eisegeläut” (Arnold Ulitz), w osadę, w hałę, w miasto. „Huk hut, czarny hymn/ niemoży” (Julian Przyboś). Na tym wypalonym postumencie unosi się Święty Transformator. I jak w finałach filmów Wojciecha Smarzowskiego – malejemy momentalnie, grzeźniemy w odpadach, zlewamy się w jedną ciemną plamę. „To są huty, kopalnie, koksoownie, elektrownie. Zgasły, wyczerpały się, wypaliły, zniszczały, wystygły. (...) Co będziemy robić z naszych miast? Na co przerabiać nasze fabryki?” (Andrzej Stasiuk).

„W ramionach żelaza”

Cofnijmy się do fundamentów tego krajobrazu. W jednej ze scen powieści Krzysztofa Lewandowskiego *Zostać milionerem według Karola Goduli* Joseph von Eichendorff po wielu latach przyjeżdża do odmienionej krainy dzieciństwa, a kiedy spotyka genialnego sprawcę tego przeistoczenia, zasypuje go pretensjami: „Co wyście zrobili tej ziemi? »O żegnaj mi dolino/ Twój liść i mrok i mech/ samotne dni popłyną/ gdy leśny zemrze dech«” – cytował z pamięci swój wiersz *Pożegnanie* uznany już poeta. „Ja żegnałem kraj, z którego wyjechałem, a tu widzę, że ten kraj zniknął, że go już nie ma (...). Jak tu wygląda? Łasy powycinane, domy dla robotników to liche baraki jak budy w piekle dla straceńców, huty i kopalnie jakby nikomu nie zależało tu na tym, co ogląda. Co wyście zrobili? Czy ta ziemia, która była rajem, jest teraz piekłem?”.

Scenę tej rozmowy możemy sobie wyobrazić w przestrzeni obrazu *Huta Hohenlohe na Wełnowcu*: Godula z hrabią Ballestremem siedzieliby sobie na pagórku, pykając fajeczkę, a łubowicki poeta stałby nad nimi i gorączkowo gestykułował (tu trzeba by litografię Ernsta Knippla poprawić), wskazując na zasnuwające się dymami niebo. Nastroju schyłkowej sielanki można by jeszcze poszukać na innych obrazach twórców szkoły kowarskiej: w korony drzew wpadają kominy hut, w koła młyńskie wpisują się szybowe wieże, w linie wiejskich dróg – lśniące pasma szyn.

Ale walcownia, z nieodległej Królewskiej Huty, uchwycona na płótnie Adolpha Menzla to już apologia nowego piękna. W Świątyni Przemysłu chorzowski herosi z kuźni Wulkana obłaskawiają groźny żywioł. Libretto do tego widowiska można by oprzeć na zapiskach Józefa I. Kraszewskiego: „Ten gród piekieł miałem przed sobą. Mimo osobistych moich smutnych uczuć i wrażeń widowisko to tak było wspaniałe, poetyczne, wielkie, że zapomniawszy o trwodze, mimowolnie zachwycać się nim musiał”.

Patos tamtej chwili wkomponowany w awangardową instalację traci urok na rzecz geometrycznego rytmu „metalowców z Król-Huty”: „Dzień za dniem – w ramionach żelaza./ Tygodnie – na stalowych żebrach” (Julian Przyboś). Postać z obrazu Rafała Malczewskiego wchodzi w szereg chorzowskich kondensatorów, by stopić się z nimi w jeden granatowy pion. Symetria krajobrazu nie pozwala zatrzymać się gdziekolwiek – szybko należy zająć swoje miejsce, by płynnie wejść w „kół obrót” i znaleźć w sobie rytm maszyny, odpowiednio regulując oddech. Ostatecznie w prostokącie pejzażu pozostają „wypaproszone ziemie, czarne domy, złomy i iglice kopalń, twardzi ludzie i niełaskawe niebo”.

„Prędej, górniku, śmielej, górniku”

Narosłą hałdę rekwizytów oczyszczano później z kapitalistycznego werniksu, zderzając w nagłówkach rdzewiejące ze lśniącem: Młodzieżowa Brygada Pracy pracuje na starych maszynach Huty Baildon! Jak magnes uwagę artystów przykuwały jednak zakłady zupełnie nowe. Antyfonę na wejście do Huty Katowice układał Wilhelm Szewczyk: „Wielu z tych, którzy przybyli tu z różnych zakątków naszego kraju, pokochoło hutę od samego początku, wiedząc, iż wraz z jej poczęciem zaczęło się odmieniać również ich życie, zyskiwać nową perspektywę”. Dynamikę potęgował w swoim *staccato* o odzyskanej ziemi, o najbardziej polskim z polskich miast, Władysław Broniewski:

Nie dla bogaczy-wyzyskiwaczy
dzisiaj wyciskasz pot (...)
Prędej, górniku, śmielej, górniku,
W przyszłość twą jasną idź (...)
Twoja ta ziemia,
twoja na zawsze
węgiel, żelazo, stal!

Tereny po kopalni Kleofas z zachowanym szybem Jerzy przeobraziły się i zastygły w nową formę, zwaną Silesia City Center. Od strony huty można patrzeć na ten kolorowy świat z perspektywy familokowej rudery, przezornie schowanej za olbrzymim billboardem. Strefa Baildon to z kolei obszar permanentnej metamorfozy.

Wreszcie pora na spokojny fortepianowy finał – widok uwieczniony na fotografiach Wojciecha Wilczyka, towarzyszący tym mieszkańcom Śląska, którzy nie doczekali przeobrażenia okolicznej kopalni w nowoczesne muzeum czy błyszczące centrum handlowe, którzy nie spoglądają na świat z perspektywy katowickich Dębowych Tarasów. Pejzaże z cyklu *I tak to się wszystko kiedyś skończy* (2004), jakby wyjęte ze *Stalkera*, znajdował fotografik m.in. w Chorzowie (walcownia Huty Królewskiej), Bytomiu (Huta Bobrek), Rudzie Śląskiej (koksownia Walenty) czy Załężu (ul. Pokoju). Komentarz Stasiuka, zamieszczony w katalogu, jest nie tylko komplementarny wobec tych zdjęć, ale i stanowi *codę* do nowej o hucie piosenki: „To wszystko wygląda jak szkielet, od którego odpada mięso i dopiero teraz widać, jak było zrobione. Można tu przychodzić jak na cmentarz, żeby się pogodzić i przygotować”.

Z tego nastroju wyrывa Stasiuka obraz wiecznotrwałej natury, roślinności porastającej ruiny i drzew, które „będą się karmić niejadalnymi resztkami”, zupełnie jak w filmowej zonie Andrieja Tarkowskiego. Czy ten nowy las da się z czasem odróżnić od tego „naturalnego”, od pierwotnego Eichendorffowskiego „zielono-mgławego boru”?

Ucieczka do przodu?

Łatwiej wyodrębnić rzeczywiste warstwy (post)industrialnego palimpsestu, wędrując dzisiaj ulicą Chorzowską i zapuszczając się w jej odnogi. Tereny po kopalni Kleofas z zachowanym szybem Jerzy przeobraziły się i zastygły w nową formę, zwaną Silesia City Center. Od strony huty można patrzeć na ten kolorowy świat z perspektywy familokowej rudery, przezornie schowanej za olbrzymim billboardem. Strefa Baildon to z kolei obszar permanentnej metamorfozy – labirynt starych hal, socrealistycznych fasad i nowo (wy)budowanych szklanych pułapek. Kiedy z ulicy Marcina wychodzi się na Gliwicką, wraca się znowu do starego świata z szaroczerwonej cegły, ciemnych zaułków, wyboistych klepisk udających pola parkingowe, przestrzeni sklepowych z czasów PRL.

Czy seria obrazów – sentymentalnej idylli, romantycznej apoteozy, naturalistycznego odwzorowania, awangardowej konstrukcji, socrealistycznego monidła oraz monochromatycznej fotografii – da się ułożyć w ewolucyjny diagram? O czym świadczą prace nad śląskim krajobrazem w dziełach najbardziej na tę część świata wyczulonych artystów? Czy metamorfozy śląskiego pejzażu, na którym człowiek bywa bohaterem nieistotnym lub instrumentalnie traktowanym, to ostrzeżenie przed dalszym uprawianiem filozofii postępu otoczonej estetyczną aurą? Czy kierunek tych zmian, które prowadzą dziś do ekologicznej celebracji natury, ocali wtopioną w pejzaż ludzką istotę zaplątaną w zmienne rytmy współczesności? A może to tylko pauza przed następną ucieczką do przodu?

Śląskość – fasada dla elit

Kolejne stadium pędu to właśnie wspomniana *Huta*, której akcja toczy się w nieodległej przyszłości. Powieściowy doktor Adrian Pelc dowodzi, że „Huta nie może się zestarzeć”, „Huta to akumulator”, „model hutniczy jest modelem przyszłości”. Grzegorz Kopaczewski ulokował swoją futurystyczną krainę na styku katowickich dzielnic: Dębu i Załęża. Stare zabudowania zostały przekształcone w ośrodek badań naukowych i ultranowoczesne osiedle, którymi zawiaduje Instytut Historyczny: „Krajobraz się zmienił i ten nowy wymyśl mi z pamięci stary. Budynki,

na zewnątrz wciąż te same od czasów daleko przedbismarckowskich, rosły teraz od środka. Huta kipiała, rozpychała się łokciami, rosła (...). Wrażenie, że gdy tu wchodzisz, zrzucaś z siebie historię, albo raczej łukiem omijasz PRL, i wprost z dziewiętnastego wieku lądujesz w dwudziestym pierwszym – który oferuje ci opakowany w pruską cegłę największy w kraju hotspot i przyspieszony wykład z ewolucji swobód obywatelskich”.

Kulminacją „nowohuckiego” transu jest Jarmark św. Floriana. W czasie jego trwania „hutnicze” puby i restauracje pękają w szwach, a tłumy gości zachwycają się przygotowanymi na tę okazję pokazami sterowców i helikopterów oraz wielkimi makietami z *Metropolis*. Wyekspozowana jest tu – odwołując się do podziału z filmu Fritza Langa – Głowa, nie – Dłonie, ostentacyjnie hałaśliwi są – analogia z prozy Herberta G. Wellsa jest chyba trafniejsza – Eloje, nie Morloki. Ale o tym, u szczytu popularności społecznego eksperymentu, nikt nie myśli.

W starannie wytyczonym kwartale ulic panuje wzorowy egalitaryzm i poznawcza euforia. Pelc z zadowoleniem nazywa sytuację, w której zaledwie co dziesiąty mieszkaniec ma auto, natomiast prawie wszyscy prenumerują jakąś gazetę, a zdecydowana większość ma wykupione karnety wstępu na imprezy kulturalne lub sportowe. Główny bohater, doktorant Tomasz, który zatrudnia się u Pelca i przeprowadza się do „hutniczego” mieszkania, szybko przyzwyczaja się do nowych reguł: „Posiadanie jest w Hucie zbędne. Bo po co ci pralka, skoro jest Cleanicum, po co telewizor, gdy jest Teledromat, do czego ci DVD, gdy masz karnet do Casablanki, po co ekspres do kawy, gdy mieszkasz nad Kawoholikiem? Po co ci samochód, skoro mieszkasz w Hucie?”.

Intrygujący jest także wyraziście manifestowany śląski regionalizm: wewnątrz biegnie ulica Ernesta Wilińskiego, stoją pomniki Friedricha Redena i Johna Baidona, naukowcy Instytutu powstania Śląskie nazywają „śląską wojną domową”, książd Winkler obnosi się z niechęcią do „warszawskiego rządu”, a dialekt staje się przepustką do pohutniczej utopii („ludzie, którzy nie znali gwary, płacili Ślązakom za pisanie listów motywacyjnych”). Ta futurystyczna sielanka drży jednak pod naporem tych, którzy zostali po drugiej stronie muru – nieufnych, podejrzliwych, zazdrosnych wobec idei naukowych czy pomysłów artystycznych mieszkańców Załęża. Oni mogą podpowiadać, jednak nie mogą mówić. Śląskość jest fasadą dla elit, nie ideologią dla mas.

Ich przodkowie kreowani byli na romantycznych tytanów czy alchemicznych adeptów. Kim mają być teraz – zdezonizowani, pomniejszeni, zanikający, czy już wręcz nieistniejący? Jeszcze przed wojną Alfons Perlick przyglądający się pracującym Ślązakom zauważał: „Czasami posuwa się to tak daleko, że zaczynają wręcz lubić surowość, pracę i narzędzia pracy (...). Zupełnie martwe dla nas sprzęty mają dla nich życie, znaczenie, treść, są ich przyjaciółmi i towarzyszami, pomagającymi im w pracy”. Skoro tak, to dwa płótna z 1979 roku Erwina Sówki są spełnioną przepowiednią – pokazują transhumanistyczną wizję mieszkańca Górnego Śląska: robotnik jest albo dosłownie wbudowany w system (*Pomnik Górnik*), albo kryje się za wielką maską, przominającą wizerunki sumeryjskich bogów (*Św. Transformator*). Jak ma teraz funkcjonować odłączony od tej aparatury, odcięty od odurzających wyziewów, skazany na postindustrialny odwyk? Bynajmniej nie czuje się insektem do cna wydrążającym ciało Wielkiego Dracha czy zaślepionym w industrialnej wyprawie do kresu wytrzymałości ziemi eksploratorem! Przeznaczony do roli globalnego konsumenta z braku środków stawia pierwsze kroki przeciw nowemu imperium. Narrację do takiego punktu prowadzi Kopaczewski.

Na granicy dwóch światów dochodzi do kolejnych rozbojów, które potęgują w głównym bohaterze, doktorancie Tomaszu, stany „podkurwienia” i chęć ucieczki od „tej hołoty”. Miejscowe *prole* elitę z Huty mają za „pedałów”, którzy nawet nie korzystają z aut, więc ich wejście do śląskiej utopii jest tylko przekłuciem lannerskiego balonu i nie zapoczątkuje żadnej rewolucji: „Załęże wejdzie tu bez postulatów. Z kijem i butem”. Tomasz wie, że „tłumu nie interesuje (...) nasz algorytm społecznych zmian, nasze prognozy zrównoważonego postępu”. Iskrą padającą na tę załęską beczkę prochu jest przypadkowa śmierć nastolatka, którą media przedstawiają jako morderstwo. Zamieszki, kończące się rewoltą ludzi zza muru, są kompozycyjną klamrą powieści – zabarykadowany w swoim mieszkaniu Tomasz jednak nie ucieka: „Mógłbym się wycofać. Wyjść. Wyjechać. Rzucić to w cholerę. Znow być na zewnątrz, przeciętny wśród nijakich. Ale Huta z przeciętnych robi obiekt pożądania”. Tomasz nie ucieka, czeka na barbarzyńców.

Dekadę po imaginacyjnym upadku imperium Pelca nastroju rewolucyjnego nie widać: złomiarz opiera się o swój wózek i gawędzi z właścicielem warzywniaka, kamieniarze ładują płytę nagrobną na przyczepę, dwie kobiety wychodzą z dziećmi na spacer – codzienne obrazki zza okien sunącego po torach błyszczącego Karlika. Ale to chyba (też) pozory. Jednak to ta dzielnica stolicy Górnego Śląska uchodzi za najniebezpieczniejszą. Nowa apokalipsa?

W lipcu 2016 roku Rada Miasta Katowice odrzuca wszystkie 136 uwag mieszkańców – na terenie Huty Baidon ma powstać nowa galeria handlowa. Wśród publiczności pojawił się napis „Nie – dla galerii, Tak – dla przemysłu”. Świat industrialny był jednak przewidywalny, wiedzą to Amerykanie z Pasa Rdzy, wyborcy Donalda Trumpa. Czyż szlak postindustrialny nie powiększa ekonomicznej przepaści?

Nie, nie da się wejść dwa razy w ten sam krajobraz, szczególnie na Górnym Śląsku, nawet po całkowitej rewitalizacji, chce powiedzieć Kopaczewski – przekształcająca się płaszczyzna estetyczna nie oznacza prze-

W lipcu 2016 roku Rada Miasta Katowice odrzuca wszystkie 136 uwag mieszkańców – na terenie Huty Baildon ma powstać nowa galeria handlowa. Wśród publiczności pojawił się napis: „Nie – dla galerii, Tak – dla przemysłu”. Świat industrialny był jednak przewidywalny.

obrażeń społecznych czy mentalnych. Człowiek dopasowuje się jedynie do nowoczesnych dekoracji, poprawnie funkcjonuje w nowym obwodzie, jednak żyje „w środowisku społecznym technicznie kompetentnym, lecz moralnie jałowym” (Anthony Giddens). Brytyjski socjolog sądzi, że w świecie późnej nowoczesności człowiek skazany jest na samodzielne zaprojektowanie swojej tożsamości, niezdeteminowane czynnikami zewnętrznymi. Zbiorowy projekt Pelca i Winklera skazany jest na niepowodzenie przede wszystkim dlatego, że udaje egalitaryzm, będąc w rzeczywistości regionalistyczną fasadą dla miejscowej śmietanki; śląski kostium staje się tylko alibi dla twórców Instytutu. Dzisiejszy koncept Nowego Ślązaka mógłby (gdyby łączyć go z wymową książki) świadczyć o sensownych korektach systemu – włącza w projekt także obszar świadomości poprzez pracę nad nowym językiem hybrydycznej przeciwieństwa społeczności. Może jednak dojść bardziej do zmiany przekonań niż tylko zewnętrznych stosunków? Rewolucja społeczna bez idei – tak jak w *Hucie* – staje się tylko ponurym odwetem. Z kolei rewolucja naukowa bez refleksji moralnej wiedzie w rejony równie niebezpieczne. Taka funkcjonalna biegnie prowadzi na przykład Michela Dzierżyńskiego, bohatera *Cząstek elementarnych*, wnuka śląskiego robotnika, do zapoczątkowania nowego ludzkiego gatunku „pozbawionego płci i nieśmiertelnego, który przezwycięży problem indywidualizmu, rozłąki i troski o przyszłość” (Michel Houellebecq). Jak się okazuje, większość artystów mających w pamięci kataklizmy XX wieku snuje scenariusze daleko bardziej apokaliptyczne, niż piszący 500 lat temu swoją słynną *Utopię* Tomasz Morus.

Kiedy robi się ciemno, kościół w Dębie gaśnie w blasku czterech wież. Tymczasem tłumy Elojów ciągną na zakupy, nie na barykady. Tym bardziej że Wielki George Clooney zaprasza do picia nespresso. Krzyczą reklamy, dzwonią tramwaje, szumią samochody. Jeśli nawet Morloki się zwołują, to jest tak głośno, że możemy tego nie słyszeć. ■

Krystian Węgrzynek

– polonista, zajmuje się literaturą śląską



Grażyna Barbara Szewczyk

Baron, Tkaczycy, Heiduczek i inni

68

Wykreowany w mediach wizerunek Janoscha, autora powieści o Cholonku, promocja przekładów jego książek dla dzieci i dorosłych oraz towarzysząca im ogromna liczba imprez spowodowały, że – paradoksalnie – twórczość wielu innych utalentowanych niemieckich pisarzy z rodowodem zabrzańskim szybko została zapomniana.

Fabryka Silesia
KWAARTALNIK



ARKADIUSZ ŁAWRYWIANIEC

69

Fabryka Silesia
KWAARTALNIK

Po roku 1922 Zabrze przeżywało rozkwit życia muzycznego, teatralnego i oświatowego. Powstała sze-roka oferta kulturalna adresowana do robotników największych zakładów przemysłowych, np. Huty Donnersmarcka czy Fabryki Lin i Drutu A. Deichsla, która przyczyniała się nie tylko do wzrostu czytel-nictwa – na łamach gazetek zakładowych zamieszczano wiele tekstów literackich – ale i do powstania środowiska literackiego. Opublikowana w 1926 roku przez nestora górnośląskiego ruchu kulturalnego Karla Kaisiga antologia poezji i prozy pt. *Oberschlesien in der Dichtung* zaznajamia z utworami kilkunastu autorów, w tym z młodzieńczymi strofami dwóch związanych z Zabrzem piszących robotników: Gerharta Barona i Wilhelma Tkaczyka.

Posępne ballady o Zabrzu

Urodzony w 1904 roku w Kędzierzynie Gerhart Baron był najstarszym dzieckiem z dziesięciorga rodzeństwa. Po nagłej śmierci ojca, szeregowego pracownika pocztowego, i przeprowadzce matki do Zabrza (miał wtedy 9 lat) zmuszony został do podjęcia pracy zarobkowej. Ukończywszy szkołę podstawową, kontynuował naukę w zakładzie zegarmistrzowskim. Aby jednak zarobić na swoje utrzymanie i móc wesprzeć młodszych braci, zdecydował się pracować jako robotnik w fabryce Deichsla. Mając 13 lat zaczął pisać wiersze, ujawniając nie tylko poetycki talent, ale i pasję czytania. W 1924 roku znalazł zatrudnienie w zabrzańskej Bibliotece Publicznej, gdzie z myślą o czytelniku robotniczym utworzył pierwszy na Górnym Śląsku specjalistyczny księgozbiór; w latach 1926–1933 kierował dwoma filiami Miejskiej Książnicy. Od 1927 roku był członkiem redakcji tygodnika „Oberschlesische Zeitung” oraz literackiego koła „Jungoberschlesien”, z którego wyłoniła się Wspólnota Młodych Poetów Górnego Śląska (Gemeinschaft Jungoberschlesischer Dichter). W tym samym roku wspólnie z młodszym o trzy lata zabrzaninem, poetą Wilhelmem Tkaczykiem, założył górnośląski oddział ogólnoniemieckiego Stowarzyszenia Proletariacko-Rewolucyjnych Pisarzy (BPRS). Udział w pracach związku spowodował zwolnienie go w 1933 roku z pracy. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności Baronowi udało się uniknąć aresztowania i osadzenia w obozie koncentracyjnym. W 1937 roku dzięki rekomendacjom monachijskiego wydawcy literackiego czasopisma „Das innere Reich” oraz redaktora „Der Oberschlesier” Karla Schodroka, z którym podjął współpracę w 1936 roku, uzyskał zatrudnienie w charakterze bibliotekarza w Urzędzie für Oberschlesische Landeskunde, po czym przeniósł się do Nysy, by w miejscowym archiwum rozpocząć pracę nad sporządzeniem bibliografii nyskiego powiatu i starodruków. W czasie II wojny światowej powołany do Wehrmachtu; w marcu 1945 roku został ciężko ranny i dostał się do amerykańskiej niewoli. W 1946 roku ze statusem wypędzonego osiadł w Górnej Austrii, gdzie najpierw pracował w kilku zakładach przemysłowych, a od 1955 roku do emerytury na stanowisku archiwariusza w Linzu. Tam zmarł w 1978 roku, pozostawiając dość bogaty dorobek literacki, który do dzisiaj nie został uporządkowany, opisany i oceniony przez historyków literatury.

Silny związek z Górnym Śląskiem dokumentują jego wiersze z lat 20. i późniejszych, opublikowane w wielu antologiach. We wspomnianym zbiorze *Oberschlesien in der Dichtung* zwracają uwagę liryki (np. *Nachtgang*, *Nocny spacer*), w których charakterystyczne dla górniczo-hutniczego miasta budowle, dźwięki i barwy, kominy fabryczne, hałdy, szyby kopalniane, ogień hutniczych pieców i wznoszące się w górę dymy, odgłosy młotów czy wagonów z węglem wtopione są w firmament zimnego, nocnego nieba i połączone refleksją wędrującego samotnie na nocną szychtę poety. W poezji utrwalającej atmosferę miasta, pulsującego rytmem ciężkiej pracy, zwracają uwagę starannie dobrane słowa i metafory, uwypuklające kontrasty, ale także wyrażające osobiste przeżycia. Gerhart Baron, odcinając się od idealizującej krajobraz miasta poezji epigonów romantyzmu, sięga do języka prostego i wyławia z rzeczywistości sceny ponure, dramatyczne i zarazem niezwykle. Tak jest np. w wierszach dedykowanych młodemu robotnikom (*Lied der jungen Arbeiterinnen*, *Oberschlesisches Mädchenlied*) czy w balladach o ukochanym Zabrzu (np. *Die Ballade von der Stadt* czy *Gesang von der Kohlenstadt*). Marzenia dziewcząt pracujących w hali fabrycznej, ich sny o szczęściu, małych radościach i wolności, w które uciekają przed monotonią i móżdżem pracy, pozbawione są nadziei na spełnienie; ich twarze – pozbawione blasku oczy, blade policzki i suche wargi – pokazują prawdziwy stan rzeczy i brak perspektyw na jakąkolwiek zmianę.

W balladzie o mieście odnajdujemy kilka szczegółów topografii Zabrza, np. szeregi domów robotników, tory tramwajowe, bramę prowadzącą do Huty Donnersmarcka, koksownię, ale także wieżę ciśnieniową czy płonącą hałdę, a na ich tle pracujących robotników, ojca rodziny zmierzającego na nocną szychtę, spracowaną starą matkę i tysiące wyrastających w tym krajobrazie biednych dzieci. Jak pisze Baron,



Wilhelm Tkaczyk: „Byłem drobnym czternastolatkiem. Wypluła mnie szkoła i od razu połknęła mnie Fabryka Lin i Drutu Adolfa Deichsla (...). Wiedziałem, że byłem człowiekiem, kiedy pracowałem, i byłem motłochem, kiedy strajkowałem. Ale chciałem być poetą”.

„twarde dłonie ludzi” zwinęte są „ze złości w pięść”, starają się stawić opór miastu, w którym „wycie fabrycznych syren, szarość i ogromna ilość pyłu węglowego” przypominają „zwierzę”, bestię atakującą i mordującą ciężko pracujących i wycieńczonych z wysiłku ludzi.

W poezji zabrzańskiego twórcy nie ma, jak u Janoscha, opisów zwyczajów Górnolazaków czy refleksji o ich tożsamości; zastępują ją obrazy ciężkiej pracy, pod ziemią i w hucie, a także wstrząsające relacje o powtarzających się śmiertelnych wypadkach górniczych i tragediach osieroconych rodzin. Opowiadając o nędzy śląskiego robotnika, poeta nie wskazuje bezpośrednio na winnych sytuacji, wciela się raczej w rolę kronikarza czasu, niczego nie zatajając ani nie upiększając. Nawet kiedy ucieka myślą w przestrzeń wiejskiej natury, nigdy nie szkicuje idyllicznych obrazków.

Wiersze „szare jak ciężki, mokry piach”

Wilhelm Tkaczyk urodził się w 1907 roku w Zabrzu przy dzisiejszej ul. Pokoju, był dzieckiem prostej robotnicy przybyłej do miasta w poszukiwaniu pracy, która go sama wychowywała. Po ukończeniu szkoły podstawowej przy dzisiejszej ul. Grunwaldzkiej rozpoczął najpierw naukę w zawodzie krawieckim, a mając niespełna 15 lat jako robotnik w Fabryce Lin i Drutu Deichsla, gdzie panowały niezwykle trudne warunki pracy i gdzie zetknął się z grupą starszych, doświadczonych wyzyskiem i biedą górnolazkich robotników. Wtedy zrodziła się jego postawa buntu i marzenie o tym, by móc zostać pisarzem. Wprawdzie zdobył stanowisko maszynisty, jednak strajk, w którym wziął udział, położył kres jego karierze zawodowej.

W tym czasie poznał starszego o trzy lata Gerharta Barona. To on wprowadził Tkaczyka do kręgu literackiego Powszechnej Biblioteki Robotniczej i umożliwił publiczne recytacje jego wierszy, zachęcił do publikowania ich w gazetach socjaldemokratycznych, np. regionalnej „Arbeiterstimme” czy „Hindenburg Tageblatt”. Tkaczyk zadebiutował w 1924 roku (miał wtedy 16 lat). Jego dwa wiersze, nadesłane na konkurs poetycki autorów-robotników, zamieszczono w antologii Karla Brögera *Die jüngste Arbeiterdichtung*, zachwyciły wybitnego poetę Richarda Dehmela i zachęciły go do dalszych prób poetyckich. Zabrzański autor pisał o beznadziejności robotniczego losu językiem obrazowym i zarazem oszczędnym w słowach.

W 1926 roku dwa inne wiersze poety znalazły się we wspomnianej antologii Karla Kaisiga. Jeden z liryków zatytułowany *Firma Deichsel* nawiązuje do jego przeżyć z lat pracy w fabryce, pokazując, jak wyzyskiwany robotnik, pozbywając się złudzeń o możliwości pokonania przepaści klasowej, staje się buntownikiem i poetą walczącym. Pisał: „Byłem drobnym czternastolatkiem. Wypluła mnie szkoła i od razu połknęła mnie Fabryka Lin i Drutu Adolfa Deichsla (...). Wiedziałem, że byłem człowiekiem, kiedy pracowałem, i byłem motłochem, kiedy strajkowałem. Ale chciałem być poetą”.

Uczestnicząc w spotkaniach Jung- Oberschlesische Dichtergemeinschaft, Tkaczyk uczy się dyskutować z kolegami po piórze, uważając, że jedynie autentyczność literackich obrazów posiada siłę oddziaływania. W utworze *Fron oder Sport (Pańszczyzna albo sport)* z 1930 roku pisze o swoich wierszach, że „są szare jak ciężki, mokry

piach, przesuwający się między palcami”, wierząc, iż jedynie więź poety z rzeczywistością podkreśla społeczną wymowę poezji. Podobnie jak Gerhart Baron, przeciwstawia się idealizowaniu świata pracy i buntuje przeciwko bezsilności i pasywności śląskiego robotnika. Najbardziej oburzają go podziały klasowe i uprzedmiotowienie mas pracujących; poszukując nowych form wypowiedzi, sięga do wzorów liryki Majowskiego, Maxa Herrmanna-Neisse, Johanna Bechera. W jego lirykach z lat 30. widoczne są nowatorskie środki wyrazu, oryginalne porównania i epitety, ironia i sarkazm. Zdaje sobie sprawę, że jego opozycyjna, rewolucyjna postawa może zagrozić osobistej wolności i pozbawić go środków do życia.

W 1933 roku zostaje razem z redaktorem naczelnym socjaldemokratycznego „Hindenburg Tageblatt” aresztowany. Tkaczykowi udaje się ukryć część nieopublikowanych wierszy i antyfaszystowskich tekstów przygotowanych do zbioru *Junge Lyrik*. Część została spalona przez przyjaciół, część zaginęła bądź została zarekwirowana. Jednak policyjne przesłuchania i rewizje domowe nie dają wystarczającej podstawy do oskarżenia pisarza o udział w nielegalnym ruchu. Tkaczyk zostaje zwolniony, otoczony jest jednak nadzorem. Dlatego często zmienia miejsce zamieszkania; przenosi się do Raciborza, Bytomia, by znów powrócić do Zabrze i kontynuować konspiracyjną działalność. Nie chce, jak większość pisarzy lewicowych, emigrować za granicę. Woli pracować jako zwykły robotnik; z czasem zdobywa – za namową Barona – wykształcenie bibliotekarza. W 1939 roku zostaje wysłany na front; po traumatycznych przeżyciach i niewoli sowieckiej decyduje się osiąść w 1946 roku we wschodnim Berlinie. Pracuje do 1972 roku na stanowisku bibliotekarza w Deutscher Kulturbund, publikując kilka tomów wierszy oraz tłumacząc z języka polskiego i czeskiego. Przekłada m.in. wiersze Mickiewicza, Tuwina, Staffa, Międzyrzeckiego, Bezruča, Wolкера i in. Kilka razy odwiedził rodzinne Zabrze, ostatni raz w lipcu 1970 roku. Zmarł 2 grudnia 1982 roku we wschodnim Berlinie.

Zarówno Gerhart Baron, jak również Wilhelm Tkaczyk należeli do grona górnośląskich poetów dystansujących się do tradycyjnej poezji tzw. Heimatdichtung i proponujących nowoczesny model pisarstwa robotniczego. W ich szeregach znaleźli się również Karol Mainka, Paul Habraschka (z Rokitnicy) i Josef Wiesalla, lirycy dokumentujący trud robotniczej pracy i krytykujący niesprawiedliwe stosunki społeczne.

Z „podwórka bez słońca”

Werner Heiduczek urodził się 24 listopada 1926 roku w Zabrzu, w rodzinie elektryka. Rodzice wraz z pięciorgiem dzieci mieszkali w domu należącym do huty (Haldenstrasse 18), natomiast „ukochana babcia” przy dzisiejszej ul. Wolności, w pobliżu hotelu Admiralspalast. Jako uczeń szóstej klasy gimnazjum, mając 17 lat, Heiduczek skierowany został do jednostki obrony przeciwlotniczej, a potem do batalionu piechoty w Żaganiu. Po wojnie osiadł w Halle, gdzie ukończył uniwersyteckie studia pedagogiczne i gdzie pracował jako nauczyciel.

Heiduczek jest autorem kilkudziesięciu utworów literackich, opowiadań, sztuk teatralnych, baśni i anegdot, książek dla dzieci i powieści dla dorosłych. Najśłynniejsze z nich to przełożone na język polski *Pożegnanie z aniołami* (1968) i *Śmierć nad morzem* (1977). Druga z powieści ukazała się po licznych skreśleniach i ingerencji cenzury, powodując wykluczenie pisarza z literackiego ruchu w NRD. Jesienią 1989 roku Heiduczek przyjechał do Polski, zatrzymując się w Warszawie, Katowicach i Zabrzu, wędrując śladami swojego dzieciństwa i śladami zmarłego w 1939 roku starszego brata we Wrocławiu. Swoje wrażenia i wspomnienia z zabrzańskiego dzieciństwa utrwalił w opublikowanej w 2005 roku autobiografii *Schatten meiner Toten* (*Cienie moich zmarłych*) oraz w eseju o Zabrzu, który ukazał się w zbiorze *Im gewöhnlichen Stalinismus. Meine unerlaubten Texte* w 1991 roku (*W czasach stalinizmu. Moje zakazane teksty*).

Przywołując zapamiętane sceny z życia rodzinnego, autor poświęcił wiele uwagi rodzicom, dziadkom i rodzeństwu, ale również postaciom, które odegrały ważną rolę w jego latach szkolnych (uczęszczał do gimnazjum Królowej Luisy). Bogate w szczegóły obrazy rodzinnego miasta z lat 30., dramatyczne losy jego bliskich (rodzice przyjechali do Halle dopiero w 1953 roku), opisy Zabrze podczas II wojny światowej pozwalają zagłębnić za kulisy niezwyklej biografii pisarza. W przeciwieństwie do nawiązujących do biograficznych przeżyć tekstów Janoscha, gdzie fikcja przemieszana jest z faktami, Heiduczek bardzo starannie obudowuje swoje opowieści materiałami źródłowymi, notatkami, fragmentami listów i urwkami z dziennika brata. Podkreśla też, że wprawdzie dziadkowie byli prostymi górnikami i analfabetami, matka jednak zadbała o wykształcenie trzech synów; wszyscy uczęszczali do gimnazjum i na lekcje muzyki. Sama zmuszona była do ciężkiej całonocnej harówki w sklepie spożywczym w Biskupicach, pracując nawet w soboty, podczas gdy ojciec, awansujący z czasem na stanowisko mistrza w Hucie Don-

FIRMA DEICHSEL

Ich war ein kleiner Vierzehnjähriger.
Die Schule spie mich aus und schon
verschluckten mich:
Adolf Deichsels Drahtwerke und Seilfabriken.
Ich habe geträumt und
Jahre versäumt.
Bedeckt von Teer und Öl,
in Lärm und Gestank, zerrissen,
ein kleiner, blasser Junge,
träumte ich:
mit Kommerzienrätstöchtern Tennis zu spielen,
mit Gymnasialen Gedichte zu lesen.
Der blondbärtige
Doktor klopfte mir auf die Schulter,
die holdselige,
samtgekleidete Tochter lächelte mir zu.
Heute rauche ich
eine Zigarette mir an
und denke über den Betrug nach.
Ich war ein Neunzehnjähriger.
Nicht mehr so dumm wie früher.
Ich wußte, daß ich Volk war,
wenn ich arbeitete,
und Pöbel, wenn ich einmal streikte.
Ich wollte aber ein Dichter sein.
Da ließ ich lachend die Fabrik und ging
Berlin zu.
Ich hoffte nicht sehr viel, doch auch
die kleine Hoffnung war ein Selbstbetrug.

20



Werner Heiduczek:
„Hindenburg/Zabrze
prześladuje mnie (...).
Starzejący się człowiek
marzy o dzieciństwie (...).
Kiedy myślę o moich
najwcześniejszych latach,
przypomina mi się podwórko
bez słońca i długa ciemna
sień. Hindenburg stał się
Zabrzem, ale wiele z tamtych
lat pozostało”.

nersmarck, mógł cieszyć się wolnym czasem. Heiduczek wspomina obchodzone w domu święta Bożego Narodzenia, zasłyszane historie dorosłych o zjawach i górnośląskich duchach, pisze o zabrzańskich Żydach, o wstrząsającym losie właściciela dużego sklepu, podpaleń synagogi, a także o roli katolickiego Kościoła i swoim spowiedniku, księdzu Tomeczku, z którym korespondował w 1946 roku, poszukując kontaktu z rodzicami. Pisał: „Hindenburg/Zabrze prześladowuje mnie. I gdybym miał powiedzieć, czy miasto to wraz z upływem lat staje się bliższe bądź bardziej odległe, musiałbym wyznać, że sam nie wiem. Ale starzejący się człowiek marzy o dzieciństwie (...). Kiedy myślę o moich najwcześniejszych latach, przypomina mi się podwórko bez słońca i długa ciemna sień. Hindenburg stał się Zabrzem, ale wiele z tamtych lat pozostało”.

Heiduczek jest niestety pisarzem nadal nieodkrytym przez polskich czytelników, zapomniane są nie tylko wydane przed laty jego dwie powieści, niedostępna pozostaje także jego autobiografia, którą czyta się jak niezwykłą opowieść, zapominając, że jest narracją opartą na faktach. ■

Grażyna Barbara Szewczyk

– profesor, germanistka, pracuje w Zakładzie Kultur Krajów Niemieckojęzycznych i Skandynawskich na Uniwersytecie Śląskim

Wilhelm Tkaczyk

Wiersze

Pańszczyzna lub sport

Do tramwaju wsiadali synowie z lepszych sfer,
Z teczkami na książki, w kolorowych czapkach
Jechali do domu lub do szkoły.
Siedziałem na krawężniku bosy,
Patrząc na bosą matkę, która nie siedziała,
lecz piach przerzucała razem
z innymi kobietami.
Synowie z lepszych sfer
Tymczasem już dorośli:
Nie jeżdżą już, tramwajem,
Jeżdżą kolejami
Ze Wschodu na Zachód.
Europe, Azję zjeżdżają, jak o tym przeczytałem.
A ja zastąpiłem matkę
i piach przerzucam i glinę.
Ciężka to praca, prawdziwe niewolnictwo,
Kiedy się dziesięciu przygląda dozorców.
Synowie z lepszych sfer pisują wiersze
Piękne i książki o swoich podróżach.
Mają na to wielkie białe arkusze
Papieru i najdroższe pióra.
Nie o podróży, lecz o mojej pracy
I o kolegach moich pragnę pisać.
Na to mam potargany zeszyt i
Połamany ołówek od Wollwortha.
Moje wiersze są niby szary,
ciężki i mokry piach, który wczoraj
przez palce mi przeciekał.
Wczoraj odłożyłem łopatę; wczoraj
położyłem się i ścisnąłem piach
w dłoni i pomyślałem: nie każdy
jest tak blisko ziemi.
Synowie z lepszych sfer
mają lżejsze pióro;
ale nie wszystko jest warte czytania, co piszą.

(Przełożył z jęz. niemieckiego Wilhelm Szewczyk)

Firma Deichsel

Byłem drobnym czternastolatkiem.
Wypluła mnie szkoła i od razu
polknęła:
Fabryka Lin i Drutu Adolfa Deichsla.
Marzyłem i traciłem lata.
Ubrudzony smołą i smarami,
skołatany hałasem i fetorem,
mały, blady chłopiec,
marzyłem:
aby zagrać w tenisa z córkami handlowego radcy,
aby czytać wiersze z uczniami gimnazjum.
Aby doktor z jasną brodą
poklepał mnie po ramieniu,
a jego piękna
ubrana w aksamitną suknię
córka uśmiechnęła się do mnie.
Dzisiaj zapalam papierosa
i myślę o moich złudzeniach.
Byłem dziewiętnastolatkiem.
Nie tak naiwnym jak kiedyś.
Wiedziałem, że byłem pospółstwem,
kiedy pracowałem,
i motłochem, kiedy strajkowałem.
A pragnąłem być poetą.
Wtedy porzuciłem z uśmiechem fabrykę i
poszedłem do Berlina.
Niewiele się spodziewałem, ale i
mała nadzieja okazała się złudzeniem.
Znalazłem licznych przyjaciół: głód, łaknienie,
Deszcz zabierał na spacer chęci,
Odpadały podeszwy; skończyło się
noclegownią.
Potem pojawił się słaby promyk słońca.
Promyk słońca?
Oprzytomniałem w fabrycznej hali.

(Przełożyła z jęz. niemieckiego Grażyna Barbara Szewczyk)

Ojczysta kronika

Fabryki, kopalnie,
Pochody: My chcemy chleba!
Wysoko nad naszą ziemią
Kominy kopcą i dymią
Milemu Bogu do nieba.
Cierpimy biedę!
Nawet niewiasty,
Wiejskie pobożnisie zostawiają
(Bogu) swoje świątynie,
Czekają, patrzą, co będzie,
Co stanie się, co przeminie.

Nic się jednak nie dzieje,
Nic się jednak nie stało.
W samochodach zielone mundury
i już koniec jest awantury.
Dymy minęły. Nowe gnają w dal.
I bunt przeminął. Więc skrucha i żal.

(Przełożył z jęz. niemieckiego Wilhelm Szewczyk)

Wilhelm Tkaczyk (1907–1982)

– poeta, tłumacz z języka polskiego, przed wojną związany
z ruchem robotniczym i socjaldemokratycznym, po roku 1945
zamieszkał we wschodnim Berlinie



Wilhelm Tkaczyk urodził się
w Zabrze przy dzisiejszej
ul. Pokoju, był dzieckiem
prostej robotnicy przybyłej
do miasta w poszukiwaniu pracy,
która go sama wychowywała.
Mając niespełna 15 lat został
pracownikiem fizycznym
w Fabryce Lin i Drutu Deichsla.

Plac Wolności
wino Rycerskie
nasza oracja

milicjanci
rekwirują
wojskowe kurtki
nóż
zeszyty marzeń

osiemdziesiąty piąty rok
niebieska nysa
nasze miasto
drży za oknami

Pod szybem Maciej
dziewczyna
to nie moja dzielnica
ich trzech
honorowo
– odprowadź pannę i wróć
honorowo
solo

Bartkowi

Na Królewskiej
to nie była meta
przyjaciela dom
zawsze żarcie
w szarym papierze butelka
późno
– śpiemy ale wchodź!
Szeptem bo dzieci
do wierszy śledzie
za słowem dłonie
– pisz!
– żyj!
ulica Królewska jak Montmartre

Chłopakom z Janku

Pod Górnikami
słoneczniki na kieliszki
flaszki na melinie
czerwone framugi okna
granice
miast

pięści
brzeg
przez płot uciezka
park
staw
bezpieczny mrok

Bar Targowy
meta furmańska
cieple chrzczone piwo
na kocich łbach
nieruchome końskie kopyta

coś nie tak – tłuczone szkło

dwóch furmanów
zaciśnięte dłonie
czarne węglem
baty tną
krew

bo coś nie tak – tłuczone szkło

uczciwie
o co?
Ona?
On?

targowy bar

Pijemy z Gustawem piwo
górnica łaźnię
dopadła starość
oswajamy mrok
na łańcuszkach
dekoracje
łachy z hajerami
gryzą ziemię
camele bez filtra
smakują jak sporty
o siódmej przy starej cechowni
z tramwaju wysiądzie Kudłaty
rozwinie falistą tekturę
zasłoni okna
i nasze niewiary
Królowa Luiza
kusi do świtu
jutro przyjdą
sprawdzić
co zmartwychwstaje

Na Piekarskiej
miałem kumpla
jego babcia
znała Janosza

koparki
buldożery
deszcz sadzy

Gola ma okno
z domu na Piekarskiej
nie ma po co
przez nie patrzeć
oślepto
nie myte
w sobotę

Zbigniew Stryj

Wiersze

Zbigniew Stryj

– aktor, reżyser, autor sztuk scenicznych, zastępca
dyrektora ds. artystycznych Teatru Nowego w Zabrzu

Piotr Hnatyszyn

„Idealizowana podróż przez kopalnie”. I okolice

Kim był człowiek, po którym zostało grubo ponad tysiąc zdjęć Górnego Śląska? Carl Louis Max Steckel urodził się 26 maja 1870 roku we Frankfurcie nad Odrą, w rodzinie ewangelickiej. Jego rodzicami byli mistrz krawiecki Carl August Steckel i Louise Wilhelmine Steckel z domu Schüler.

78



MAX STECKEL (MUZEUM MIEJSKIE W ZABRZU)

Most zsypowy przy szybie Glückauf kopalni Królowa Luiza

We Frankfurcie nad Odrą ukończył z dobrymi wynikami szkołę powszechną, a następnie przez trzy lata uczył się zawodu u miejscowego malarza akademickiego i fotografa nadwornego Christiana Steinla. W wieku 18 lat Max Steckel (tego właśnie imienia używał przez całe życie) wyruszył w podróż po Niemczech i praktykował kolejno u różnych fotografów, zatrzymując się na półtora roku w Hanowerze. Tam zainteresował się działaniem lamp błyskowych, skonstruował pierwszą swoją lampę i w wieku 20 lat poprowadził wykład o fotografowaniu przy użyciu takich lamp.

Maszyny i zwierzęta

W 1891 roku przyjechał na Górny Śląsk, na którym pozostał przez pół wieku. Pierwszym górnośląskim miastem, w którym zamieszkał, była Królewska Huta (dzisiejszy Chorzów), gdzie przebywał już od pewnego czasu jego starszy o dziewięć lat brat Paul August Richard. Tam na początku następnego roku Max i Richard Stecklowie objęli zaniedbane „Atelier Ogrodowe”, a w 1896 roku przeprowadzili się do kamienicy wybudowanej przez Maxa przy Girndstrasse 2 (ul. Jana III Sobieskiego). Na przeszklonej części poddasza urządził atelier fotograficzne. Współpraca braci trwała najprawdopodobniej do 1903 roku, kiedy to Richard opuścił Królewską Hutę i wyprowadził się w nieznanym nam kierunku.

Z reklamy „Photographisches Atelier Steckel” z 1893 roku dowiadujemy się, że firma ta polecała wykonywanie portretów (w tym naturalnej wielkości), fotografowanie dzieci, zdjęcia grupowe, fotografie architektury, maszyn, tematów przemysłowych oraz zdjęcia wnętrz. Ponadto wykonywała nikielowe, srebrne, złote (bądź z materiałów imitujących te metale) broszki z fotografiami.

Fotografowanie maszyn i przemysłu stało się szybko jedną z dwu specjalności Maxa Steckla. Drugą było fotografowanie dzikich zwierząt. I o ile kopalnie i huty miał na miejscu, to chcąc fotografować zwierzęta w ich naturalnym środowisku, musiał dużo podróżować.

Poza lasami w okolicach Pszczyny, Sławięcic i Tułowic wielokrotnie wyjeżdżał w Tatry, gdzie swój zwierzyniec w Jaworzynie Spiskiej miał jego protektor, książę Christian Kraft von Hohenlohe-Öhringen. Jeszcze dalsze wyprawy podejmował do Prus Wschodnich i na Mierzęję Kurońską, a w 1910 roku do Bułgarii i Stambułu. Ich efektem były setki fotografii, z których 266 wykorzystano w sześciotomowym dziele *Lebensbilder aus der Tierwelt (Obrazki z życia świata zwierząt)* wydanym w latach 1908–1912 w Lipsku. Fotografie Maxa były często nagradzane na wystawach Związku Niemieckich Fotografów. Jego osiągnięcia w portretowaniu dzikich zwierząt w ich środowisku naturalnym były na tyle znaczące, że w zamieszczonym w 22. tomie *Meyers Grosses Konversations-Lexikon* hasło „Tierphotographie” (fotografia zwierząt) wymieniono go jako jednego z pionierów tego typu działalności.

Górnik w błysku magnezji

W powszechnej jednak świadomości Max Steckel to przede wszystkim fotograf górnośląskiego przemysłu, ze szczególnym uwzględnieniem górnictwa. Pierwsze znane nam jego fotografie o tej tematyce wykonane zostały na zlecenie Zjednoczonych Hut Królewska i Laura obchodzących w 1896 roku 25-lecie działalności. Wśród 33 zdjęć zamieszczonych w przygotowanym z tej okazji albumie znalazły się dwa przedstawiające pracę górników w podziemiach kopalnianych. Dwa lata później, na wystawie w Magdeburgu, cała seria zdjęć wykonanych w podziemiach kopalnianych przy użyciu lamp błyskowych nagrodzona została brązowym medalem. Jeszcze w 1898 roku fotografie te ukazały się nakładem królewskohuckiego wydawnictwa R. Gieblera. Teczka zawierającą 41 grawiur zatytułowano *Vom Oberschlesischen Steinkohlen-Bergbau. 40 Ansichten vom Bergbau und dem Redendenkmal preisgekürnte Bilder von Max Steckel (O górnośląskim górnictwie węgla kamiennego. 40 widoków z górnictwa i pomnik Redena nagrodzone obrazy Maxa Steckla)*. Na 40 kartach reprodukowano 42 fotografie pokazujące pracę w kopalni, ze szczególnym uwzględnieniem pracy pod ziemią. Dodatkowo na 41. karcie ilustracja przedstawia pomnik hrabiego Friedricha Wilhelma Redena w Królewskiej Hucie. W teście znalazła się także broszura z krótkim opisem poszczególnych ilustracji.

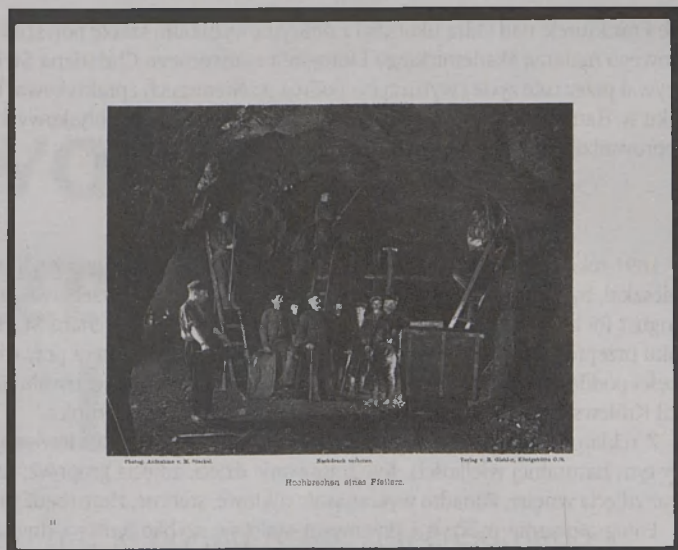
Tematem działania lamp błyskowych Max Steckel interesował się prawie przez całe życie zawodowe. Jednym z problemów przy fotografowaniu z taką lampą było pozbywanie się dymu powstającego w trakcie spalania się magnezji. Steckel opracował własną metodę, którą opatentował w Cesarskim Urzędzie Patentowym 29 kwietnia 1899 roku pod tytułem *Proces i mechanizm do usuwania dymu powstałego w komorze lampy błyskowej*.

Doświadczenia z magnezją nie zawsze były bezpieczne. W październiku 1905 roku proszek magnezjowy spowodował pożar w atelier Maxa Steckla przy Girndstrasse. Spłonęły franki, a całkowite szkody oszacowano na kilkaset marek. Do groźniejszego wypadku doszło 12 stycznia 1909 roku w podziemiach kopalni Georg (Jerzy) w Dąbrówce Małej. Ujście jego ładunku magnezji zostało zakleszczone przez jakiegoś robotnika i kiedy Steckel chwycił i podniósł laskę z 30 gramami magnezji, ta eksplodowała. Fotograf przez 10 minut był nieprzytomny, a leczenie poparzonej twarzy trwało ponad miesiąc.

Być może promując to właśnie wydawnictwo, Max Steckel zawitał (po raz pierwszy?) do Zabrza w marcu 1901 roku, gdzie na zaproszenie tutejszego Związku Fotografów Amatorów w kasynie huty Donnersmarck (dziś Teatr Nowy) zaprezentował dużą liczbę fotografii pokazujących pracę w kopalniach, „szczególnie jak to się przedstawia w kopalni Hohenzollern”. Były to zdjęcia różnych budynków, maszyn i urządzeń, wjazdu do szybu, pracy na przodku, różnego rodzaju oszalowań i wydobycia węgla.

W 1904 roku ukazała się książka inżyniera Friedricha Castnera *Vom toten Erz zum geflügelten Rade. Eine kurze Darstellung der Gewinnung und Verarbeitung des Eisens. Mit zahlreichen Abbildungen aus der Königshütte*. Ilustrowana jest ona 62 fotografiami

Grawiura z teczki
*Vom Oberschlesischen
 Steinkohlen-Bergbau.*
*40 Ansichten vom Bergbau
 und dem Redendenkmal*
preisgekrönte Bilder von Max
Steckel (Muzeum Miejskie
 w Zabrze). Fotografie
 ukazały się w roku 1898
 nakładem królewskohuckiego
 wydawnictwa R. Gieblera.



*Wielkie piece nocą w Hucie
 Donnersmarck* (Muzeum
 Miejskie w Zabrze).
 Max Steckel mieszkał
 w Zabrze w latach 1933–36,
 po przeprowadzce z polskiej
 części Śląska. Następnie
 przeniósł się do Gliwic.



Kopalnia Delbrück w Zabrze
 (Muzeum Miejskie w Zabrze).
 Albumowe teczki ukazały się
 w latach 1928–1929,
 a zamieszczone w nich zdjęcia
 wykonane zostały także
 w kilku kopalniach leżących
 po polskiej stronie granicy.



wykonanymi przez Steckla w hucie Królewska, pokazującymi kolejne etapy produkcji kół na potrzeby taboru kolejowego. Większość fotografii reprodukowanych tak w teczce z 1898 roku, jak i w książce Castnera wykorzystano powtórnie w dwóch pozycjach wydanych w 1908 roku. W *Kohlenbergwerk* zamieszczono 56 całostronicowych fotografii pokazujących pracę górników w kopalni węgla kamiennego, zaś w *Eisenhütte* znalazło się 58 zdjęć przedstawiających kolejne etapy cyklu produkcyjnego w hucie żelaza, od wydobywania rudy i produkcji koksu poczynając, a na różnego rodzaju produktach hutniczych kończąc.

W pierwszej połowie kwietnia 1912 roku Max Steckel przeprowadził się do Katowic, gdzie przy ówczesnym Friedrichsplatz 5 (obecnie Rynek) otworzył zakład fotograficzny. Cztery lata później, w październiku 1916 roku, przeprowadził się wraz z atelier na Sedanstrasse 6 (ul. Mielęckiego). Wraz z wybuchem I wojny światowej Steckel uaktywnił się w kolejnej dziedzinie, którą był fotoreportaż. Już w sierpniu fotografował wymarsz Reichswehry na front. Z kolejnych lat zachowały się zdjęcia z wizyt, jakie w Pszczynie, gdzie mieściła się w tym czasie niemiecka kwatera główna, odbywali m.in. car Bułgarii Ferdynand I oraz cesarz Austrii i król Węgier Karol I. W 1916 roku przez krótki czas przebywał jako cywil w okopach pod Noyon we Francji, przydzielony do 7 kompanii Landwehr-Regiment nr 12 (12 Pułku Pospolitego Ruszenia). Jego zadaniem było sfotografowanie pozycji wojsk Ententy, co uczynił przy pomocy aparatu o ogniskowej 142 cm. Po zajęciu Rumunii przez wojska niemieckie, w 1917 roku zgłosił się do pracy w niemieckim biurze paszportowym w Bukareszcie, co zaowocowało m.in. zdjęciami życia codziennego mieszkańców rumuńskiej stolicy.

Czarne diamenty

Kolejne fotoreportaże powstały w burzliwych na Górnym Śląsku latach 1919–1922. W maju 1919 roku fotografował wielką manifestację na katowickim Rynku, w czasie której zebrani protestowali przeciwko propozycjom traktatu wersalskiego przyznającym część Górnego Śląska Polsce. Dalsze wydarzenia dokumentował zimą 1920 roku. Najpierw 18 stycznia na tymże Rynku żegnano wojska niemieckie opuszczające teren plebiscytowy. Następnie w lutym po Friedrichstrasse (ul. Warszawska) przemarszowały wojska francuskie wkraczające do Katowic.

W okresie poprzedzającym plebiscyt na Górnym Śląsku Steckel wraz z żoną Theophilą, śpiewaczką oratoryjną i koncertową, zaangażowali się w działania mające na celu pozostanie obszaru plebiscytowego w państwie niemieckim. Max pisał teksty piosenek, do których jego żona komponowała muzykę. Za swoją działalność w okresie plebiscytowym uhonorowany został odznaką „Schlesischer Adler” pierwszej i drugiej klasy. Świadczy to o tym, że dążeniom Polaków przeciwstawiał się również z bronią w ręku. Mimo że znaczna część Śląska przypadła Polsce, Stecklowie pozostali w polskich już Katowicach. Max najpierw fotografował objęcie Górnego Śląska przez Polskę w czerwcu 1922 roku, a następnie pogrzeb pierwszego wojewody śląskiego Józefa Rymera w grudniu tegoż 1922.

Co najmniej od połowy lat 20. przygotowywał album kopalń i hut w 120 obrazach pt. *Czarne Diamenty Górnego Śląska*. Ostatecznie zamiast 120 teczka, znana jako *Czarne Diamenty. Zdjęcia artystyczne górnośląskich kopalni węgla wraz z tekstem wydawcy* (wersja polska), bądź też jako *Schwarze Diamanten. Kunstblätter mit Begleittext aus dem Oberschlesischen Steinkohlenbergbau* (wersja niemiecka), zawiera jedynie 31 ilustracji, które wydrukowano na 21 tablicach. Albumowe teczki ukazywały się w latach 1928–1929, a zamieszczone w nich zdjęcia wykonane zostały w kilku kopalniach leżących po polskiej stronie granicy.

Swego rodzaju zamknięciem tematyki górniczej w twórczości Steckla był film z przezrocza zatytułowany *Schwarze Diamanten*, nakręcony na bazie fotografii wykonanych przez niego w latach 1894–1936. Jego pierwszy pokaz odbył się w Sali Marmurowej restauracji Maxa Stadlera w Zabrze 5 czerwca 1936 roku. W mieście tym mieszkał od 1933 roku, kiedy to opuścił Polskę i przeprowadził się na niemiecką część Górnego Śląska. Opis 101 fotografii wykorzystanych w filmie zamieścił w towarzyszącym mu przewodniku: *SCHWARZE DIAMANTEN. Preisgekrönte Bilder vom Steinkohlen-Bergbau in Oberschlesien. Aus eigener Arbeit und Erfahrung von 1894–1936 zur einer idealen Grubenfahrt mit begleiten Text zusammengestellt von Max Steckel* (*Czarne Diamenty. Nagrodzone zdjęcia z górnictwa górnośląskiego. Z własnych prac i doświadczeń z lat 1894–1936 idealizowaną podróż przez kopalnię zestawil Max Steckel*). W filmie zagrały: wylot Głównej Kluczowej Sztolni Dziedzicznej w Zabrzu i kopalnia Królowa Luiza (w scenie przedstawiającej splukiwanie piasku przy użyciu monitorów wodnych przy szybie Carnall).

Poczynając od 1898 roku Max Steckel wydawał pocztówki z reprodukcjami własnych zdjęć. Było wśród nich kilka serii o tematyce górniczej, poza tym widoki miast, głównie tych, w których kolejno mieszkał, osiedli patronackich (w tym przede wszystkim Giszowca), no i oczywiście zwierząt.

Kilka miesięcy po premierze filmu Steckel przeprowadził się do Gliwic, gdzie w połowie października otworzył zakład położony przy Germaniaplatz 9 (pl. Piastów). Jeszcze przed listopadem 1938 roku zamieszkał przy głównej ulicy Gliwic. Nowe atelier mieściło się w kamienicy przy Wilhelmstrasse 4 (ul. Zwycięstwa 12). Pomiędzy czerwcem 1941 a lutym 1942 roku mieszkał w Łosiowie w powiecie brzeskim, gdzie co najmniej od 1921 roku był właścicielem domu.

Pod koniec wojny lub krótko po jej zakończeniu Max Steckel opuścił Śląsk. Zmarł 12 grudnia 1947 roku w Unterröblingen am See (Saksonia-Anhalt), w ówczesnej radzieckiej strefie okupacyjnej Niemiec. ■

Piotr Hnatyszyn

– historyk, pracuje w Muzeum Miejskim w Zabrzu

Ingmar Villquist

Fascynacja i strach

Upadłowa

Fabryka Silesia
KRAKÓW

Fabryka Silesia
KRAKÓW

B. W. Linke
1937

Oglądam akwarele Bronisława Linkego (1906–1962) z cyklu *Śląsk* w katalogu wystawy *B. Linke. Inny Śląsk. Inna rzeczywistość*, zorganizowanej w 2012 roku w zabrzańskim Muzeum Górnictwa Węglowego. Powstawały w latach 1936–1938, cykl *Śląsk* tworzyło 30 prac, z których ocalało sześć, osiem znamy ze zdjęć wykonanych przez Linkego, inne z rekonstrukcji Zbigniewa Włodarskiego.

Trafił na Śląsk wiosną 1936 roku, zaproszony przez Michała Grażyńskiego, podobnie jak Rafał Malczewski, Stanisław Szukalski i Stanisław Ignacy Witkiewicz. Linke z Witkacym, w maju 1936 roku, zwiedzali Katowice, Chorzów, Bielsko i Bytom. Linke chłonał nowo poznawany świat. Anna Manicka w tekście do katalogu wystawy cytuje fragment listu S.I. Witkiewicza do żony Niny. Witkacy pisał: „Tu wycieczka nocą do cynkowni (proponują), Linke nie wylazi z hut i biedaszybów”.

Wbrew politycznej poprawności

Czego spodziewał się mecenas zamawiający malowane wizerunki nowego, polskiego Śląska? Czy znał wcześniejsze prace z cyklu *Wojna* albo *Miasto*, ze skrajnie radykalną diagnozą społeczną ukazującą samo dno ludzkiej egzystencji, nędzę i zafłamanie każdej politycznej opcji, upodlenie jednostki zapętlonej w terror historii; osaczonej przez Miasto – bezwzględny, krwiożerczy twór kapitalizmu, które jak gigantyczny zoolog hoduje miliony otępiałych biedą, bezrobociem, beznadzieją. *Miasto* zapowiadało idealną pożywkę dla nowych ideologii śmierci.

Wizja Linkego nie przystawała do żadnej z opcji politycznych. Czego oczekiwano po nim na Śląsku? Może było to tylko odfajkowanie kolejnego punktu w projekcie zamawianych artystycznych kreacji o polskim Śląsku, może próba cywilizowania percepcji wyobrażeń o nowym województwie śląskim; chyba to drugie, bowiem zestaw zaproszonych artystów do translacji poprzez sztukę wizerunku Śląska, czyli Witkacego, Szukalskiego, Linkego, twórców ostentacyjnie zbuntowanych, osobnych, o radykalnych poglądach na sztukę i jej społeczną funkcję, można uznać za pewien eksperyment. W końcu były to, jakbyśmy dziś powiedzieli, zamówienia publiczne przeznaczone do szerokiej publicznej prezentacji. Zamawiający chyba nie zakładali, że powstaną prace propagandowe podług śląskiej triady: Wiara, Praca, Rodzina. Tytuły akwarel Linkego określają tematykę, m.in.: *Statystyka produkcji*, *Piec*, *Hałda*, *Walcownia*, *Król węgla*, *Pozdrowienie z walcowni*, *Biedaszyb*, *Wlewnice*, *Ulica (Bytom)*, *Sortownia*, *Powstańcy*, *W hucie*, *Mieszkania w hałdach*, *Upadowa*, *Skarbnik*. Artysta podjął „zadany” temat, ale jak zadziwić musieli się ci, którzy oglądali te akwarele po ich ukończeniu.

Jaka była powszechna percepcja w Polsce Śląska w latach 30.? Niewiele się różniła od dzisiejszej: szarobury, nieludzki świat, zniemczenie, dymy, kopalnie, huty, orkiestry górnicze, powstania, piwo, gwara, brak kultury, ale religijność (katolicka), kult pracy i rodziny. Dziś dodalibyśmy opcję niemiecką, dziadków z Wehrmachtu, RAŚ. Wtedy, tuż przed wojną, były ważniejsze sprawy na Śląsku, w Polsce od dywagacji, czy wizja jakiegoś artysty odpowiedziała na polityczne zamówienie.

Śląsk pokazano w salach Urzędu Wojewódzkiego w Katowicach, później miał być ekspozowany w warszawskim Instytucie Propagandy Sztuki, ale do wystawy nie doszło, bo nie nadawał się na materiał dydaktyczny dla szkół. *Śląsk* pokazano w Salonie Koterby przy ulicy Kredytowej. Budził skrajne reakcje; podkreślano w recenzjach wartość artystyczną, oryginalność, wyklęczano się o przekaz ideowy, nie dostrzegając nowego czy innego obrazu Śląska stworzonego przez artystę. Chwalono jego patriotyzm, walkę z germanizacją, uważność na krzywdę robotników, wyzysk, krytykowano mieszczańskość, brak ideowości, pogardę proletariatu. Między wierszami wyczuwa się wrażenie, jakie wywarła wizja Śląska Linkego, mimo że była wbrew politycznej poprawności.

Na przekór mitom

Obraz nie przystawał (także i dziś) do zapotrzebowania na nową, bezpieczną ikonografię Śląska. Każda z zachowanych w oryginalnych fotografiach, rekonstrukcjach Włodarskiego prac Linkego rozprawia się z katalogiem pożądanych, wygodnych śląskich mitów. W akwareli *Statystyka produkcji* dosłownie rozjeżdża stalowymi kołami wagonika transportującego urobiony węgiel ciała leżących jak podkłady pod szynami czterech górników, ukazanych na tle „Tabeli produkcji węgla kamiennego w latach 1913, 1928... w milionach ton”. Czytamy tam, że województwo śląskie przodkuje w wydobywaniu węgla, bo wygrzebało z ziemi w 1928 roku 30,5 miliona ton, a Zagłębie tylko 7,6 miliona. Górnicy pod szynami; pół ludzie, pół stwory z ilustracji do jakichś lokalnych baśni czy podań, z otwartymi na brzuchach ranami, wybałuszonymi z wysiłku oczami, o wielgachnych głowach, rozcapierzonych palcach; nie ludzie, a materiał podkładowy, mięso do przemysłowego uboju. To prawie polityczna karykatura, publicystyczna prasowa interwencja w „sprawie”, krewna weimarskich grafik z lat 20. Tylko ci górnicy, te stwory, ukazane nie jak ofiary bezrozumnego wyzysku, ale jak co właściwie? Masochistyczni współuczestnicy kapitalistycznego obłądka? Bezrozum-

ne ofiary sprowadzone w otchłanie ziemi na rzeź w imię cyferek w tabelach wydobywania węgla?

Akwarela *Piec* mogłaby być ilustracją do baśni o strasznym, gigantycznym Wielkim Piecu, potworze o ludzkich i stalowych członkach, stojącym na jednej nodze, z uniesionymi ramionami, scalonym jak cyborg z płataniną rur, z wyrazem hedonistycznej rozkoszy wymalowanej na żabim obliczu, z którego trzewi, odbytu, arterii tryskają oślepiająco białe strugi surówki-lawy; rozkosz erupcji, Wielki Rozkoszny Spust wśród snopów iskier, orgiastyczne wydalenie płynnej stali; pomiędzy strugami płynnej surówki makabryczny taniec czterech szkieletów; hutników widm na usługach Wielkiego Pieca; zjawy z rentgenowskich klisz, prześwietlone żarem, z wyparowanym człowieczeństwem, niewolnicy nieustającej rozkoszy Wielkiego Pieca – bezsens Wielkiego Spustu; śląska baśń bez dobrego zakończenia i morału.

Oto *Król węgiel*, śląski Bóg z czarnego kruszcu, panujący od wieków pod ziemią i w umysłach ludzi; Bóg straszny i groźny, zachłanny na ludzkie życie, dzielący się swoimi skarbami za cenę bezwzględnej podporządkowania, Bóg nieustannie karzący, nakazujący i wymagający, ukazany przez Linkego z zatroskanym i szalonym obliczem, Bóg nieprzewidywalny, domagający się respektu i hołdu, *Król węgiel* roniący łzę, czuły na ból rytchów w nim nieustannie labiryntów i naskórkowych biedaszybów. *Upadowa* zaś jest jak karta współczesnego storyboardu do horroru science fiction klasy B, rozgrywającego się w kopalnianych czełusciach; przed wejściem do ukazanego w perspektywie chodnika obudowanego trzeszczącymi od ciężaru góry belkami, po lewej stronie siedzą na stalowym cokole dwa odczłowieczone stwory, których ciała, członki zespoliły się już na stałe z elementami maszyny wyciągającej z naprzeciwległego chodnika kolejne wagoniki, dwa cyborgi uwięzione w *Upadowej* już na zawsze podłączone do systemu rur, kabli, dźwigni, poranione i raniące same siebie, w symbiozie z sobą i obsługiwaną maszyną. *Upadowa* to zerwanie z kolejnym mitem; „tajemnicą” kopalnianych szybów i wyrobisk, migoczących górniczych lampek i dobrotliwego Skarbnika z długą, siwą brodą.

Wlewnice to kadr ujmujący fragment wnętrza huty stali; gigantyczna kadź spuszcza z siebie przez otwór w dnie strumień surówki; wlewa go do podstawionych pod nią siedmiu kadzi; ale te kadzie to siedem spotworniałych łbów z rozdziawionymi bezrozumnie gębami, do których wlewa się płynna stal; zatyka je, przelewa się na kamienną posadzkę; gęby dławia się gorącą lawą, żar wypycha im oczy na zewnątrz, ale widać, że są nienasycone, wierne i oddane koszmarnemu rytuałowi. *Serce* to już istne szaleństwo; w monsturalnej, mrocznej hutniczej





Król węgiel

hali, w centrum przedstawienia, pośród stalowych konstrukcji, pomiędzy wieżami hutniczych pieców spuszcających surowkę, płataniny nitowanych rur, torów kolejowych, zwrotnic, lejącej się wawozami płynnej stali wielkie, czerwone serce, pseudoanatomiczna wariacja na temat serca obłapianego przez zielonego stwora-potwora, z wielkimi zębiskami kłującymi serce, ramię potwora w stalowej zbroi, dłoń w błękitnej, zamszowej rękawicy zakończonej pazurami rozrywa serce do krwi; aorty, żyły serca połączone z rurami, przewodami pompują nieustannie krew w nieskończoną sieć rurociągów, napędzając hutniczą maszynę w oczekiwaniu na Wielki Spust, wielki bijący białym blaskiem płynącej stali Śląski Orgazm. Szaleństwo, herezja przeciw mitowi sakralizacji Pracy.

Lawa w Katowicach

Halda i Mieszkania na haldach (rekonstrukcja Włodarskiego) są spokojniejsze, o czytelnej, bezpiecznej metaforze haldy – matki, dającej schronienie, karmiącej, gdzie w wygrzebanych norach jest miejsce na intymność i odrobinę marzeń; tylko kto i co ma roić w tych norach? Dziwne białe stwory, dupowate plastusie – fantomy bez tożsamości zagrzebane na wieki w czarnym żużlu. *Powstańcy* (rekonstrukcja Włodarskiego) to projekt pomnika Powstańców Śląskich. *Pozdrowienie z walcowni* zaś (też rekonstrukcja Włodarskiego) mogłoby być polityczną agitką i dziś; centrum ówczesnych Katowic, noc, rozświetlone fasady budynków; gmach Teatru Śląskiego; zaraz skończy się spektakl; za teatrem widać zburzony kwartał, wywrócone tramwaje, barykadę... Na wzgórzu ponad miastem żarzy się ogromna walcownia, większa niż najwyższe budynki w mieście, spomiędzy żaren spływa na Katowice długi strumień lawy, niszczy wszystko po drodze, wzniesła pożary, rozżarzony biały pejcz zakończony ludzką pięścią wiję się przez miasto i kończy bieg na rynku, uderzając kułakiem z całej siły w bruk. Agitka – ku przestrodze plus narkotyczny odlot z Witkacym.

Przekrój (rekonstrukcja Włodarskiego), czyli widok domu z odjętą ceglana ścianą; piętro – kobieta w różowej sukience, stół, alkohol, w toalecie obok widać tylko czyjaś dłoń (pewnie męską) ciągnącą za spłuczkę; poniżej mrok, czerń i rentgenowska zjawia w kopalnianym chodniku. Życie – ktoś na kogoś pracuje, wykorzystywany, oszukany, nic nie wie, nie widzi, płonąc bielą w kopalnianych ciemnościach.

Skarbnik (rekonstrukcja Włodarskiego) to przyjazna akwarela, chyba jedyna taka w cyklu *Śląsk*; nasz poczciwy Skarbnik, z równie poczciwym śląskim obliczem, rozpycha sobą czarny górotwór, chroniąc dłonią górnik przed walącym się stropem chodnika. No i kolejna perełka: *Sortownia* (rekonstrukcja Włodarskiego); po obu stronach sunącej stalowej sortownicy stoją dwa dziwotwory z węgla o kwadratowych łbach, ostrych zębiskach, kłach, wylupiastych oczach, podobne do murzyńskich czarowników, afrykańskich demonów, długimi łapskami ściągają z sortownicy sunących po niej ciastowatych ludzików-górników o bezmyślnych obliczach, niektórych zgniatają, łamią członki, wrzucają do podstawionego wagonika, innym pozwalają jechać dalej, przybijając pieczęć zdatości do pracy. Jedni i drudzy odrażający; nie można się opowiedzieć po żadnej ze stron; sortownia po kres.

I wreszcie *Ulica (Bytom)* (rekonstrukcja Włodarskiego). Fasady dwóch graniczących z sobą kamienic w niemieckim wtedy mieście; czerwona i biała cegła, klinkier, szyldy i witryny z niemieckimi i polskimi napisami; swastyka i „Judenfrei cafe”; pusty tramwaj i wysoki na trzy piętra zielonobłękitny syfilityczny stwór wylaniający się na styku fasad kamienic. Dwa, trzy, a może więcej światów rozgraniczonych historią, plebiscytami, świadomymi i wymuszonymi wyborami.

Hefajstos z Huty Batory

Do śląskich akwrel Linkego wracam dziś po wielu latach, nie fascynują mnie tak jak dawniej, bo wiem o moim Śląsku więcej niż kiedyś; rozumiem zachwyt i przerażenie Śląskiem Linkego; ubierając swoje akwarele w taką formę, zdruzgotał propagandowe, wizualne kłamstwo o Śląsku, który do dziś budzi w powszechnym, naskórkowym odbiorze fascynację i strach – rodem z akwrel Linkego. W 1977 roku, w trzeciej klasie liceum, nasza szkoła zorganizowała wycieczkę mojej klasy do chorzowskiej Huty Batory. Pamiętam, jak staliśmy z Piotrem Naliwajką na wysokiej galerii, w wielkiej hali walcowni; ukrop i niewyobrażalny hałas, huk, od którego drżały płuca; w dole pośrodku hali stała ludzka samotna postać w grubym, skórzanym fartuchu, z nagimi ramionami, w butach ze stalowymi kapami. Potężnymi żelaznymi szczypcami postać chwytiała pojawiające się nie wiadomo skąd u jej stóp, wijące się jak węże, rozżarzone do białości, płonące jeszcze stalowe pręty; chwytiała ich końcówki w kleszcze, wykonywała nimi nad głową ósemkę i pewnie wkładała do otworu w jakiejś maszynie po swojej drugiej stronie, i tak bez przerwy; raz za razem, godzinami.

Postać tego mężczyzny w wielkiej walcowni, tego Hefajstosa, herosa, o skupionej twarzy i nadludzkiej woli pamiętam do dziś. Igrał z demonami ognia i stali jak mityczny heros, zespoleony z węzowiskiem białych prętów, które zdawały się wyrażać z jego dłoni; pokorne, okiełznane, ale czujne i czujające. Wystarczyłoby drgnienie ręki, lekkie zachwianie, a rozżarzony wijący się pręt oplóciłby go i skroił na skwierczące plastry. Gdyby wtedy obok nas stał Linke i oglądał tę scenę, byłby pewnie zauroczony. Jaki tytuł nadałby akwareli o samotnym poskromicielu stalowych, ognistych węży? ■

Ingmar Villqist

– dramaturg, reżyser, historyk sztuki

Marcin Mońka

Made in Silesia

Objechała chyba już wszystkie najważniejsze festiwale i targi designu. Zrobiono jej setki zdjęć. Stała się wręcz symbolem projektowania na Śląsku.

O czym mowa? O biżuterii z węgla katowickiej Pracowni bro.Kat. Pierścionki, wisiorki czy spinki do mankietów stały się przedmiotem pożądania nie tylko mieszkańców regionu.

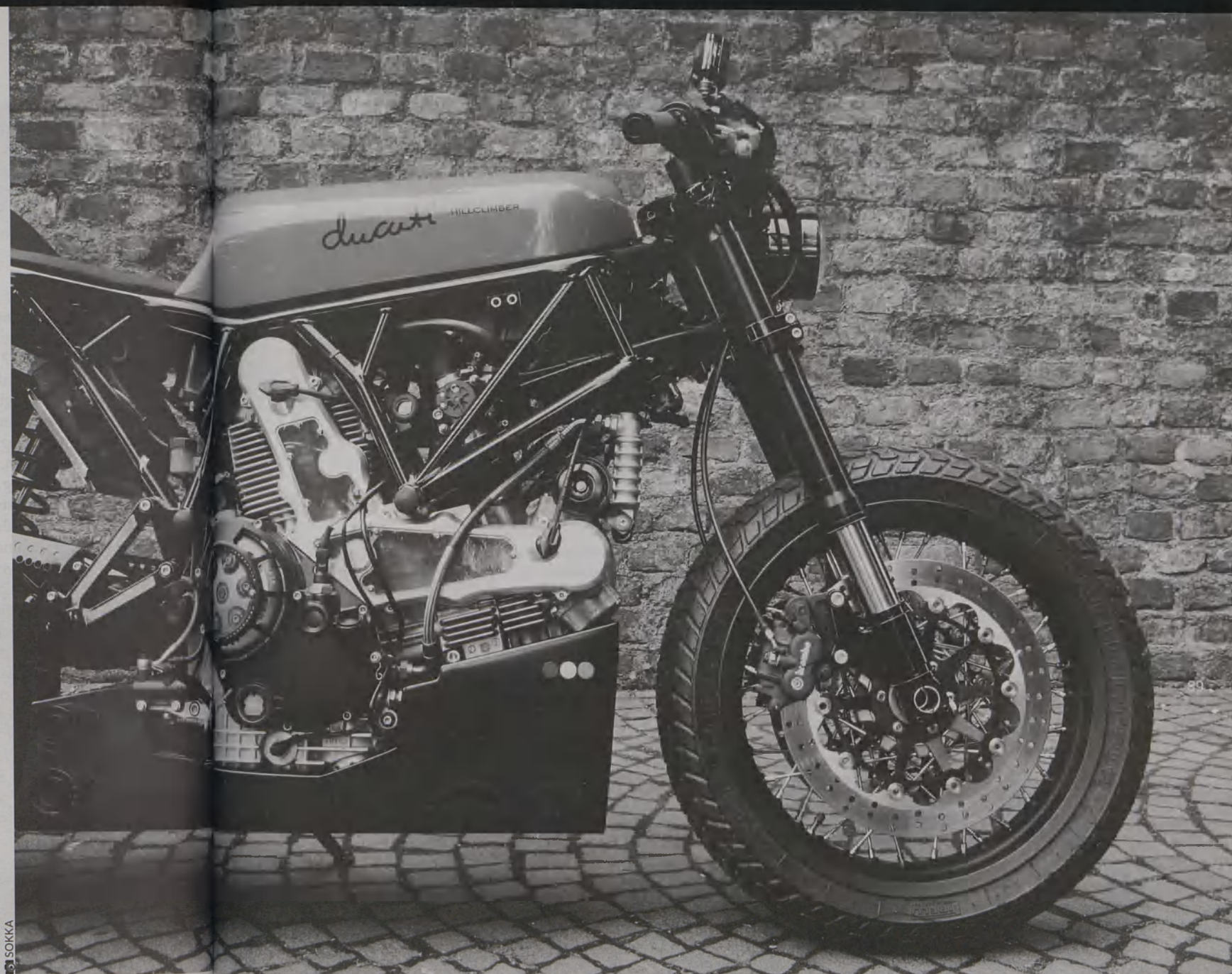
88

Romie Skuzie i Bognie Polańskiej udało się nie tylko stworzyć atrakcyjne i chętnie kupowane produkty – pokazały węgiel i „czarny Śląsk” w zupełnie nowym świetle. Wkład w kreowanie mody, czy wręcz rozbudzanie apetytu na obiekty ze Śląska mają także inni projektanci. Któż oprze się Sadza Soap, czyli mydłu w kształcie bryły węgla – szczególnie że jak głosi jedno z haseł: sadza odmładza. Sekret produktu, wymyślonego przez Martę Frank, tkwi nie tylko w efektownym wyglądzie, ale wykorzystaniu unikatowych właściwości węgla aktywnego. O fenomenie Gryfnie, które zaczynało jako profil na portalu społecznościowym, a jego założyciele: Klaudia i Krzysztof Rokselowie chcieli pokazać, że *ślonsko godka* jest „gryfno”, można by napisać osobny tekst. Projekt rozrósł się, a jednym z jego symboli stały się koszulki z atrakcyjnymi motywami graficznymi i śląskimi słowami. „Grubiorza”, „karlusa”, „szmaterłoka” czy hasła typu: „kaj sie ciśniesz”, „skocz mi na pukiel” noszą na T-shirtach nie tylko Ślązacy.

Długie trwanie

Przywołane przykłady to zaledwie wycinek z projektowego bogactwa regionu, jednak bardzo wyraziste, bo stymulujące rozwój nowego folkloru miejskiego. I choć samo słowo „design” wkroczyło do szerszego obiegu stosunkowo niedawno, projektowanie na Śląsku było obecne dużo wcześniej – tyle że określano je mianem wzornictwa przemysłowego. Irma Kozina, krytyczka sztuki, w książce *Ikony dizajnu w województwie śląskim* zauważyła, że w regionie seryjne wytwarzanie przedmiotów codziennego użytku, w połączeniu z reklamą i masową sprzedażą, ma długą tradycję. Zaś jednym z pierwszych zakładów przemysłowych, który zaczął działalność pod koniec XVIII wieku, była Królewska Odlewnia Żeliwa w Gliwicach. Stworzony w niej igielnik – w formie neogotyckiego krzesła – trafił na listę 10 śląskich ikon designu. W gronie tym znalazły się także m.in. motocykl katowickiej firmy MOJ, nazywany „śląskim Harleyem”, szybowiec Foka produkowany w Bielsku-Białej, długopis Zenith wytwarzany w Częstochowie czy serwis Asteroid projektu Jana Sylwestra Drosta dla Huty Szkła w Żabkowicach.

Fabryka Silesia
KWARTALNIK



W studiu Sokka bardzo ważną rolę odgrywa projektowanie pojazdów. Jeden z pomysłów to concept motocykla Hillclimber 62, nagrodzony w konkursie Concorso d'Eleganza Villa d'Este, organizowanym przez BMW we Włoszech.

Przez dekady, i to nie tylko w Polsce, dominowało modernistyczne przekonanie o decydującej roli funkcjonalności w projektowaniu. Współcześnie również design wynika z funkcji, ergonomii, ekonomii oraz formy, rozwiązuje problemy i ułatwia nam po prostu życie.

Najgorszym okresem dla wzornictwa stały się lata 80., gdy nie wdrażano do produkcji „zaprojektowanych” obiektów. Bo choć w Polsce, a więc i na Śląsku, zawsze mieliśmy mocnych grafików, o tyle projektowanie 3D kończyło się wraz z ukończeniem szkoły o specjalności wzorniczej. Przełom nastąpił po 1989 roku. Pierwsze próby polegały głównie na kopiowaniu zachodnich wzorców. Przez ponad dekadę coraz częściej zaczynamy się oswajać z terminem „design”, a w szkołach wyższych (także w katowickiej Akademii Sztuk Pięknych) rośnie pokolenie twórców, które po roku 2000 zmieni oblicze wielu polskich produktów, ma-

Fabryka Silesia
KWARTALNIK

rek, wydarzeń czy usług. Bo takie oczekiwania wobec projektantów ma zmieniający swój wizerunek Śląsk. Dziś wielu przedsiębiorców wie, że design po prostu jest opłacalny.

Cieszyński impuls

Momenty zwrotne? Jednym z najważniejszych było powstanie Zamku Cieszyn, który w roku 2005, jeszcze jako Śląski Zamek Sztuki i Przedsiębiorczości, stał się pierwszym regionalnym ośrodkiem designu w Polsce. Ta rewolucyjna inicjatywa uruchomiła lawinę wydarzeń. W odrestaurowanym zamku Habsburgów pojawiły się przedsięwzięcia takie jak „Śląska Sieć na rzecz Wzornictwa” czy „Regionalna Sieć Promocji i Transferu Technologii”. I wreszcie wydarzenie, które do dziś może uchodzić za chlubę regionu, czyli konkurs „Śląska Rzecz”. Tu jak w soczewce skupiają się wszystkie istotne zmiany zachodzące w regionie, zarówno w sensie społecznych oczekiwań, jak i recepcji pracy nad poprawą jakości życia.

– To jest konkurs nie na pomysły i idee, lecz na wdrożenia. Świadomość jest coraz mocniejszą stroną nas wszystkich. Nie musimy już mówić, że projektant jest istotny dla przedsiębiorców. Doceniamy rolę projektantów i sektora kreatywnego w budowaniu świadomości nowego Śląska i nowego lokalnego patriotyzmu. A ten nie jest oparty tylko i wyłącznie na sentymentach, lecz staje się ambicją młodych ludzi, by tworzyć nowy wizerunek regionu. Gdy mówimy o projektantach, to myślimy o firmach, patrzymy też na sektor publiczny. Jakość usług w dużym stopniu jest wspomagana przez projektantów. Gdyby nie oni, województwo śląskie w dalszym ciągu byłoby postrzegane przez pryzmat zanieczyszczonego środowiska i pewnego rodzaju tradycyjnej ludyczności – mówi Ewa Gołębiowska, dyrektorka Zamku Cieszyn i wieloletnia szefowa EIDD, czyli Europejskiego Instytutu Projektowania dla Wszystkich. Raz w roku dowodzona przez nią cieszyńska placówka wraz z ekspertami z całej Polski tworzy grono jurorskie, które ocenia kilkadziesiąt zgłoszonych projektów. Dziś laureatów konkursu jest już kilkudziesięciu, a wśród nich znajdziemy zarówno firmy produkujące bojowe wozy strażackie, jak i producentów kotłów, sprzętu budowlanego, sygnalizatorów świetlnych, twórców opakowań, sprzętu sportowego czy odzieży outdoorowej.

W 2005 roku nagrodzono dywan mohoheji!_DIA, stworzony przez Magdalenę Lubińską i Michała Kopaniszyń, czyli studio Moho Design. Trzy lata później ten sam obiekt otrzymał Red Dot Award, czyli najsłynniejszą nagrodę w środowisku projektowym, nazywaną „Oscarami designu”. Była to zarazem pierwsza Czerwona Kropka dla twórców pochodzących z Polski oraz kolejny punkt zwrotny w najnowszym śląskim wzornictwie. Mało kto wówczas przypuszczał, że już wkrótce wyróżnienia przyznawane w niemieckim Essen popłyną do Polski szerokim strumieniem. Wśród laureatów znaleźli się także twórcy wywodzący się ze Śląska bądź współpracujący z firmami i markami regionalnymi.

Moho Design to pracownia, która później przekształciła się w studio Code Design, w przyszłości nagrodzone kolejnym istotnym wyróżnieniem – Red Dotem w kategorii „Best of the Best”. Zaszczytnym tytułem wyróżniono w 2012 roku piekarnik „Zen” marki Amica.

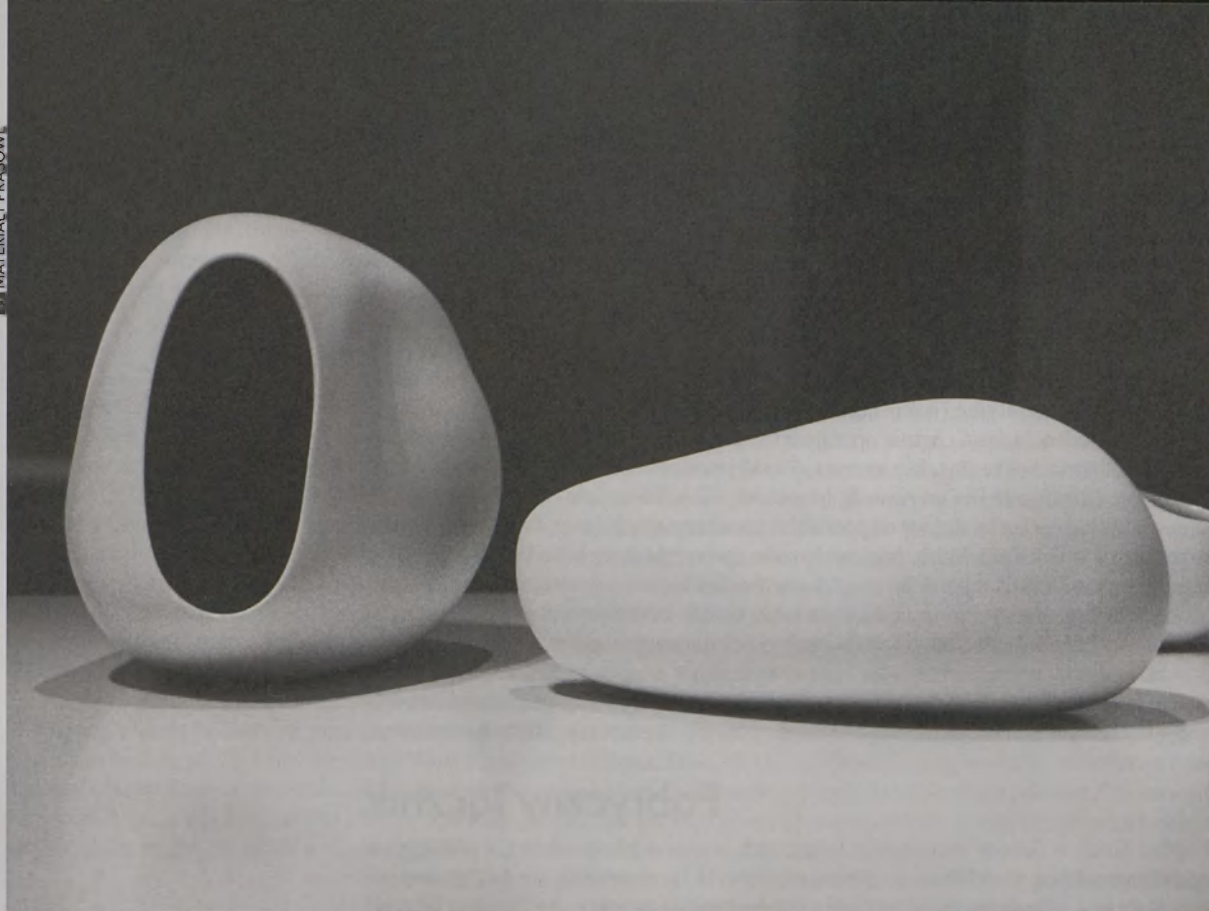
Klaster spaja

Code Design, Modelarnia Bogdana Kosaka, Paged Meble, Kafti i wiele innych śląskich projektantów, marek i producentów współtworzyło przez kilka lat Śląski Klaster Designu. To właśnie w nim, poza sferą poszukiwań materiałowych i technologicznych oraz tworzenia powiązań między projektantami i producentami, mogliśmy sobie uświadomić siłę drżącą we wspólnym działaniu. Bo sieciowość to kolejne wyzwanie. Stąd Klaster zaprezentował się na największych targach designu na świecie, czyli mediolańskim Salone Internazionale del Mobile. Wystawa w 2015 roku pokazała śląską współczesność projektową w kontekście regionalnej tradycji, próbowała uchwycić zmiany. Pamięamy przecież o wielopokoleniowej rodzinie, żyjącej przez lata w jednym mieście i tym samym domu. Taki model społeczny funkcjonował jeszcze ćwierć wieku temu.

Wielu dzisiejszych, szczególnie młodych Ślązaków, tak jak ich rówieśnicy z innych zakątków świata, przypomina nomadów. Wędrują z miejsca na miejsce, a poprzez zdobywa-

lkoną śląskiego projektowania od przynajmniej dekady jest ceramik Bogdan Kosak i jego kolejne projekty. Jak choćby Otoczaki, których powstały tysiące, a jednak nie ma dwóch dokładnie takich samych egzemplarzy. Każdy jest unikatowy i wytwarzany ręcznie.

Ludzie, zwłaszcza młodzi, nie mają już problemu, by mówić: „Jestem ze Śląska”. To dlatego taką popularnością cieszy się inicjatywa Gryfnie, której produkty w intrygujący sposób stymulują nowy folklor miejski.



ne doświadczenia stają się mieszkańcami globalnej wioski. Design znajduje odpowiedź na takie zmiany, jak choćby marka Kafti, produkująca lampy z tyveku, niezwykle wytrzymałe i łatwe w obsłudze czy transporcie. To pierwszy z brzegu przykład. O mobilności bez wątplenia mówią także projekty marki Pajak, która od lat 70. funkcjonuje w Beskidzie Śląskim. Kiedyś firma produkowała ręcznie sprzęt do wspinaczki wysokogórskiej, dziś produkcja opiera się na laboratoryjnych żmudnych badaniach, w efekcie których powstaje głównie odzież sportowa, ale również specjalistyczna, używana na przykład przez komandosów. Wiele z jej produktów powstaje z wykorzystaniem... puchu gęsi kołudzkiej, ocenianego jako jeden z najlepszych na świecie surowców ze względu na niewielką wagę, znakomite cechy izolacyjne i ocieplające.

Nowymi technologiami chętnie operuje inne rozpoznawalne studio z siedzibą na Śląsku, czyli gliwicka Sokka. To także laureaci „Śląskiej Rzeczy” i wielu innych konkursów, jak choćby prestiżowego iF Design Awards. Ich obiekty nie tylko możemy kupić w marketach budowlanych, jak choćby służący do pomiarów laser krzyżowy X-Liner 4V1H, ale także dostrzec np. na stokach alpejskich, ponieważ studio pracowało przez kilka lat nad projektem śnieżnego ratraka. Dziś w portfolio znajdziemy również bojowy wóz strażacki, ławkę Light-bench, projekty motocykli i samochodów, a także kompleksowy pomysł dla Cieszyna, czyli Revital Park, z systemem identyfikacji wizualnej i elementami małej architektury. To także dowód, że design wywiera wpływ na zmiany zachodzące w pejzażu śląskich miast i przestrzeni publicznej (np. doceniany przez wszystkich system informacji na pyrzowickim lotnisku to także pomysł projektantów z regionu – Justyny Kucharczyk i Andrzeja Sobasia).

Fabryczny łącznik

Bogdan Kosak w Fabryce Porcelany w Bogucicach pracował jako modelarz, a później prowadził tam własną modelarnię. Po zamknięciu fabryki i przeniesieniu się do Cieszyna powracał do postindustrialnych przestrzeni zakładu, tworząc projekty „Archeologia fabryki” oraz „Elektryfikacja”. Obecnie modelarnia Kosaka również funkcjonuje w przestrzeni poprzemysłowej – byłej cieszyńskiej fabryce dziewiarskiej Juwenia.

– Projektanci byli zawsze, nie było jednak przez lata medialnego zainteresowania ich pracą. Nie było tak ukształtowanej konsumpcji jak obecnie (zwyciężało przekonanie, że „ludzie kupią wszystko”). Kiedyś nie było w ogóle potrzeby mówienia o tym, że ktoś zaprojektował lokomotywę, garnek czy kosz na śmieci. Teraz potrzebujemy takich informacji. Gdy pracowałem w fabryce, nikt nie doceniał wartości projektu. Fabryki już nie ma, a ja nadal funkcjonuję. I mam beczelność marzyć i snuć plany na przyszłość. Klient zaczyna potrzebować innego towaru, bo ten, który proponuje standardowa fabryka, da mu Bangladesz, Brazylia... – wyjaśnia Kosak.

Z wirtualu do realu

Przez ponad dekadę synonimem technologii w służbie człowieka był sygnalizator drogowy ZIRslim, zaprojektowany przez Michała Latko i Leszka Czerwińskiego. Dziś możemy go zobaczyć na wielu skrzyżowaniach nie tylko śląskich miast. To energooszczędne rozwiązanie, z użyciem systemu LED, było pionierskim przedsięwzięciem w czasie, gdy zrozumieliśmy, że ograniczanie zużycia naturalnych zasobów nie jest hipsterską fanaberią, lecz egzystencjalną koniecznością. Pionierskie były także rozwiązania z Politechniki Śląskiej, czyli kolejne generacje robotów. Być może to ze Śląska będzie wywodzić się generacja urządzeń, które wydrukują nam spersonalizowaną odzież, buty, niezbędny domowy sprzęt, a nawet jedzenie. A naszym życiem będziemy również „zarządzać” za pośrednictwem wirtualnych rozwiązań.

– Nim przeniesiemy się do tych wirtualnych rzeczywistości, proponuję, abyśmy zadbali o to, co ciągle jest funkcjonującym dziedzictwem, a w dodatku osadzonym w lokalnych zasobach materiałowych. I może dawać realne miejsca pracy. Europa poszukuje unikatowych produktów – nawołuje Ewa Gołębiowska. Dlatego tak istotnym jest choćby wykorzystanie potencjału zakładów, czasem z ponad 100-letnią historią, jak np. Fabryki Mebli Giętych w Jasienicy. Dziś na międzynarodowe rynki w technologii znanej jeszcze

Śląskie projektowanie to także design społecznie zaangażowany. Marka WellDone Dobre Rzeczy jest najlepszym przykładem. Jej produkty są wytwarzane przez Fundację Rozwoju Przedsiębiorczości Społecznej „Być Razem”. Najśłynniejszy obiekt marki to „Podkładowca”, zaprojektowany przez Aleksandrę Michałowską.

w czasach monarchii austro-węgierskiej trafiają meble projektowane np. przez Tomka Rygalika, jednego z najbardziej rozpoznawalnych polskich twórców, który od kilku lat w beskidzkiej fabryce pełni funkcję dyrektora kreatywnego. To także znakomity przykład angażowania projektantów przez śląskie firmy w kilkunastoletnie procesy. Projektanci zaczynają odgrywać ważniejszą rolę, współtworząc strategię wejścia na nowe rynki, rozwój nowego produktu. Wówczas okazuje się, że sukces rynkowy, a nie wizerunkowy, jest największy. Tak wydarzyło się m.in. w firmie ISS Wawrzaszek, produkującej specjalistyczne pojazdy, dla której pracuje Agnieszka Fajak.

Śląska rzecz – europejska jakość

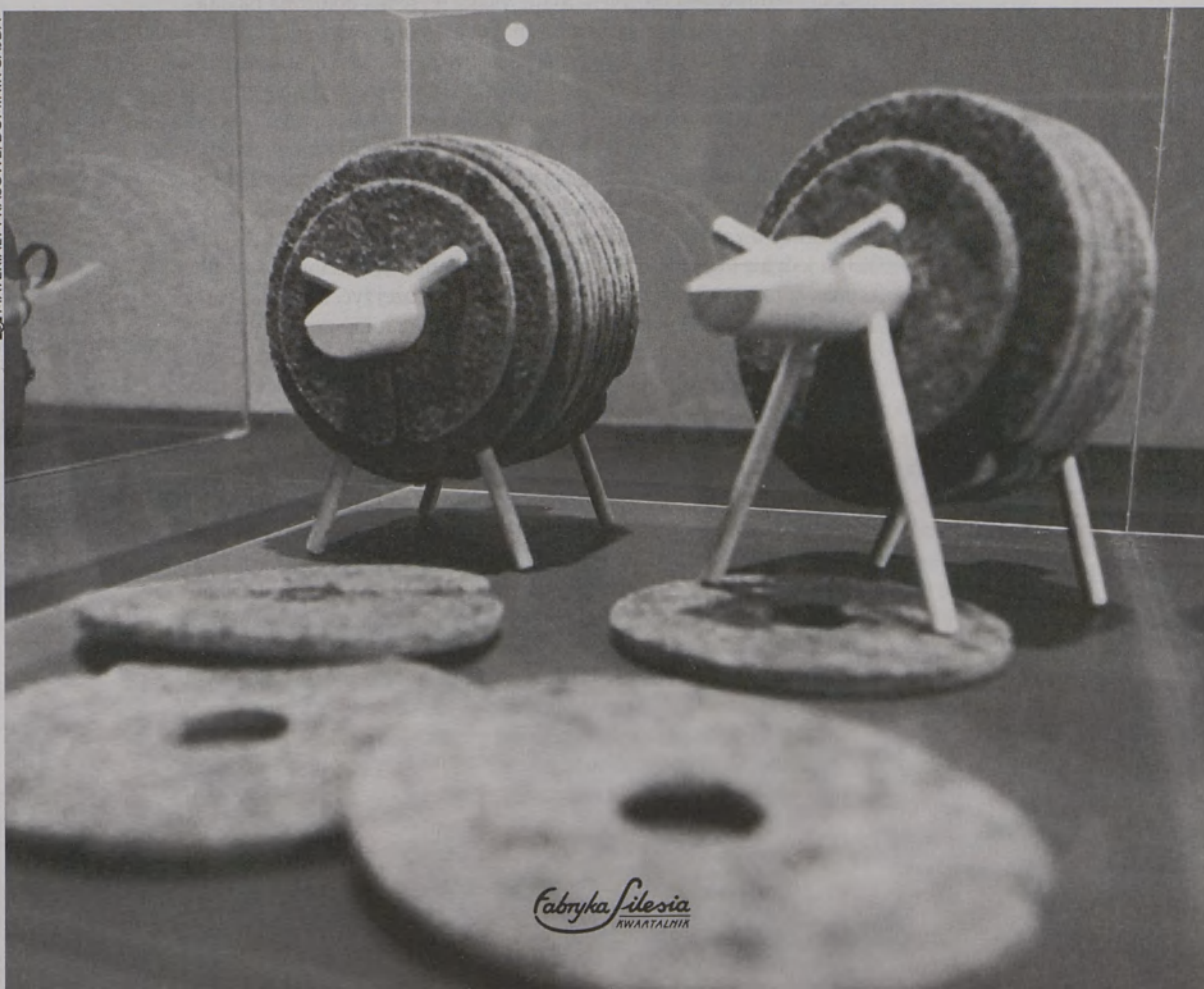
Czy istnieje fenomen „śląskiego projektowania”, „śląskiego designu”? Kilka lat temu, w czasie jednej z największych imprez dotyczących projektowania – festiwalu London Design – mnóstwo uwagi poświęcono pytaniu, czy design ma narodowość. Choć większość analityków, trendwatcherów i obserwatorów było zdania, że „projektowe DNA” jest uniwersalne, to jednak trudno nie oprzeć się wrażeniu, że praca projektowa, polegająca na interakcji ludzi, obiektów i przestrzeni może nas w pewien sposób determinować. Projektanci, ale również filmowcy, muzycy czy pisarze chcą tworzyć jednorodny, przekonujący, przefiltrowany przez ich odczucia i emocje obraz regionu. Ważne, by obraz ten nie miał charakteru naskórkowego, nie był rodzajem marketingu.

O sile designu i projektowania przekonywał samorządowy projekt „Design Silesia”. Był silnym narzędziem komunikującym wartości dobrego projektowania, które obejmowało zarówno realne działania z przedsiębiorcami i sektorem publicznym, jak i intensywne działania promocyjne. Szczególnie cenna okazała się aktywność „Design w terenie”, gdzie interdyscyplinarne zespoły odpowiadały na potrzeby gmin i miejscowości. To dzięki nim np. w Mstowie, Bytomiu-Bobruku czy Radlinie dostrzeżono siłę drzemiącą w designie, która realnie wpływa na aktywizację istotnych miejsc w przestrzeni publicznej.

Niestety, projekt się skończył; przedsiębiorcy zostali pozostawieni samym sobie. Dlatego nie możemy jeszcze mówić o projektowym śląskim raj, jak chcieliby niektórzy. Wiele zostało do zrobienia. Dziś jednak, oglądając recepcję śląskiego wzornictwa poza regionem, łatwo dostrzec, że coraz częściej bywa on kojarzony z europejską jakością. Marzy mi się, by Śląsk powtórzył niemieckie rozwiązanie, gdzie właściwie słowo „design” nie funkcjonuje. Tam gwarancją jakości, funkcjonalności i ergonomii jest adnotacja na produkcie, brzmiąca „Made in Germany”. ■

Marcin Mońka

– dziennikarz, o designie pisze dla magazynu „Elle Decoration”





ZBIGNIEW KADŁUBEK

Manifest antytechniczny

Nie zrozumcie mnie źle, proszę. Nie jestem technosceptykiem od zawsze. Ale teraz, właśnie teraz marzę coraz częściej i coraz bardziej kolorowo o dalekich miejscach. Bo rzeczywistość najbliższa to nie tylko rozczarowanie, ale także źródło wielkich cierpień.

Moja utopia, zasiedlona przez kilku anarchistów bawiących się w kreślenie wzorów głębinowych, to niewielka wysepka położona na dalekich morzach. Jest z nami Ernst Jünger i jeszcze paru podobnych.

Zostałem daleko w tyle. Z całą naiwnością wizyjną. Postindustrialna przestrzeń jakoś mnie specjalnie nie zachwyca. Twierdzę zresztą, że każde działanie postindustrialne – jako część ogromnego procesu przemian i prac mających na celu rewitalizację – nie stanowi istotnego przezwyciężenia ciosu i uleczenia ran, które zadała ziemi, zwierzętom, rzekom, roślinom i ludziom industrializacja. Jest tylko makiżem owa zabawa w postindustrializm. Jest akcją rekonstrukcyjną. Jest jedynie utrzymaniem ludzkiego przekonania, że człowiek mógłby dalej zdrowo, wygodnie, coraz lepiej i coraz dłużej żyć. Kupować coraz więcej w ładnych przestrzeniach. Trudno mi zaufać postindustrializacji jako naprawie, jako trosce, jako miłości. Postindustrializacja nie ma nic wspólnego z podnoszeniem świadomości, że człowiek stanowi integralną część natury. Rewitalizacja to najczęściej upiększenie trupa. Podmałowywanie zwłok, żeby ładniej wyglądały w trumnie. Rewitalizacja musiałaby radykalnie wpisać w swój program ŻYCIE.

Kompleksowe wyprowadzanie ze stanu kryzysu obszarów zdegradowanych właśnie należy do takich praktyk podmałowywania. Szlachetnych na pewno, lecz połowicznych. Egoistycznych i interesownych u samych podstaw. Prawdziwe działanie postindustrialne musiałoby się opierać na głębokiej ekologii – tak jak to pojmował norweski uczoney Arne Næss: „Głęboka ekologia – mógłbym ją także nazwać zielonym ruchem – to taki ruch, w którym się nie tylko czyni dobro dla planety w interesie człowieka, ale także w interesie samej planety. To oznacza, że postrzega się planetę jako całość i mówi się o pojedynczych ekosystemach, próbuje się je utrzymać przy życiu jako wartość samą w sobie. To oznacza, że trzeba myśleć w interesie tych

Atakuję tylko te
sprawy, gdzie nie
znajdę żadnych
sprzymierzeńców,
gdzie pozostają
w osamotnieniu.

Walt Whitman

systemów, tak jak się myśli o własnym dziecku czy psie, nie tylko dla własnej przyjemności”.

Podejrzewam, że zdania z *Księgi Rodzaju* o czynieniu sobie ziemi poddanej nie wypowiedział Bóg, lecz diabeł (grający już wtedy na giełdzie chciwości). Ktoś tu musiał coś źle zapisać – albo źle dosłyszeć. Albo ktoś celowo przeinaczył słowa Boga, ponieważ nie chciał stracić już zainwestowanych pieniędzy. Rozejrzyjcie się dookoła: nie ma żadnego kolorowego koguta, którego można by złożyć w ofierze uzdrowicielskiemu Asklepiosowi za zmartwychwstanie przyrody. Nic nie przywróci pokoju gorliwie walczących po stronie ludzi maszyn, maszyn upodabniających się do ludzi, i bezbronnej chorzejącej natury.

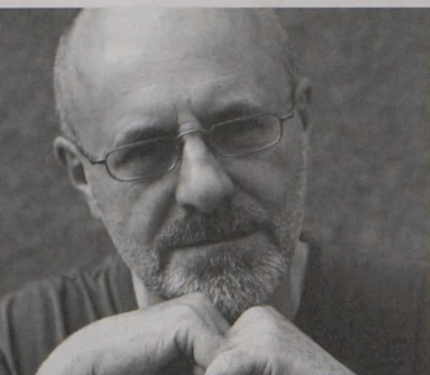
Wszystko, co industrialne, zostawia ziemię pokrytą kośćcami i szkieletami, wysypiskami śmieci i hałdami (które czasem mistycyzujemy!). Zostają jakieś stelaże – trzymamy się ich, ponieważ nie mamy innego wyjścia. Technika zawiera w sobie otwarty albo ukryty potencjał zabijania – zwiększa zobojętnienie na wszelkiego rodzaju więzi. Technika nie jest starsza niż Górny Śląsk. Technologia nie jest matką Górnoślązaków. Projekty postindustrialne bazują na tym, co było industrialne, techniczne, przemysłowe, górnicze, hutnicze. I dążą usilnie do tego, żeby poczuć się bardziej swojsko w postmaszynowym, postszybowym, postpiecowym krajobrazie.

Szemrany wydaje mi się sojusz z maszynami. Helmut Gollwitzer powiada, że wszystko, co rośnie, samo w sobie jest podejrzane. Rabunek industrialny i kapitalizm, uczyniwszy nam wielkie spustoszenie we wspólnocie i w lasach (części naszej wspólnoty), miał imiona, nazwiska. Wymieniamy czasami na Górnym Śląsku te imiona przemysłowców z dumą. Budujemy naszą górnośląską tożsamość na poczuciu jakiejś cywilizacyjnej przewagi. Ale to nic innego jak głupota. Spadamy, gdy śląskie maszyny wyliczamy. Maszyny odebrały nam rozum. I odebrały nam coś jeszcze – ukradły raz na zawsze. „Tam, gdzie się pojawiły symbole techniczne – pisze gdzieś Ernst Jünger – przestrzeń opróżnia się ze wszelkich innego rodzaju sił, z małego i wielkiego świata duchów, które ją zasiedlały”. I dalej cytuję Ernsta Jüngera: „Zwycięski pochód techniki zostawia po sobie szeroki ślad zniszczonych symboli”. Efektem symbolicznym strat byłaby anarchia. Anarchiczni jednak jesteśmy za mało, by być Górnoślązakami.

Technika nie byłaby już dzisiaj – jak chciałby Jünger – mobilizacją świata. Jedyna w tej chwili możliwa Totalna Mobilizacja to maksymalne powiązanie człowieka z przyrodą. Ale, biedny Górnoślązaku, nie chodzi o drzewa albo wiewiórki, chodzi o ciebie, o twoje wspólnotowe odniesienie do wszystkiego, co JESZCZE istnieje. To jest Totalna Mobilizacja: współpraca na równych zasadach ze wszystkim, co żyje.

No i posłuchaj jeszcze jednej uwagi, chrześcijański Górny Śląsku: „Technika, czyli mobilizacja świata przez formę bytu robotnika, jako niszczycielka wszelkiej w ogóle wiary, jest zdecydowanie najbardziej antychrześcijańską siłą ze wszystkich, jakie się do tej pory pojawiły”. Krajobraz powarztatowy jest czymś najodleglejszym od Raju. Zdajemy sobie z tego sprawę?

Odradzanie śląskości bez radykalnego odradzania świata przyrody – to etnokicz, z którego śmieje się Polska i świat. Ważniejszy od marszu autonomistów byłby tłumny pochód Górnoślązaków sadzących drzewa. To by dopiero był szturm wolnościowy! To byłoby dopiero górnośląskie przebudzenie! ■



INGMAR VILLQIST

NA TEMAT

Szyb

Kiedy w trzeciej klasie liceum wiedziałem już mniej więcej, czym chcę się zajmować w życiu, rozpocząłem wędrowki po moim mieście, poszukując miejsc, obiektów, które pozwoliłyby zobaczyć i dotknąć własną ręką historii wielkiej architektury poznawanej w albumach.

Krałę wokół neogotyckich, neoromańskich kościołów, rozpoznając konstrukcję, rysowałem rzuty poziome, robiłem zdjęcia Smieną; fasad, ołtarzy, konfesjonałów, detali; zworników, sklepień, głowic kolumn. Wystawałem przed fasadami eklektycznych kamienic zapatrzonej w portale, oprawy okien. Mieszczański historyzm zamałowany na amen obrzydliwą olejną farbą; pół wieku temu nikt nie myślał w moim mieście o zabytkach architektury końca XIX wieku.

Wspominam te wędrowki i zachwyty neofity z rozrównieniem; zazdrościłem takim jak ja, którzy włóczyli się po Wenecji, Rzymie, Paryżu czy Krakowie. Tamte miasta wykładały przed nimi perły architektury jak jubiler klejnoty przed zachwyconym klientem na aksamitnej tacy. Moje miasto, umęczone, szare, zadymione, obsypane sadzą ze wstydem i zniecierpliwieniem pokazywało mi to, co miało w sobie cennego. O tym, jak wiele skarbów kryło w sobie, dowiadujemy się od niedawna; kogo wtedy zajmowały style historyczne, o zachwytach modernizmem mowy nie było. Wszystko to było ponemieckie, a więc złe. Gęszcz współczesnych betonowych pudeł skutecznie przysłaniał horyzont wszelkiej refleksji. W takim mieście jak moje z dzieciństwa, zawłaszczonym przez dwie gigantyczne huty, kopalnie, fabryki w dżungli kominów, zabrukowanym, zalanym betonem, nakrytym gęstą siecią tramwajowych trakcji, zaczadziały wyziewami, nieprzytomnym z umęczenia, domaganie się piękna i sztuki było czymś po prostu nieprzyzwoitym. Ale ja na siłę doszukiwałem się w moim mieście piękna, tajemnic, najdrobniejszych wyróżników wbrew tej nieludzkiej wtedy na Śląsku „cywilizacji pracy” – pracy aż do śmierci; z chorób i wycieńczenia. Uciekałem w równoległy, nierzeczywisty świat książek; zaczytywałem się nimi jak narkoman, odlatując w światy pełne przygód, zieleni, słońca. Dotarło do mnie, że w owych przygodowych, książkowych serialach pojawia się, prawie w każdym odcinku, jeden powtarzający się element: tajemnicza budowla, zruj-

nowany pałac, zamczysko, rycerska wieża lub coś w tym rodzaju; ze swoją tajemnicą, ukrytymi skarbami, legendami, strachami, białą damą lub choćby magazynem broni ukrytym przez Niemców.

I ja miałem onegdaj w Batorym swoje najprawdziwsze zamczysko, swoje ruiny – pożądaną tajemnicę. Może z dwieście kroków od mojego domu przy Długiej; równolegle do ulicy Tynieckiej tuż przed skrzyżowaniem z ulicą Trzyniecką, równolegle do koryta niewiarygodnie cuchnącej i zawsze bajecznie kolorowej rzeki Rawy stało to cudo, a właściwie jego nędzne resztki. Wtedy nie miałem pojęcia, co to była pierwotnie za budowla. Mówiło się – Szyb Ulricha. Brzmiało tajemniczo... Ulrich... kojarzyło się z imieniem poległego pod Grunwaldem wielkiego mistrza Ulricha von Jungingena. Pamiętam z dzieciństwa emaliowaną tabliczkę z nazwą ulicy „Szyb Ulricha”. Nie pamiętam, kiedy została zdjęta i ulicę tę przemianowano na Tyniecką. O tym, że stał tam kiedyś najprawdziwszy szyb kopalniany zwany „Ulrich”, opowiadała mi na spacerach z Batorego na Klimzowiec moja mama; przystawialiśmy przy cokole dawnego ogrodzenia, patrzyłem na zrujnowany, ceglany parter dawnej budowli i usiłowałem sobie wyobrazić, jak też wyglądać musiał dumny onegdaj szyb. Dumny byłem i ja; mieszkalem przecież i dorastałem o rzut beretem od najprawdziwszego szybu kopalnianego (już nieistniejącego, ale jednak); a więc symbolu, który kojarzy się i będzie kojarzyć po wsze czasy wszystkim z hasłem „Śląsk”.

Wtedy nie miałem pojęcia, jak Szyb Ulricha wyglądał, więc wyobraźnia działała, dziś oglądam archiwalne zdjęcia w internecie i dopiero jestem dumny, bo był to wcale potężny szyb, nazwany tak ku chwale Ulricha von Richthofera, powstały z samego początku XX wieku. A więc mieszkalem w najprawdziwszej górniczej dzielnicy. Ciekawe, jak to wszystko wyglądało wokół, zanim w latach 30. XX wieku nie rozebrano Ulricha. Wtedy jednak nie zajmowało mnie to; najważniejsze było, że odnalazłem swoje wymarzone zamczysko. Resztki Szybu Ulricha stały się dla nas, wyrostków z Długiej i sąsiednich ulic Batorego, wymarzonym miejscem zabaw; w zależności od czytanej książki, filmu albo serialu w czarno-białej telewizji Ulrich zmieniał się w naszej wyobraźni w samotną, oblężoną twierdzę, zamczysko pełne upiórów, skład drewna z *Chłopców z Placu Broni*, polski albo niemiecki bunkier, karawelę sunącą po wzburzonych falach, wypaloną kamienicę w powstańczej Warszawie; ceglane resztki Ulricha były miejscem bitew *na gable*, lania się wodą z butelek, rycerskich potyczek na miecze i włócznie z patyków, zajadłych strzelanin, banalnych bójek. Kiedy brakowało pomysłów, cuchnący moczem przyziemia zmieniały się w palarnie „Sportów”. Wszystkiego, co w dziecięcych głowach się zaroilo, doświadczył poczciwy Ulrich. Aż pewnego dnia, pewnie byłem już w liceum, zniknął. Podobno ktoś gdzieś wpadł do jakiejś dziury albo coś złamał – nie wiem dokładnie. Ulrich zniknął. Splantowano go. Na miejscu dawnego szybu postawiono garaże.

Dziś pozostał tylko fragment niskiego cokołu dawnego ogrodzenia od ulicy Tynieckiej. Prawie niezauważalny i z niczym się niekojarzący; najmniej z dawnym szybem, nikogo nie obchodzi, nic nie rozdziela, nie jest „postindustrialny”, nie zasługuje na dotację z Unii, zmianę pierwotnej funkcji. Sterczy po nic z chorowskiej ziemi, ale jednak trwa; zmurszały wierzchołek potężnej góry drzemącej pod naszymi stopami. ■



KRZYSZTOF KARWAT

DALEKO STĄD

Ile żelaza w marchewce

Mam wiele takich miejsc, gdzie odczuwam trudny do zdefiniowania powab historii Górnego Śląska, znaczony przede wszystkim ciężką pracą naszych przodków. Z żalem i odrobiną sentymentu konstatuje, że tych zakątków jest coraz mniej. Ale się bronię. Daj Boże, by skutecznie.

98

Tak musiało się stać. Bezwrotnie znikło wiele hal fabrycznych i kopalnianych szybów, buchających ogniem pieców hutniczych. Wystarczy przejrzeć archiwalne zdjęcia, najlepiej z dawnego Zabrza czy Chorzowa, bo chyba nigdzie nie nagromadzono na tak małych skrawkach ziemi tylu obiektów przemysłowych. Niektóre z tych fotografii, nawet te sprzed stu lat, z nieskrywaną dumą prezentują rozległe lasy kominów. Zdają się mówić: oto świadectwo rodzącego się bogactwa i rozwoju, który nie może się skończyć, więc jest obietnicą lepszego życia.

Nie ma w tych obrazach lęku przed przyszłością. Nie ma nawet niepokoju. Ten nieludzki krajobraz ma służyć i służy człowiekowi. Ba, jest jego dziełem, dowodem na to, że natura ugięła się pod naporem jego woli i siły, a teraz musi niejako oddać to, co mu się należy. Oto spełnienie futurystycznych nadziei i fantazmatów. W wymiarze plastyczno-wizualnym to kombinacja nieskomplikowanych, lecz rytmicznie układających się brył różnej wielkości, poprzecinanych kłębowskiem zgeometryzowanych linii prostych i ostrych konturów. Właściwie jednostka powinna się w tej przestrzeni zagubić. Ale tak nie jest. Wprawdzie raczej jej na tych fotografiach nie zobaczymy, ale przecież ona tam gdzieś musi być, skoro ten pozornie unieruchomiony świat tętni życiem. Ktoś przecież trzyma nad nim pieczę, ktoś go kontroluje.

To nieprawda, że dawniej ludziom nie przeszkadzały kłęby dymów, nieraz zwodniczo – jak na litografiach Ernsta Knippla – układające się w malownicze obłoki. Że nic sobie nie robili z gryzących w gardło pyłów. Cóż mieli począć? Uciekali tylko najbogatsi, tylko właściciele kapitału. Swe rezydencje budowali bądź poszerzali w bezpiecznej odległości od hut, pudlingarni, cynkowni, koksowni i kopalń, gdzieś za gęstymi ścianami lasów i kilometrami pól czy łąk. W Koszęcinie, Świerklańcu, Nakle, Brynku, Pławniowicach, Mosznej i tylu innych

miejscach, które zachowały sielski klimat oraz powietrze, którego – jak kwaśno żartowaliśmy – nie było widać. Nie to co u nas!

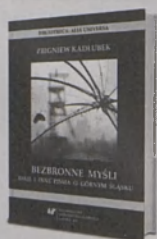
Świadomości ekologicznej, tak jak ją dzisiaj pojmujemy, nasze generacje też jeszcze nie miały. Ledwie domyślaliśmy się, że życie w bezpośrednim sąsiedztwie na przykład zakładów chemicznych może być bardzo szkodliwe, bo na pewno dokuczliwe, więc jeśli przyszło nam mieszkać parę kilometrów dalej, to i wątpliwości jak smród benzenu się rozwiewały. Zapisy cenzorskie działały perfekcyjnie i przez dziesięciolecia robiły nam dziury w mózgu. Surowsze dotyczyły chyba tylko „nierozzerwalnego sojuszu” i Związku Radzieckiego. Nie można było publikować całej prawdy o zatruciu ziemi, wody i powietrza. Kupowało się więc warzywa na targowiskach, nie zastanawiając się, gdzie je zebrano. Stanisław Bieniasz, zabrzański literat i reżyser, napisał kiedyś zgryźliwie, że pewnie miały w sobie więcej żelaza niż rudy przywożone z bratniego ZSRR do Huty Katowice, bo wyrosły w glebie „skażonej całą tablicą Mendelejewa”. Dopiero czas pierwszej „Solidarności” otworzył nam oczy. Dopiero wtedy z rosnącą samoświadomością spojrzeliśmy na to, co nas otacza i na nas samych. Dzieła dokończyła recesja i upadek przestarzałych zakładów państwowych. I nowe technologie, choć wiemy, że i tak jakość życia na Górnym Śląsku nie jest najwyższa.

Z czasów szkolnych czy studenckich pamiętam irytację, jaką wywoływało zanieczyszczenie powietrza oraz tony sadzy, które wdzierały się do naszych domostw nawet przy zamkniętych oknach i które trzeba było codziennie usuwać z parapetów. Ta chorobliwa dbałość naszych matek i babek, by szyby mimo wszystko zawsze były czyste, stała się znakiem tego regionu, orężem przeciwko siłom, na które nie miało się żadnego wpływu. Malowane na czerwono bądź zielono okiennice nie były estetyczną fanaberią, jakimś regionalnym specjałem przygotowanym z myślą o przyjeźdźnych. Wiadomo – na ciemnym brud się nie odkłada...

W owych latach nieraz późno wracało się do domu, zwłaszcza w soboty. A wtedy, pod osłoną nocy, wypuszczano najbardziej smrodliwe dymy i wyziewy. Niezapomniane aromaty! Oszczędzano filtry, bo nie były w stanie takiej ilości trujących substancji zatrzymać? Czyszczono je wtedy, reperowano? Tak czy owak, uświęcano zasadę, że czego nie widać, tego nie ma. Lud boży, idący nazajutrz do kościoła, mógł bez przeszkód wachać już tylko zapach kadzideł...

Nawet jeśli zimą dokucza nam smog, to chyba porównania nie ma, tym bardziej że ruch samochodowy – twierdzą fachowcy – przyczynia się ledwie do ok. 10-20 proc. zanieczyszczeń powietrza. Nie sądzę, by w przeszłości palono w piecach wyłącznie najlepszymi gatunkami węgla, choć nigdy nie widziałem, by pod piwnicznymi okienkami zalegały miały, mazuty i inne świństwa. Z drugiej jednak strony, o ile więcej w domach było tradycyjnych palenisk, gazem nikt przecież nie ogrzewał, a kaloryfery zasilane z zewnętrznych centrali należały do rzadkości. Truń i zabijał przemysł. Bezkarne i bez umiaru, bo się rozrastał w oparciu o starzejące się technologie i zdekapitalizowane urządzenia.

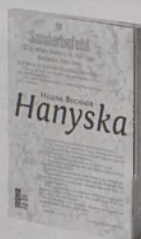
Odetchnęliśmy z ulgą? Niby tak, ale gdybyście przeprowadzili sondę w wielopokoleniowych rodzinach robotniczych, to pojawiłyby się wątpliwości i usłyszelibyście, jak to kiedyś było fajnie i bezpiecznie, więc nie trzeba było likwidować wszystkich dużych przedsiębiorstw państwowych. ■



Zbigniew Kadłubek

**Bezbronne myśli.
Eseje i inne pisma
o Górnym Śląsku**

Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego,
Katowice 2016, s. 308



Helena Buchner

Hanyska

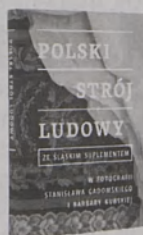
Silesia Progress, Opole, Kotórz Mały 2016,
Wydanie II, s. 186



Pod red. Waldemara Szymczyka

**Bydźcie lepij.
Jednoaktówki po śląsku**

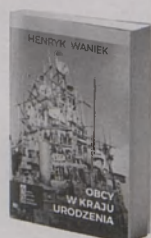
Imago Public Relations i Katowice Miasto
Ogrodów, Katowice 2016, s. 117



Teksty: Maria Lipok-Bierwiazzonek

**Polski strój ludowy
ze śląskim suplementem
w fotografii Stanisława Gadomskiego
i Barbary Kubskiej**

Muzeum Miejskie w Tychach,
Tychy 2016, s. 341



Henryk Waniek

Obcy w kraju urodzenia

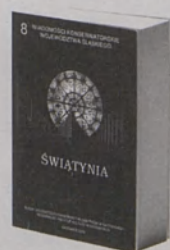
Silesia Progress, Opole,
Kotórz Mały 2016, s. 340



Michał Ziara

**Upadek miasta
i polityka odnowy.
Studium socjologiczne na przykładzie
Bytomia**

Studio NOA, Katowice 2016,
s. 368



Pod red. Ireny Kontry

**Świątynia.
Wiadomości
Konserwatorskie
Województwa Śląskiego**

Śląski Wojewódzki Konserwator Zabytków
w Katowicach, Regionalny Instytut Kultury
w Katowicach, Katowice 2016, s. 432



Pod red. Jacka Kurka
i Krzysztofa Maliszewskiego

**W kręgu Medei.
Obcy – Inny – Swój**

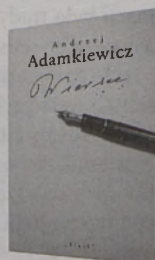
Miejski Dom Kultury „Batory” w Chorzowie,
Chorzów 2016, s. 159



Zebrali i opracowali: Jan Przewoźnik,
Zbigniew Hurnik, Karol Pinkas

**Śląskie ciekawostki
szachowe**

INTEGRACJA, Szkolenia – Treningi –
Poradnictwo Psychologiczne,
Gorzów Wlkp. 2017, s. 323



Andrzej Adamkiewicz

Wiersze

Wydawnictwo „Śląsk”,
Katowice 2017, s. 48

GWIAZDY

SCENARIUSZ:
JACEK KONDRACKI, JAN KIDAWA-BŁOŃSKI

ZDJĘCIA:
MICHAŁ ENGLERT

REŻYSERIA:
JAN KIDAWA-BŁOŃSKI



ROBERT JAWORSKI



WKRÓTCE W KINACH

W FILMIE WYSTĘPUJĄ:

Mateusz Kościukiewicz, Karolina Szymczak,
Sebastian Fabijański, Magdalena Cielecka, Marian Dziędziel,
Adam Woronowicz, Aleksandra Gintrowska, Paweł Deląg,
Wojciech Meczaldowski i inni

Produkcja:



Koprodukcja:



Bronisław Linke, *Skarbnik*
(Muzeum Miejskie w Zabrzu)

